

ARKADIUSZ NIEMIRSKI

PAN SAMOCHODZIK

I...

ZAKŁADNICY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O NOWEJ MISJI * SPACER PO GREENWICH VILLAGE * MARUDNA NATURA MAGISTRA PIETRASIA * CZY U NAS JEST TANIEJ? * ZOSTAJĘ DZIWAKIEM * HISTORIA TEDA BENETTONA * KOLEKCJA WARTA MILIONY * ODBIERAM WEHIKUŁ * PAN ZDZISIEK, GREENPOINT I WHISKY * WEHIKUŁ NIE WZBUDZA ZAUFAANIA * WYJAZD * KTO JEDZIE ZA NAMI BIAŁYM DODGE'EM?

Kolacja w Polskim Instytucie Naukowym na Manhattanie upłynęła w milej atmosferze. Powspominaliśmy ostatnią wizytę w Stanach Zjednoczonych, podczas której razem z panem Tomaszem przemierzaliśmy całą Amerykę w celu odzyskania cennej kolekcji obrazów polskiego hrabiego, w szczególności opowiedziałem o smutnych losach wehikułu подарowanego nam wtedy przez biznesmena Paradaję, na koniec zaś omówiliśmy detale związane z jutrzejszym wyjazdem do Tarrytown. Ta wizyta nie była żadną detektywistyczną misją, jakich najczęściej podejmował się nasz departament w ostatnich latach. Zjawiłem się tutaj w charakterze konsultanta polonijnych placówek naukowych - Polskiego Instytutu Naukowego oraz Instytutu im. Józefa Piłsudskiego. Towarzyszył mi w tej podróży magister Jan Pietras z gabinetu ministra, wysłany przez samą szefową - kierownik delegacji. Członkiem tej dwuosobowej delegacji zostałem z konieczności, pan Tomasz bowiem z uwagi na chorobę lokomocyjną nie mógł polecieć, więc zjawiłem się tutaj na cały tydzień w jego zastępstwie. W rachubę wchodziła jeszcze podróż statkiem, z tym, że rejs w jedną stronę trwałby dłużej niż cały pobyt na ziemi amerykańskiej i dlatego szef bez namysłu zdecydował, że polecę za niego.

- Musisz uczyć się dyplomacji - powiedział z ulgą Pan Samochodzik w naszym biurze na Krakowskim Przedmieściu. - Praca w naszym departamencie to nie tylko wyjazdy w teren, poszukiwanie skarbów i zagadki historyczne. To także spotkania z ważnymi dla polskiej kultury ludźmi, rozmowy, znajomości. Poza tym na wyjazdach masz okazję podszkolić swój angielski,

- Pewnie żałuje pan, że nie może polecieć? - zapytałem.

- Gdyby nie ten mój lęk wysokości - rozłożył bezzadnie ręce, jakby chciał wyrazić żal. - Trudno się mówi. Skorzystasz ty! Mamy początek września, więc twój pobyt w Nowym Jorku zbiegnie się z targami książki. Może nawet kupisz mi coś specjalnego?

Tak tylko gadał. Wiedziałem, że podobnie do mnie nie znosił wszelkich spotkań, bankietów i konferencji i nie zależało mu na wyjeździe do Stanów Zjednoczonych. Oczywiście przejmował się misją, bo miała ona wielkie znaczenie dla kultury polskiej, lecz wolał wylądować tam mnie.

Kolacja w Polskim Instytucie Naukowym skończyła się po dwudziestej pierwszej. Prosto z odnowionej pięciokondygnacyjnej siedziby instytutu - mieszczącej się przy 30 ulicy i 3 alei - udaliśmy się do metra i wysiedliśmy na skraju Washington Square w okazałej dzielnicy Greenwich Village. Nasz hotel mieścił się po stronie zachodniej za 7 aleją przy Hudson Street, więc mogliśmy odbyć spacer po ciepłym i rozświetlonym tysiącem neonów Manhattanie, nad którym wyścieliło się gwiazdami nocne niebo. Wieczorem Manhattan prezentował się inaczej niż za dnia. Inna sprawa, że Greenwich Village to dzielnica bardzo przypominająca Londyn, okolice parku mają zaś specyficzny klimat akademicki z uwagi na sąsiedztwo New York University. „Wioska” ma w ogóle pogmatwaną sieć ulic, która odzwierciedla dawne granice między

domostwami, a nawet korytami strumieni. Stąd bowiem uciekli z miasta ludzie przed epidemią żółtej febry, a miało to miejsce w 1822 roku. W żaden sposób nie dało się później dopasować tej skomplikowanej sieci ulic do regularnego planu miasta przypominającego „szachownicę”.

Był miły majowy wieczór. Nie spieszyło się nikomu, choć myślami byłem już przy jutrzejszym wyjeździe. Magister Pietraś - mężczyzna czterdziestoletni, korpulentnej budowy ciała, łysiejący na czubku głowy - wpadł jednak w nastrój daleki od turystycznego błogostanu. Zaraz po wyjściu z instytutu stał się markotny. Nade wszystko kolega Pietraś czuł się przytłoczony wielkością Nowego Jorku. Była to jego pierwsza wizyta za oceanem, więc swoją frustrację starał się zastąpić postawą na „nie”.

Nie podobały mu się wieżowce, przeszkadzał hałas ulicy i setki sklepów, denerwowali ludzie - szczególnie ekscentrycznie nosząca się i zachowujące młodzież - zapach ulicy, a najmniejszy paperek leżący na chodniku wywoływał w nim odrazę i bunt. Nie żebym ja sam przepadał za wielkimi miastami - traktowałem wizytę jako swego rodzaju egzotyczne doświadczenie - lecz po pierwsze, śmieci na ulicy było tutaj mniej niż w Warszawie, po drugie, hałas nie wydał się zanadto dokuczliwy. Może podczas pierwszej wizyty kilka lat temu odczuwałem swego rodzaju lęk przed wielkością tego miasta, teraz jednak byłem już „uodporniony”. Rzeczywiście Nowy Jork to nie była Warszawa, choć kilka podobieństw zawsze by się znalazło. Zarówno u nas, jak i tu - ulice w godzinach szczytu tonęły w korkach, chodnikami przemierzały tłumy spieszących się ludzi i... to wszystko! W tym mieście wszystko bowiem wydawało się dziesięć razy większe, poczynawszy od cen, a skończywszy na budynkach. Wystarczy dodać, że nasz Pałac Kultury i Nauki utonąłby w gąszczu tutejszych drapaczy chmur, stałby się jednym ze średnich obiektów tej słynnej dzielnicy. Trudno byłoby go zauważyć. Tylko z cenami to chyba przesadziłem w tej dziedzinie dorównywaliśmy Amerykanom, a nawet czasami ich przewyższaliśmy!

- Panie Pawle - zaczął magister - czy zdążymy rano obejrzeć jeszcze te dwa wieżowce, które zniszczyli terroryści?

- „Bliźniaków” już nie obejrzymy - bąknąłem. - Tylko miejsce w którym kiedyś stały.

- Niewłaściwie się wyraziłem. Oczywiście, że chodziło mi o miejsce

- Niestety, o siódmej rano jadę na lotnisko odebrać wehikuł. Pewnie zajmie mi to ze trzy godziny, więc z powrotem będę na jedenastą, dwunastą. W tym czasie może pan pojechać metrem na Lower Manhattan. W cieniu drapaczy chmur znajdzie pan wiele zabytków. Tam właśnie narodził się Nowy Jork. To stara historia, sięgająca 1626 roku. Na końcu Wall Street znajdzie pan piękny neogotycki Trinity Church.

- Na co mi kościoły w Nowym Jorku? - zachnął się. - Kościołów mam dużo w Polsce. W Ameryce chcę zobaczyć drapacze chmur.

- Wśród nich znajdzie pan także „zabytki”. Trinity Building to „gotycki” wieżowiec z początku XX wieku. Bardziej na południe od kościoła wznosi się Irving Trust Company z 1932 roku. Zresztą nazwa Wall Street pochodzi od dawnej palisady, która broniła ludzi przed Indianami. Ów obronny mur nie zdołał uchronić osady - wówczas nazywanej Nowym Amsterdamem - przed inwazją Anglików w 1664 roku. Ich rządy przyjęto z ulgą, gdyż ówczesny gubernator Peter Stuyvesant rządził twardą ręką. Aha, osadę nazwano Nowy Jork.

Nie odpowiedział. Wiedziałem, że Pietraś chciał zwiedzić miasto, szczególnie miejsca znane z telewizji, a ja idealnie nadawałem się do roli przewodnika z racji mojego wykształcenia i wcześniejszego pobytu w tej metropolii. Mój program wszelkich wyjazdów służbowych i prywatnych opierał się na sprawdzonym hasle: „minimum snu, maksimum zwiedzania”. Jednakże jutro czekał mnie odbiór wehikułu, nasz ministerialny pojazd wyleciał bowiem z Warszawy z lekkim opóźnieniem, wieczornym lotem. Obawiałem się, że wzbudzi on w amerykańskich celnikach ciekawość i dokładnie go sobie obejrzą, czy aby nie jest to nowa terrorystyczna zabawka. Pocięszalem się faktem, że Polska była sojusznikiem Stanów Zjednoczonych w operacji wojskowej w Iraku i potraktują dziwne auto z Polski łagodnie i nie rozbiorą go na części.

Ruszyliśmy uroczą i spokojną uliczką wzdłuż szeregu kamieniczek z zadbanymi podwórkami. Atmosferę cyganerii podsycala tutaj nie tylko nietypowa zabudowa, lecz także odgłosy prostopadłej, większej ulicy, której fragment pojawił się u wylotu. Mijając licznych przechodniów - teraz łązących z większym luzem niż za dnia - podziwialiśmy wystawy otwartych do późna sklepów i bawiących się gości licznych barów i kafejek. W pewnym momencie magister Pietraś zatrzymał się przed wejściem do włoskiej restauracji i zerknął do karty dań ustawionej na wymyślnym, drewnianym stojaku.

- Pan zobaczy, jaka tu drożyzna - kiwał głową z niedowierzaniem. - Zwykły makaron z kawałkiem mięsa kosztuje piętnaście dolarów.

- To i tak niedrogo. Z tym, że musi pan jeszcze doliczyć kilka dolarów na napój i skromny napiwek. Jak nic, dwadzieścia dolców za osobę.

- U nas taniej - pocieszył się.

- To fakt. Mniej więcej trzy razy. Tylko, że zarabiamy dziesięć razy mniej. Niech pan zauważy, jaką tanią mają benzynę. Tańsza od naszej ropy. Średnio litr amerykańskiej benzyny kupi pan za pięćdziesiąt centów. Niech pan zanotuje dla potomnych, że to dane z roku 2003.

Magister Pietraś nie skomentował mojej lekko uszczypliwej uwagi. Ruszył dalej, wzruszywszy ramionami. Nie podobał mi się jego krytykancki ton, zaprogramowany pesymizm i agresywny stosunek do wszystkiego co inne. Nie umiał być turystą, a jego styl bycia trochę mnie przerażał. Widać należał on do tego typu turystów, którzy będąc w Polsce krytykują ją głośno, bawiąc zaś za granicą wychwalają ją bez opamiętania. Wyznawał dziwny światopogląd, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.

Z drugiej strony - Nowy Jork w jakimś sensie go fascynował, bo przecież wyzwał w nim tak silne - mimo że negatywne - emocje. Jeszcze na lotnisku Okęcie, później w samolocie, magister był niekwestionowanym kierownikiem naszej delegacji, często mnie pouczał, jednak już na lotnisku J.F. Kennedy'ego stracił właściwy sobie rezon mentora. Owa urzędnicza charyzma ulotniła się z niego jak powietrze z przekłutego balonika. Magister Pietraś był tutaj bardziej sobą niż w Warszawie - tam, siadając codziennie za biurkiem przybierał rutynową pozę ważniaka. Stojąc na 3 alei przed stalową fasadą wieżowca Mobil Building wydawał się on nieobecny, obojętny, lecz wiedziałem, że usilnie maskuje strach przed ogromem miasta i walczy ze swoimi słabościami i uprzedzeniami. Tym chętniej odgrywałem przy nim rolę obieżyświata, mając cichą satysfakcję ze swojej wyższości przynajmniej w tej materii.

- Może napijemy się jeszcze przed snem kawy? - zaproponowałem na skrzyżowaniu opodal naszego hotelu. - Nie chce mi się iść do łóżka. Jest jeszcze wczesnie. Zapraszam do jakiejś kafejki.

- Nie za drogo wyjdzie? - skrzywiła się z niesmakiem puciołowata twarz magistra oświetlona pulsującą z pobliskiego neonu czerwienią i błękitem. - Akurat wziąłem ze sobą grzałkę i stoik kawy. Zaparzymy sobie w pokoju. Taniej wyjdzie.

- Ależ ja stawiam. Raz się żyje, magistrze! Niech pan zobaczy, o tej porze nikt tutaj nie idzie spać.

Weszliśmy do sympatycznej kawiarni, w której leciał dyskretnie nastawiony jazz, a jej wnętrze tonęło w mętnej, kawiarnianej poświacie zbudowanej z ciepłych, brązowych barw światła. Z trudem znaleźliśmy wolny stolik. Zamówiłem kawę u czarnoskórej kelnerki.

- Może ma pan chęć na drinka? - zaproponowałem.

- Nie, dziękuję - odparł i zrobił niewyraźną minę. - W pokoju hotelowym mam jedną butelkę czystej. Wziąłem na wszelki wypadek. W Ameryce piją drinki, a to szalenie niezdrowo. Mieszają z colą albo innymi świństwami, zresztą kolorowa wódka obciąża niepotrzebnie wątrobę.

- Nie pijam wódki. Czasami zadowolę się czerwonym winem do posiłku. W upał małym piwem czeskim. Mój szef bardzo rzadko częstuje mnie kieliszeczkiem koniaku. Czini to wyłącznie na moje imieniny.

- Pan Tomasz? - zainteresował się. - To podobno niezgorszy dziwak.

- Takie chodzą plotki.

- Podobno i pan ma zadatki na niezłego dziwaka... - urwał nagle.

- Tak mówią? - udałem zaskoczenie.

- No wie pan: z kim się zadajesz, takim się stajesz. Coś w tym jest. Jest pan wciąż kawalerem, tak jak on. Ciągłe zajmujecie się jakimiś tajemniczymi i podejrzanymi sprawami. Ależ się dobraliście. I ten wasz pojazd! Jakiś zwariowany milioner podarował złom na kółkach, który ministerstwo musi utrzymywać.

- O nie - zaprotestowałem. - Wszystkie naprawy i przeglądy są opłacane z funduszu, jaki milioner zostawił po śmierci. Transport wehikułu do Ameryki również nie obciążą ministerstwa, a jedynie konto nieżyjącego już kolekcjonera.

- Po co nam jakiś wehikuł? - zaperzył się. - Przecież moglibyśmy zabrać się samochodem delegacji Polskiego Instytutu Naukowego.

- Lubię niezależność - odpowiedziałem. - Dzięki wehikułowi będę mógł pojechać w każde dowolnie wybrane przez siebie miejsce. Jak wspominałem panu w samolocie, zamierzam napisać reportaż o polskich śladach w rejonie rzeki Hudson. Pewien magazyn podróżniczy jest zainteresowany moim pomysłem, ministerstwo dało mi poza tym zielone światło ze specjalnych funduszy. Zrobię zdjęcia, popytam, odwiedzę biblioteki, muzea. W zamku Tarrytown zabawimy dwie doby, potem mamy kilka dni na zwiedzanie stanu Nowy Jork. Chciałbym odwiedzić Saratogę, West Point, Yorktown, miejsca, w których przebywał Tadeusz Kościuszko i w których znajdziemy jego pomniki. Jak pan wie, Kościuszko brał aktywny udział w fortyfikacji tej ważnej ze strategicznego punktu widzenia rzeki. Ślady jego pobytu na ziemi amerykańskiej sięgają dalej na północ, aż do Ticonderogi.

- Myślałem, że zobaczę Nowy Jork - jęknął.

- Nie mogę panu tego zabronić, magistrze. Nie musi pan korzystać z mojej oferty i może pan zwiedzać Nowy Jork. Tutaj pan się nie zgubi. Jest metro, są autobusy, a na upartego można zwiedzić Manhattan na piechotę. Kiedy byłem tu pierwszy raz, mieszkałem opodal siedziby Polskiego Instytutu Naukowego i rano pieszo udawałem się do Central Parku pobiegać.

- Pan zwariował? Mam biegać po Nowym Jorku?! To niepoważne. Urzędnik ministerstwa zabawiający się w sportowca podczas delegacji. O, nie! To skandal. Muzeum? Proszę bardzo. Wystawa? Czemu nie! Ale wygłupy nie są w moim stylu. Jestem poważnym człowiekiem.

- Jak pan woli - wzruszyłem obojętnie ramionami. - Decyzja należy do pana. Ja zamierzam odwiedzić miejsca, w których Kościuszko zostawił po sobie trwałe ślad. Stan Nowy Jork jest wielki, ciągnie się aż po wodospad Niagara na północy przy granicy z Kanadą, więc będę w ciągłym ruchu. Chciałbym też odwiedzić Albany, stolicę stanu, bo nie każdy wie, że Nowy Jork nie jest stolicą stanu Nowy Jork.

- Nie jest?

- Nie. Lecz jest stolicą świata. Jeśli chce pan zwiedzać Nowy Jork, nie ma sprawy. Spotkamy się na lotnisku w niedzielę.

- We dwojkę różnie - sapnął. - Pan zna dobrze angielski...

- A pan to nie? Przecież podobno posługuje się pan angielskim swobodnie w mowie i piśmie.

Nie podjął wątku, co kazało sądzić, że z jego angielskim nie wszystko było w porządku. Pewnie znał język słabo, może biernie, lecz wpisał co innego, aby pojechać na tydzień do Ameryki. W kolejce czekało wielu urzędników świetnie znających język angielski.

Wreszcie kelnerka przyniosła kawę. Do sąsiedniego stolika dosiadła się dziewczyna z dwoma osobnikami. Mieszając cukier, zauważyłem, że przygląda mi się uważnie. Wnet podchwyciłem jej wzrok, pomimo panującego mroku. Trwało to sekundę. Była to ładna brunetka w wieku dwudziestu kilku lat, niewykluczone że studentka, gdyż miała na nosie druciane okulary i bystry wzrok. Wyglądała mi na tak zwaną intelektualistkę. Jej skórzana kurtka i kusa spódniczka wybitnie podkreślały „akademickość”. Nie widziałem twarzy jej dwóch towarzyszy, gdyż siedzieli odwróceny do mnie plecami, ale wydali mi się osobnikami w jej wieku.

- Może porozmawiamy o celu naszej delegacji? - zaproponował magister.

- Wałkowaliśmy to podczas spotkania w Polskim Instytucie Naukowym.

- Niby tak, ale więcej było uprzejmości, żartów niż merytorycznej dyskusji.

Pijąc kawę, powróciliśmy do celu naszej podróży do Nowego Jorku. Historia ta nie miała żadnego sensacyjnego posmaku, nic z tych rzeczy! Wreszcie mogłem odpocząć od fascynujących i mrozących krew w żyłach przygód. O tym, że miało być inaczej, miałem przekonać się już niebawem. Lecz wtedy, w owej knajpce na obrzeżach Greenwich Village, nie przeczuwałem niczego złego.

Bogaty Teksaszyk polskiego pochodzenia, Ted Benetton, właściciel roponośnych pól w Teksasie, umierając w podeszłym wieku zostawił dziwny testament. Majątek zapisał młodszemu synowi, kolekcję obrazów zaś - muzeum. Ted Benetton nie był wielkim kolekcjonerem, choć szczycił się posiadaniem mało znanego dzieła van Gogha i kilku innych znanych malarzy, a także kilku płócien polskich artystów! Nas

interesowały te drugie, bogaty Teksaszczyk bowiem zamierzał je wspaniałomyślnie podarować narodowi polskiemu.

Ted Benetton urodził się w Teksasie pod innym nazwiskiem, a jego rodzina pochodziła ze środkowego Teksasu. Dzieje tej rodziny sięgały XIX wieku. W latach czterdziestych tegoż stulecia osadzono Komanczów w rezerwach i znikły niewolnicze plantacje bawełny. Rolnictwo stało się wówczas filarem gospodarki. Na terenach zielonej i żyznej Wyżyny Edwardsa pozostały skupiska Europejczyków (głównie Niemców i Skandynawów), między innymi Polaków. Rodzina Teda żyła w okolicach Dallas. Po maturze powędrował on na zachód stanu i osiedlił się na spalonej słońcem pustyni, gdzie udało mu się ożywić jedno z licznych tam ghost towns - opustoszałych miast, ślad po dawnych osadnikach z okresu gorączki naftowej. Ostatecznie Ted Benetton kupił wielkie połacie ziemi niedaleko El Paso. W wyniku kilku dobrze przeprowadzonych inwestycji i łutu szczęścia, „niesforny Ted”, jak go czasem nazywano, w wieku trzydziestu lat stał się właścicielem zasobnych w miedź pól w okolicy Odessa - miasta oddalonego od El Paso na wschód o 100 mil. Pogłoski mówiły, że zdobył je nie do końca uczciwie, a mianowicie przyczyniając się do śmierci swojego współnika, który miał być faktycznym właścicielem ziemi. Benettonowi niczego nie udowodniono, w Ameryce liczą się bowiem dowody, a nie pomówienia. Zresztą sam Benetton zbywał niewybrednymi żartami tego typu posiadzenia. O jego potęgę świadczyła nie tylko dobrze prosperująca huta miedzi, lecz także plany wybudowania na przyległych terenach czwartej elektrowni atomowej w Teksasie, mającej konkurować z samymi South Texas Project i Comanche Peak.

Osoba tego biznesmena wiązała się także pośrednio z miasteczkiem Tarrytown pod Nowym Jorkiem, do którego się wybieraliśmy. Matka Teda Benettona pochodziła z rodziny dawnych niemieckich osadników, którzy przez ponad sto lat mieszkali w Tarrytown. Dlatego to właśnie miasto główny spadkobierca, syn Paul, wybrał jako miejsce uroczystego spotkania w drodze do Nowego Jorku.

Z niezrozumiałych dla rodziny powodów - o czym rozpisywała się lokalna prasa, a ostatnio nawet „New York Times” - Ted Benetton postanowił przekazać swoją kolekcję obrazów różnym organizacjom, co spotkało się ze wspaniałomyślnym zrozumieniem ze strony rodziny Paula. Mniej zachwycony był starszy syn Ronald, pozostający z ojcem w konflikcie od dawien dawna.

A Paul powtarzał na konferencjach prasowych:

- Taka była wola ojca. Różnie się układało między nami w przeszłości, ojciec zostawił mi jednak w spadku nieruchomości i pola naftowe. Nie mogę narzekać. Jeśli chciał, aby obrazy wisiały w muzeach, tak się stanie!

W kolekcji „Teksaszczyka” znalazły się dziewiętnastowieczne obrazy europejskich malarzy, w tym kilka płócien polskich twórców okresu międzywojennego, dzieła uznane za zaginione w czasie drugiej wojny światowej lub po prostu nieznanne. Były to: zaginiony obraz Ludomira Słędzińskiego, autoportret Stanisława Szukalskiego oraz akwarela Alfreda Kamienobrodzkiego. Artyści owi nie zaznali może takiej sławy jak współcześni im Wyspiański, Witkacy czy Żmurko, jednakże ich dzieła stanowią i wciąż stanowią skarb narodowej kultury. Może oprócz Szukalskiego, który cieszył się pewną sławą w Ameryce jako rzeźbiarz! Mało kto wie, że był ojcem chrzestnym znanego aktora Leonarda Di Caprio. Jakim jednak cudem trafiły w ręce Benettona te

dzieła, nie wiedział tego nikt. Jak i tego, że Szukalski sięgnął po farby i pędzel! Pewien sprawny amerykański reporter dopatrywał się związków Benettona z polskim rzeźbiarzem, który jeszcze przed drugą wojną światową osiągnął w Chicago sukces. A z tym miastem był związany interesami w latach trzydziestych XX wieku Ted Benetton. Szukalski po wojnie znowu utrzymywał kontakty z Ameryką, na starość osiadł nawet w Kalifornii i tamże zmarł w 1989 roku. Lecz nic nie było wiadomo o kontaktach zmarłego rzeźbiarza z Benettonem. A może nikt jeszcze takowych nie zbadał? Jakimże zatem cudem Szukalski miałby posiadać polskie obrazy uznane za zaginione, które następnie zasiły kolekcję Teda Benettona? Nie wiadomo. Wydaje się to wyssaną z palca dziennikarską bajeczkę, nic poza tym.

Na drugi dzień pojechałem na lotnisko odebrać wehikuł, a w tym czasie Pietraś samotnie zwiedzał miasto. Ku mojemu zaskoczeniu odprawa celna i załatwianie formalności papierkowych w odpowiednim urzędzie trwały zaledwie trzy godziny. Moja znajomość języka angielskiego okazała się nieocenionym atutem, lecz przede wszystkim pomocny okazał się plik dokumentów urzędowych. Puszczono mnie, nie czyniąc żadnych problemów, lecz wiedziałem, że wehikuł został całkowicie prześwietlony i zbadany przez służby celne. Kiedy zabierałem pojazd z lotniskowego parkingu, nic w nim nie brakowało, nawet laptop był w tym samym miejscu co zawsze.

Z lotniska porozumiałem się telefonicznie z magistrem Pietrasiem, który, o dziwo, zmienił plany na dzisiejsze przedpołudnie. Odwiedził on bowiem kuzyna od lat mieszkającego na Greenpoincie, dzielnicy zwanej „Little Poland”, leżącej w obrębie rozległego Brooklynu. O trzynastej jechałem już wehikułem ulicami tej dzielnicy ku najwyższemu położonemu na północy Greenpointowi. Mieszkanie kuzyna Pietrasia mieściło się opodal McCarren Park, lecz miałem ich zastać w pubie na Manhattan Avenue.

Jadąc we wskazane miejsce, z satysfakcją odnotowałem, że mój pojazd robi wrażenie nawet na nowojorczykach, a tutaj, jak wiadomo, trudno wprawić w zdumienie kogokolwiek. Diabli wiedzą, co sobie o mnie pomyśleli mieszkańcy tej metropolii - że jestem ekscentrykiem? E, raczej zwyczajnym biedakiem, którego nie stać na normalny pojazd.

„Nic to - pomyślałem - ważne, że zaistniałem tutaj”.

Z Manhattan Avenue - stojąc twarzą ku północnemu zachodowi - był dobry widok na środkowy Manhattan po drugiej stronie East River. O ileż ładniejszy widok rozciągał się z tego miejsca. Po drugiej stronie, na wyspie niski Brooklyn nie mógł chyba nikogo zaczarować. Manhattańczycy byli ubożsi o ten niesamowity pejzaż ciągnącego się przez osiem kilometrów „lasu” z betonu i stali. Teraz te niesamowite strzeliste budowle mieniły się w majowym słońcu gamą złocistych, srebrnych i platynowych błysków, iskrzyły niczym sznur pereł albo wysadzany diamentami naszyjnik. Żyjąc w tej najwyższej na świecie „dżungli” nie widziało się tego cudu architektury tak dobrze, jak właśnie stąd - z Brooklynu. Kto miał zatem lepiej? Przeciętny Manhattańczyk czy pospolicity Brooklyńczyk?

W dobrym nastroju stawiłem się w umówionym miejscu na spotkanie z magistrem Pietrasiem. Polski pub znalazłem bez trudu, gorzej było z miejscem do parkowania. Pół godziny upłynęło, zanim wcisnąłem się między auta na równoległej Eckford Street. Na Manhattanie było jeszcze gorzej z parkowaniem.

Pietraś był w znakomitym nastroju. Jego chudy, pięćdziesięcioletni kuzyn, Zdzisław Mazur, zaprosił go bowiem na drinka, a zatem obaj panowie raczyli się od pewnego czasu whisky z colą. Jak mi powiedzieli, była to ich druga szklaneczka, ale patrząc na magistra, na jego wesołe oczy i spocone oblicze (pomimo działającej bez szwanku klimatyzacji), powinienem chyba podwoić liczbę kolejek.

Mój widok wpędził magistra w jeszcze większy entuzjazm. Po krótkiej prezentacji i odmowie wypicia, opowiedziałem w skrócie przebieg odprawy celnej na lotnisku.

Potem zaczął mówić magister:

- Jak pan pojechał na lotnisko, pozwiedzałem sobie trochę Greenwich Village, potem wsiadłem do metra i zjawiłem się na Greenpoincie. Ile można łązić po Manhattanie! Jak już byłem tutaj, zadzwoniłem z automatu do Zdzisia i ten wyszedł po mnie.

- Ale zrobiłeś mi niespodziankę! - śmiał się pan Mazur. - Ha, ha! Dzisiaj akurat mam wolne, bo robię na dwie zmiany. Szczęście... normalny fart. Na pewno pan się nie napije? Ja stawiam.

- Niestety - rozłożyłem wymownie ręce - ale muszę jeszcze dzisiaj dotrzeć do Tarrytown. To znaczy: musimy. Ja i kolega Pietraś. Razem.

- Pan się nie martwi taki głupstwami Zawiozę was moim trzyletnim dodge'm - zapewnił mnie pan Mazur. - Spokojnie, niech pan strzeli sobie jednego, młodzieńcze.

Pan Zdzisław w dalszym ciągu deklarował chęć zawiezienia nas do Tarrytown w stanie upojenia alkoholowego! Na to nigdy bym nie pozwolił.

- Zawiozę was i już! - nadawał. - Tarrytown nie ucieknie.

- Nie powinno. Lecz tak się składa, że jesteśmy w delegacji. Dzisiaj musimy stawić się na uroczystej kolacji.

- No to zdąży pan wytrzeźwieć do wieczora - i ręką zrobił ruch w stronę barmana. - Kelner! Jedną whisky, proszę!

Stanowczo odmówiłem i stanąłem obok speszonego przebiegiem rozmowy kolegi Pietrasia.

- Wykluczone, panie Zdzisławie - zaprotestowałem. - Chciałbym jeszcze zrobić serię zdjęć nad rzeką Hudson. Poza tym musimy przygotować się do wspomnianego spotkania. To nie jest zwykła kolacja.

- Wiem, wiem - kiwał głową rodak. - Przyjechaliście po malowidła, Janek mi mówił. Pięknie... Ważna sprawa... służbowa... narodowa... Nie namawiam w takim razie... Zaraz! Janek zdradził mi, że przywiózł pan z Polski dziwny rzęch, to znaczy chciałem powiedzieć cudaczny samochód wykonany z blachy, taki ręcznie klepany... no wie pan, handmade. Czy to prawda, że zrobiono go z puszek po wojskowych konserwach?

- Nie - zaprzeczyłem. - A skąd panu przyszło do głowy, że to jest wielka konserwa na kółkach?

Nie odpowiedział wprost, ale zerknął bezradnie na Pietrasia. Ten chrząknął i spuścił wzrok.

- Nieważne - machnął ręką. - Ale czy nie boi się pan, że złapie was policja? Albo że rozkrzyczycie się w terenie i doprowadzicie do bankructwa ministerstwo płacąc tutejszej pomocy drogowej?

- Ależ to bardzo dobry pojazd - odpowiedziałem spokojnie. - Sprawdzał go dobry mechanik. Nazywam ten pojazd wehikułem.

- Zwał jak zwał, ale trzeba uważać.

- Ano trzeba - westchnął magister.

I spojrzął na zegarek, udając zdziwienie.

- O Boże, jak późno!

Rzeczywiście, spieszyło nam się. Pan Zdzisław nie nalegał już na wypicie drinka, ale odprowadził nas na Eckford Street - chciał bowiem na własne oczy zobaczyć zachwalany przeze mnie wehikuł, który w oczach magistra Pietrasia uchodził za konserwę na kółkach.

Przypomnę, że wehikuł był pięciometrowej długości cygarem, trochę przypominającym owada bez skrzydeł, któremu zamiast odnóży wstawiono solidnie ogumione koła. Ciemnozielona karoseria po rajdowym samochodzie terenowym - wyklepana niestarannie i ręcznie - ukrywała pod maską silnik 550-konnego astona martina vantage. Dzięki temu mój pojazd osiągał prędkość do 280 kilometrów na godzinę. Był darem starego kolekcjonera, któremu mój szef, pan Tomasz, pomógł kiedyś odnaleźć cenną kolekcję obrazów. Nieżyjący już dzisiaj darczyńca płacił za nas wszelkie podatki i rachunki za naprawy, zgodnie ze specjalną klauzulą spadkową. Wehikuł posiadał wreszcie z tyłu wysuwaną za pomocą specjalnego guzika na masce rozdzielczej śrubę umożliwiającą pływanie po wodzie. Jednakże jego widok przeważnie nie napawał gapiów szczególnym entuzjazmem, co było zasługą źle wyklepanej karoserii i jej kształtu. Dla mnie jednak był to pojazd, bez którego nie wyobrażałem sobie żadnej misji. Ba - mojej pracy!

- Co to za cudaczna maszyna? - stanął jak wryty na widok wehikułu pan Mazur. - Przepuścili pana na granicy? Nie wzięli tej skorupy za terrorystyczny wóz bojowy?

- Ano nie - odparłem. - Może dlatego, że to nie jest wóz bojowy. To szybki i dobry samochód. Może nie jest piękny, ale ma wiele zalet.

- Może jednak zawiozę was moim trzyletnim dodge'm? - zaproponował nieśmiało. - To znakomity samochód.

- Właśnie! - poparł go magister.

- Wehikuł też jest niczego sobie - poklepałem maskę swojej maszyny.

- Okej, jeźdźcie ostrożnie.

Magister nic nie mówiąc, poprzednia radość istnienia zamieniła się w depresję. Był to zapewne skutek zmiany czasu, co i działania samego alkoholu, który zawsze na początku daje nam złudzenie euforii, potem powoduje lekkie przygnębienie. Poza tym nie wiedział on chyba, jakim pojazdem przyszło mu podróżować. Wiedział na temat wehikułu tylko tyle, ile wiedzieli pozostali pracownicy Ministerstwa Kultury i Sztuki. Czyli - nie za wiele. Panowała bowiem w naszej instytucji legenda, że mój szef, pan Tomasz, miał słabość do dziwnych, brzydkich pojazdów. No i ładnych kobiet.

Opuszczając Greenpoint, widziałem jeszcze we wstecznym lusterku, jak pan Mazur odprowadzał nas niespokojnym wzrokiem, a następnie zapobiegawczo się przeżegnał. Uśmiechnąłem się pod nosem na reakcję tego skądinąd sympatycznego człowieka.

Po krótkiej wizycie w hotelu, z którego zabraliśmy swoje manele, skierowaliśmy się na Henry Hudson Pkwy (Parkway), drogę, która ciągnęła się na północ od Manhattanu aż do Van Cortland Park, towarzysząc niemal na całej swojej długości rzece Hudson. Rozległe i tłuste od słońca Yonkers - miejscowość leżąca już poza granicami Nowego Jorku - osiągnęliśmy po godzinie męczącej jazdy.

Zmęczenie coraz bardziej dawało mi się we znaki, gdyż wehikuł nie posiadał klimatyzacji. Magister Pietrasz z początku śledził każdy mój ruch kierownicą, jakby pojazd miał się rozlecieć na kolejnym zakręcie. Potem dał spokój, widząc, że nic nam nie grozi. W trosce o jego stan ducha zwoleliśmy.

Nie pamiętam dokładnie tego miejsca, ale było to na trasie Saw Mill River Pkwy, gdzieś na wysokości Greenburgha, za północnym skrajem cmentarza Mount Hope. Otóż, zauważyłem jadący za nami w odległości stu jardów samochód - biały pickup.

Był to dodge. Od razu przypomniałem sobie rodaka z Greenpointu.

- Czy pański przyjaciel Zdzisław Mazur nie jeździ przypadkiem białym dodge'm? - zapytałem lekko senniego Pietrasia.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem.

- Ale to pickup?

- Tego też nie wiem. Czemu pan pyta?

Lekko przyhamowałem, powodując, że jadący do tej pory z jednakową prędkością sznur samochodów zwolnił. Ten manewr zaniepokoił przede wszystkim mojego pasażera.

- Zaczyna się psuć? Ten pański wehikuł? Zwalnia...

- To ja zwalniam. Chcę zobaczyć, kto za nami jedzie.

- Nie rozumiem? A kto ma jechać?

Biały dodge zwolnił wraz z innymi samochodami. Mój manewr okazał się niewypałem. Nie udało się dostrzec siedzącego za jego kierownicą właściciela. W ostrym słońcu nie widziałem nawet jego sylwetki. Nie mogłem też zrozumieć, czemu niby znajomy kolegi Pietrasia miałby za nami jechać? To absurd. W Ameryce jeżdżą miliony dodge'ów. Tak więc, dlaczego ów biały pickup tak mnie zaniepokoił?

Otóż, widziałem go jadącego za nami już w Yonkers. W tym miejscu należy wam się krótkie wyjaśnienie. W mojej pracy detektywa na ministerialnym garnuszku często sam śledziłem osoby podejrzane o handel dziełami sztuki, nierzadko jednak i sam bywałem przez różne podejrzane typy śledzony. Miałem więc wyostrzony zmysł obserwacji. Poza tym w takich wypadkach odzywała się zwykła intuicja.

Dodałem gazu, licząc, że uda mi się ustalić tożsamość kierowcy dodge'a dalej na trasie. Rozpędziłem wehikuł do siedemdziesięciu mil na godzinę, jadąc już nieprzepisowo - za szybko. Wyprzedziłem inne samochody i w dalszym ciągu zwiększałem prędkość.

- Co się dzieje? - wystraszył się magister. - Panie Pawle!

Nie odpowiedziałem mu. W milczeniu obserwowałem we wstecznym lusterku, jak biały dodge wyprzedził kilka samochodów. Przypieszyl.

A jednak! Jechał za nami.

Witaj, przygodo!

ROZDZIAŁ DRUGI

W DRODZE DO TARRYTOWN * RZĘKA HUDSON * SŁÓW KILKA O TADEUSZU KOŚCIUSZCE * JAK ROZUMIEĆ DZISIAJ PATRIOTYZM? * ZAMEK W TARRYTOWN * ZNOWU BIAŁY DODGE * KPINY Z WEHIKUŁU, CZYLI PRZESTARZAŁY SPUTNIK * O RANY, JOHNNY DEPP! * MELDUJEMY SIĘ NA ZAMKU * OBIAD W DOSTOJNYCH MURACH * NAD RZĘKĄ * KRYMINALNA PRZYGODA EDGARA ALLANA POE * ZNOWU ŚLEDZENI * PRZED RAUTEM * SPOTKANIE Z BENETTONAMI

Biały dodge pickup zjechał z Saw Mill River Pkwy za miejscowością Ardsley. Odetchnąłem z ulgą i zgańnięm się w duchu za nadmiernie rozbudzoną wyobraźnię, a raczej podejrzliwość - chorobę zawodową każdego detektywa. Czasami przeklinałem tę przypadłość utrudniającą poznawanie świata, zwiedzanie i czerpanie radości z normalnej turystyki. Zrzuciłem moje podejrzenia na karb zmęczenia i zawodowego skrzywienia.

Sunęliśmy po hrabstwie Westchester na północ do pobliskiego Tarrytown, przecinając zalesiony teren z wydłużonym zbiornikiem Woodlands Lake po prawej. Cały ten przyległy do koryta rzeki Hudson obszar należał do Doliny Hudson - znanego geograficznego i historycznego regionu, który od pokoleń inspirował pisarzy, artystów i... kochanków. Tarrytown leży między Irvington i Sleepy Hollow, w południowej części Hudson Valley zwanej Lower, i jest odległe o niecałą godzinę jazdy od Nowego Jorku. Sleepy Hollow zasłynęła w światowej literaturze dzięki książce „The legend of Sleepy Hollow” pióra Washingtona Irvinga (a także dzięki filmowej adaptacji tej książki).

Nazwa tej trzystumilowej rzeki - biorącej początek w górach Adirondack i biegnącej głębokim obniżeniem przez północne pasma Appalachów - pochodzi od nazwiska angielskiego żeglarza Henry'ego Hudsona, który przepłynął ją w 1609 roku, odkrywając przy okazji wyspę nad Atlantykiem zwaną dzisiaj Manhattanem. Odbył on podróż przez Przylądek Północny i Wyspy Owcze do Nowej Fundlandii. Kierując się na południe, dotarł wreszcie do ujścia nazwanej jego imieniem rzeki.

Pierwsi osiedlili się w Dolinie Hudson Holendrzy i wciąż jest ich tutaj wielu. Większość leżących u brzegów rzeki miast ma bogatą tradycję, sięgającą początków potęgi Ameryki; ośrodki te odgrywały zasadniczą rolę podczas wojen domowych. Lista znanych mieszkańców południowych terenów Hudson Valley jest bogata, by wymienić tylko prezydentów Martina Van Burena czy Franklina Delano Roosevelta, lecz żyli tutaj także mężowie stanu (George Clinton, Nelson Rockefeller, Robert Livingstone), pisarz Washington Irving i wynalazca Samuel F. B. Morse. Wzdłuż stromych, zalesionych brzegów wznoszą się zabytkowe rezydencje Rooseveltów, Vanderbiltów, van Cortlandów i innych bogatych rodzin. Bogate muzea w kilku miastach nad rzeką gromadzą wiele pamiątek po tych ludziach i bogatej przeszłości tego regionu. Przebywał tu także nasz rodak Tadeusz Kościuszko.

Co wiemy o pobycie Kościuszki w Ameryce w Dolinie Hudson? I na ile jego związki z tą ziemią mogłyby być przydatne dla potrzeb mojego eseju? Najpierw wypadałoby zacząć od przypomnienia kilku faktów z biografii bohatera mojego przyszłego artykułu. Dla zabicia czasu, postanowiłem zapoznać kolegę Pietrasia z sylwetką Kościuszki, bo niby znamy jego postać ze szkoły, lecz tak naprawdę niewiele

więcej możemy o nim powiedzieć poza tym, że brał udział w insurekcji określanej jego nazwiskiem.

Po pierwszym rozbiórce Polski Kościuszko wrócił do Polski. Nie znalazłszy zatrudnienia w Wojsku Polskim, wyjechał jesienią 1775 roku do Drezna. Tam nosił się z zamiarem wstąpienia do służby na dworze saskim lub do armii elektora. Zabiegi w Dreźnie nie przyniosły powodzenia, dlatego odbył dalszą podróż do Paryża. We Francji dowiedział się o trwającej wojnie w Ameryce. W tym okresie za oceanem kolonie amerykańskie podjęły walkę z Anglią o swoją niepodległość. Amerykanów wspierali Francuzi i odnosili już sukcesy. Prawdopodobnie w czerwcu 1776 roku Kościuszko wyruszył w podróż do Ameryki i przybył tam w niecały miesiąc po ogłoszeniu Deklaracji Niepodległości. Dzięki listowi od księcia Czartoryskiego i wstawiennictwu generała Lee zostaje nominowany na inżyniera armii amerykańskiej. Opracował w tym okresie między innymi projekt ufortyfikowania Filadelfii, a rok później wysłano go na północ nad granicę kanadyjską, do oddziałów dowodzonych przez generała Horatio Geatesa. Jego dziełem była fortyfikacja różnych obozów wojskowych, rozgłos zaś przyniósł mu obóz znajdujący się blisko indiańskiej wioski Saratoga. Wkrótce powierzono mu budowę silnej twierdzy West Point nad rzeką Hudson, a decyzję tę poparł sam naczelny wódz armii amerykańskiej Jerzy Waszyngton. W końcu na własną prośbę został Kościuszko skierowany do armii południowej. I tu także jego umiejętności inżynierskie pozwoliły Amerykanom odnosić zwycięstwa.

Dlatego też uchwałą Kongresu Tadeusz Kościuszko awansowany został 13 października 1783 roku na generała brygady armii amerykańskiej. Otrzymał nawet specjalne podziękowanie, nadanie gruntu (około 250 hektarów) oraz znaczną sumę pieniędzy, która miała być wypłacona w rocznych ratach. Przyjęto go - jako jednego z trzech cudzoziemców - do Towarzystwa Cyncynatów, założonego przez najbardziej zasłużonych oficerów.

Kościuszko wrócił do Polski w 1784 roku. Lecz jego przygoda z Ameryką nie skończyła się. Zanim do niej wrócił, w 1789 roku otrzymał podpisaną przez króla nominację na generała majora wojsk koronnych. Potem była Konstytucja 3 Maja, Targowica i przygotowania do spodziewanego ataku wojsk rosyjskich. Kościuszko został dowódcą jednej z trzech dywizji, tworzących armię koronną pod dowództwem księcia Poniatowskiego. Niespodziewane przystąpienie króla Polski do konfederacji targowickiej zadało poważny cios Ojczyźnie. Większość działaczy politycznych wyjechała głównie do Saksonii, tam bowiem - w Lipsku i Dreźnie - powstawał ośrodek emigracyjny przeciwników konfederacji targowickiej. Narodowe Zgromadzenie Prawodawcze rewolucyjnej Francji nadało Kościuszce zaszczytny tytuł Obywatela Francji. Przyszedł wreszcie drugi rozbiór kraju, słynna przysięga na rynku krakowskim w 1794 roku, wygrana bitwa pod Racławicami i ostateczna klęska insurekcji. Kościuszko dostał się do niewoli w wyniku przegranej bitwy pod Maciejowicami. Potem nastąpił trzeci rozbiór Polski. W 1796 roku Paweł I wypuścił Kościuszkę (po złożeniu przysięgi wiernopoddańczej) wraz z dwudziestoma tysiącami Polaków. Nasz bohater wyjechał na krótko do Stanów Zjednoczonych. Kiedy zjawił się ponownie w Filadelfii, tamtejszy lud wyprzągł konie od powozu i wioził Polaka jako swego zbawcę.

Wrócił jednak do Europy w 1797 roku. W latach 1798-1815 mieszkał w Breville pod Paryżem i brał udział w tworzeniu Legionów Polskich. Spotkał się także z

Napoleonem, któremu jednak nie ufał. Zmarł w 1817 roku w Solur w Szwajcarii. W rok później jego prochy przewieziono do Katedry Wawelskiej, a na jego cześć usypano Kopiec Kościuszki w Krakowie.

- Wszystko pięknie - ziewnął dyskretnie magister - ale co w tym nadzwyczajnego? Biografia jak biografia. Czym pan chce zainteresować czytelników pańskiego eseju?

- Chciałbym skoncentrować się na jego działalności fortyfikacyjnej w Stanach Zjednoczonych - odparłem po chwili namysłu. - Ale przyszło mi do głowy pewne porównanie z czasami współczesnymi. Otóż, Kościuszko brał udział w walkach o niepodległość Ameryki, wcześniej pragnął służyć na dworze saskim i w armii elektora, odznaczyli go Amerykanie i Francuzi, a jednak uchodzi w oczach współczesnych Polaków za bohatera narodowego! Patriotę.

- I co w tym dziwnego?

- A to, że wysłanie polskich wojsk do Iraku Anno Domini 2003 traktuje się u nas w kraju jako operację z gruntu niepotrzebną, złą, bezsensowną, pozostającą bez związku ze służbą Polsce i nie mającą nic wspólnego z patriotyzmem. Większość Polaków nie widzi w tej misji wkładu w budowę światowego pokoju. W końcu wypełniamy sojusznicze zobowiązania. Tak jakby pokój i patriotyzm były pojęciami zaściankowymi. A za co został odznaczony we Francji Kościuszko? Właśnie za uznanie jego walki w imię ideałów wolności. Co robi nasze wojsko w Iraku? Broni ideałów wolności, gdyż były przywódca Iraku Saddam Husajn był ucieleśnieniem zła i tyranii.

- Ciekawa interpretacja - mlasnął językiem magister, jakby degustował wino. - Ciekawa.

Za Irvington (na wysokości Elmsford) zjechaliśmy z Saw Mill River Pkwy na 87 stanową, i zaraz zaczęły się wielkie rozjazdy, na których musiałem bardzo uważać, aby nie pojechać owym „thruwayem” na most Tappan Zee łączący dwa rozdzielone błękitną wodą brzegi dwóch hrabstw. Szerokiego koryta rzeki nie było jeszcze stąd widać. Za to w oddali, bardziej w kierunku północno-zachodnim, zamajaczyła wielka zalesiona czupryna monstualnego wzgórza z umieszczonym na szczycie - ręką zdawałoby się boską - zamczyskiem. Przyjeździe kiedyś do hrabstwa Westchester zobaczyć na własne oczy ten niezwykle, bajkowy widok normandzkiej budowli, lśniącej w promieniach słońca na szczycie nierealnej i przywodzącej na myśl europejskie opowieści z mrocznego średniowiecza góry. I to tu, w Ameryce, kraju fast foodów i taniej ropy! Samo wzgórze wyrastało jakby z gigantycznej niecki ludzkich skupisk, tysiąca osiedli, przytłaczało surowością i epickim spokojem. Bryła zamku, widoczna z odległości kilku mil, zmieniała to wzgórze w osobliwość, gdyż wiele było w Ameryce podobnych wzniesień, ale z takim zamkiem należało do rzadkości. Piękny i rzadki był to widok, którego nie sposób zapomnieć i który jeszcze dzisiaj pamiętam z siłą wyrazu nieustępującą pierwszemu, dziewczemu kontaktowi. Lecz musiałem dowieźć nas szczęśliwie na sam szczyt, do tej nieruchomej, jakby z głązu wyciosanej twierdzy, która dzisiaj była luksusowym hotelem. Musiałem zatem bardziej patrzeć przed maskę wehikułu, niż podziwiać hen daleko mający zamek na szczycie wzniesienia.

Jakimś cudem udało mi się za pierwszym razem wjechać w odpowiedni zjazd i włączyć się do ruchu na Tarrytown Road, szosie ciągnącej się w kierunku zachodnim

ku rzece. W okolicach Town of Greenburgh skręciliśmy z niej w prawo w Benedict Ave., biegnącą już prosto do miasteczka. Z tej trasy zamek był niewidoczny, gdyż wzgórze, na którym stał, zasłaniały korony przydrożnych drzew i dachy licznych domostw. Zresztą tonący w zieleni teren podnosił się tutaj i opadał, a ostatni kawałek drogi przypominał jazdę przez wąwóz, który z prawej strony ograniczało znaczne podwyższenie terenu. Jechaliśmy wolno, aby nie zgubić właściwej drogi.

Jeszcze tylko odbiliśmy w prawo - zgodnie ze wskazówką na drewnianym, stylowym drogowskazie - w małą wąziutką alejkę pnącą się serpentyną na szczyt wzgórza. Podziwialiśmy nie tyle zadbane trawniki, dorodny drzewostan i rzadkie krzewy, co roztaczający się z każdym metrem coraz bardziej magiczny widok na dolinę. Widok z góry był równie ekscytujący co pejzaż widziany kwadrans temu z doliny na wzgórze z zamczyskiem

Koniec podróży. Zamek ukazał nam się z bliska, wyłonił się zza drzew i alejek, i uderzył majestatem potężnych wież i wieżyczek. Nie pojechałem na dziedziniec, lecz skierowałem wehikuł na niższy poziom, gdzie przy podzamczu znajdował się parking odgrodzony od zamku solidnym kamiennym murem opasującym wschodnią część zamku. Uderzyła mnie spora liczba samochodów najróżniejszych marek, wśród których przeważały auta drogie i rzadkie.

Wysiedliśmy z wehikułu bez świadków. Tylko ptaki świergoliły wesoło w koronach drzew i nieznaczny podmuch chłodził rozpalone majowym słońcem powietrze. Zabraliśmy najpotrzebniejsze bagaże i schodkami ruszyliśmy nieco zamroczeni trudami dotychczasowej podróży ku dziedzińcowi, pod górkę na wyższy taras, z tego miejsca zasłonięty przez skrzydło zamku z potężną wieżą. Marzył mi się wtedy prysznic.

- Prawdziwy zamek - cmoknął z zachwytem magister. - Nie żadna tam podróbka z piaskowca.

- Ano nie - dodałem. - Jego budowę zaczął w 1897 roku generał Howard Carroll, wielce szanowany wydawca, dramaturg i biznesmen, wzorując się na normańskich fortyfikacjach granicznych w Szkocji, Walii oraz Irlandii. Architektem był Henry F. Kilburn i swoje dzieło wzorował na zamku Linsmore w Irlandii, lecz wkład generała Carrolla był nieoceniony. To cudo architektury, przed którym parkujemy, nazywano kiedyś „Carrollcliffe”. Oryginał posiadał 45 pokoiów. Ponad stu różnych rzemieślników kończyło dzieło, którego budowa obejmowała dwa etapy, zakończone w 1910 roku; w sześć lat później Howard Carroll umarł.

- Mam nadzieję, że jego duch nie straszy w tym zamczysku? - zażartował magister.

- Nie, generał Carroll zmarł bowiem w Nowym Jorku, ale jego rodzina mieszkała tu do 1940 roku. W 1941 roku Emerson i Ruth Axe kupili zamek za 45 tysięcy dolarów. W czasie drugiej wojny światowej twierdza służyła jako punkt obserwacyjny i nasłuchowy. Potem był tutaj internat dla chłopców. W 1994 roku zamek został kupiony przez grupę inwestycyjną „Hanspeter and Steffi Walder” z Tarrytown i zamieniony na hotel.

Stanąłem na rogu wieży na schodkach prowadzących w górę. Rzuciłem torbę podróżną na betonowy stopień i odwróciłem się zaafierowany czymś - jak mi się zdawało - istotnym. Rozejrzałem się po parkingu. Wśród wielu parkujących przed zamkiem aut, ujrzałem to jedno szczególne. Biały dodge pickup!

„Ten sam?” - zastanawiałem się.

- Hej, panie Pawle! - krzyczał za mną kolega Pietraś. - Co się stało? Idziemy czy zostajemy tutaj? Zmęczony jestem. I zjadłbym coś!

Nie zważałem na jego marudzenie. Podbiegłem po żwirowym nasypie do dodge'a parkującego między sportową mazdą a starym modelem porsche'a, i rozpląsałem swój nos o szybę pickupa. Nic ciekawego nie zauważyłem w jego wnętrzu, tablica rejestracyjna świadczyła zaś niezbicie, że właściciel samochodu pochodzi z Nowego Jorku. Byłem pewny, że ten właśnie biały dodge jechał za nami od Yonkers. Potem znikł mi z oczu, skręcił w boczną drogę, lecz ostatecznie dotarł tu, gdzie my, do zamku. Czyżby właściciel dodge'a zorientował się, że zauważyłem go i wołał usunąć się z pola widzenia? Kim był ten człowiek? Nie wiedziałem, lecz mogłem poznać właściciela auta - wystarczyło przycząć się na niego na parkingu. Tylko czy miało to sens?

- Co się dzieje? - zainteresował się mój kolega. - Co pan robi?

- Ten dodge jechał za nami od Yonkers. Potem zjechał z trasy. Lecz, proszę, spotykam go znowu. Tutaj.

- I to takie dziwne? - zmarszczył czoło. - Zaraz, a skąd pewność, że to ten sam samochód? Zapamiętał pan numery rejestracyjne?

- No nie, ale wydaje mi się, że to ten sam. Z początku myślałem, że to pański kuzyn Zdzisław wybrał się za nami w podróż, ale to chyba nie on. Zaczekałby na nas na tym parkingu, prawda?

- W co pan się bawi? - jęknął przerażony magister. - Uprzedzono mnie, że wasz departament słynie z niekonwencjonalnych metod pracy. Nie przypuszczałem jednak, że zatrudnili tam dużych chłopców. Bo chyba nie cierpi pan na brak rozrywki albo manię prześladowczą? Powiadają, że pan Tomasz, pański szef, to dziwak nad dziwaki. Ale i pan jest trochę dziwny, przyjacielu.

No cóż, zrobiło mi się głupio.

- Dobra, ma pan rację - machnąłem ręką na dodge'a. - Idziemy coś zjeść.

Nie zrobiliśmy nawet kroku z bagażami, gdy zza rogu wieży wyłoniła się dwójka ludzi w moim wieku. On - smukły, przystojny osobnik z czupryną bujnych włosów i kilkudniowym zarostem, ubrany na czarno, ona - wysoka, piękna blondynka w dżinsach i lekkiej kamizelce. Roześmiani szli po żwirze ku parkującym samochodom i wcale, ale to wcale, nas nie dostrzegali, zajęci byli wyłącznie sobą. Przechodząc obok mojego wehikułu, zatrzymali się na chwilę. Ich śmiechy umilkły i po chwili pękła w nich nowa energia podszyta szyderstwem.

- Co za rupieć, John?! - odezwała się wystrzałowa blondynka. - Widzisz? Sputnik przerobiony na samochód.

- Raczej dwa sputniki - zarechotał ów John.

- I to przestarzałe!

- Jakby nad nim popracować, mógłby zastąpić lądownik na Marsie.

Po chwili para straciła zainteresowanie wehikułem i podeszła do czarnego, sportowego mercedesa kabriolet. Wskoczyli do wnętrza pięknego wozu i auto ruszyło z parkingu z piskiem opon. Mercedes zrobił prawie w miejscu efektowny obrót i popędził serpentyną w dół ku Benedict Ave.

A obok mnie magister Jan Pietraś stal jak zahipnotyzowany, odprowadzając wzrokiem oddalającego się mercedesa. Stał i gapił się jak na święty obrazek. Lecz,

przyznajmy to szczerze, ja również patrzyłem za owym samochodem, a raczej za osobą jego kierowcy.

- Widział to pan? - wyszeptał wreszcie magister. - Johnny Depp we własnej osobie... ten słynny aktor hollywoodzki! Niech mnie kule biją, jeśli to nie był Johnny Depp! Co on tu robi?

- Też mi się wydaje, że to Depp - odezwałem się nie mniej zaskoczony, zapominając nawet obelżywe słowa, jakie aktor i jego niewiasta rzucili pod adresem wehikułu. - Ostatnio widziałem w warszawskim kinie „Palladium” jego najnowszy film zatytułowany „Brawurowa miłość”.

- A tak, słyszałem, ale jeszcze na nim nie byłem. Warto?

- Lubi pan filmy bito-kopane?

- Myślałem, że to romans - skrzywił się. - To znaczy komedia romantyczna.

- Wątek miłosny jest, i owszem. Johnny Depp kocha się w starszej od siebie aktorce. Ale przez większą część filmu ucieka przed złymi agentami aktorki i częściej używa pięści niż głowy. Są też elementy pirotechniczne, panie magistrze.

Podeszliśmy do porzuconych bagaży.

- O rany! - jęknął magister. - Johnny Depp! Widziałem tu samego Johna Deppa! Jezu, niesamowite. Ameryka jest jednak wielka! Warto było przyjechać i zobaczyć słynnego aktora. Niech pan powie, ilu rodaków miało okazję widzieć Johna Deppa?

- Niewielu - wzruszyłem ramionami.

Wziąłem swoją torbę i uszyłem schodkami w górę. Za mną szedł magister, wciąż śląc hymny pochwalne pod adresem aktora i jego pięknej przyjaciółki. Rzeczywiście, owa dziewczyna, a może tylko znajoma, była kobietą śliczną i powabną, taką, za którą na Manhattanie odwraca się tłum przechodniów na całej 5 alei od Harlemu aż po Lower Manhattan. Bo sam aktor, oprócz pewnej mgiełki charyzmy, jaką roztaczał wokół siebie, prezentował się dosyć przeciętnie. Lecz dobrze wiedziałem, że mogła to być przykrywka przed wścibskimi fanami i reporterami. A może po prostu aktor lubił chodzić zarośnięty i nosić zwykłe ubranie.

- I jakim mercedesem jeździ, co nie? - nie mógł przestać mówić magister, mimo że marsz z bagażem pod górkę był nieco wyczerpujący. - Nie to co ten nasz wehikuł. Jak to ujął sam Johnny Depp? Sputnik! Ha, ha! Dobre sobie, genialne spostrzeżenie, rzeczywiście, panie Pawle, bez urazy, ale ten cały wehikuł przypomina skrzyżowanie sputnika ze snopowiazałką. Ha, ha! Tylko, że Johnny Depp nie wie, co to jest snopowiazałka i zadowolił się porównaniem ze sputnikiem.

- Być może - westchnąłem. - Być może mój pojazd przypomina bardziej pojazd kosmiczny niż samochód. Ale nie szata zdoła człowieka, a to znaczy, chciałem powiedzieć, że karoseria to nie wszystko. Może i mój wehikuł jest brzydki i koślawy, lecz to pojazd unikatowy, jedyny w swoim rodzaju...

- Oj tak, unikatowy...

- Przy którym mercedes samego Deppa wysiada.

Kolega Pietraś szedł za mną i nie przestawał się śmiać, ignorując moją ostatnią uwagę. Pewnie uznał, że plotę trzy po trzy, a może się po prostu droczę.

Weszliśmy na wyższy taras, ten znajdujący się na poziomie dziedzińca. Ominęliśmy jakąś dużą wnękę służącą jako parking dla służbowych aut. Wdzierającą się pomiędzy dorodne drzewa alejką - łukiem omijającą niższe skrzydło zamku - weszliśmy na

rozległy i kameralny dziedziniec. Na jego środku znajdował się niewielki trawnik obsypany żółtymi tulipanami, z niewysoką gipsową figurką na środku. Pierwsze wejście do twierdzy prowadziło zabudowanym portalem, nad którym wznosiła się krótsza, wschodnia wieża, drugie, na wprost nas, w części południowej. Tam mieściła się recepcja. Szczególne wrażenie robiły witrażowe okna z żółtego szkła w części parterowej i wspaniałe uczucie odizolowania od świata, które dawały masywne mury i zagospodarowany przyjaźnie teren. Nie było tutaj krzykliwych elementów, neonów ani tanich gadżetów, całość prezentowała się monumentalnie, surowo, tchnęło tutaj spokojem, zaś szary kolor kamieni w zestawieniu z soczystą zielenią trawników i krzewów dawał uczucie ukojenia.

Ruszyliśmy do recepcji. Natychmiast wyszedł nam naprzeciw człowiek w granatowym garniturze, bardziej wyglądający na agenta ochrony niż odźwiernego. Z boku, przy stylowym portalu mozoliło się trzech robotników, naprawiali chyba kawałek elewacji. Zauważyłem też rozbitą obok białą donicę.

- Proszę się nie przestraszyć - tłumaczył się tutejszy odźwierny. - Jakiś gość wczoraj tak nieczłowiecznie wykręcił na dziedzińcu samochodem, że o mało nie rozwalił całego wejścia. Uszkodził kawałek muru.

- Na szczęście portal zbudowano z solidnego kamienia - uśmiechnąłem się.

Wewnątrz twierdzy dopiero otworzyły nam się buzie z wrażenia, jakie wywarło na nas wszechobecne bogactwo i przepych. Nic dziwnego, że przybywali tu klienci gotowi zapłacić za pokój trzysta dolarów, a za apartament drugie tyle. Może źle to ująłem - nie czuło się tutaj przepychu. Królowały ozdobione dębowym drewnem wnętrza, witraże ze szlachetnego szkła, kryształowe żyrandole i gipsowane sufity. Klasa!

Zameldowanie w recepcji trwało niewiele dłużej niż mrugnięcie powieką, ot tyle, ile potrzeba czasu na podanie numeru rezerwacji i uśmiech. Oddaliśmy paszporty i dostaliśmy stylowo wyglądające klucze do dwójki na pierwszym piętrze, w zachodnim, dobudowanym skrzydle, łączącym się z właściwą bryłą zamku wewnętrznym przejściem. Pięknymi drewnianymi i szerokimi schodami - mogącymi służyć jako scenografia do filmu historycznego o dawnych irlandzkich władcach - udaliśmy się na górę, odprowadzani przez życzliwe oko obsługi. Stamtąd przedostaliśmy się do drugiego skrzydła.

Pokój nasz wychodził na rzekę Hudson. Widok z góry był tak urzekający, że rzuciwszy na dywan nasze bagaże, staliśmy w podłużnym, wysokim oknie i podziwialiśmy panoramę błękitnej wstęgi, za którą wznosiły się zalesione wzgórza sąsiedniego hrabstwa i którą przecinał po skosie stalowy gigant - Tappan Zee Bridge. Obojętny był nam wystrój pokoju, dopiero po chwili podziwialiśmy wnętrze - białe gipsowane ściany, drewniane, dębowe meble, złożone okucia szafy, świeczniki, stylowe kinkiety i dostojnie zwisające z sufitu żyrandole. Ba, wbudowano tutaj w ścianę nawet kominek. I co z tego, że mieliśmy lato, skoro wewnątrz zamku działała klimatyzacja i można było na życzenie obniżyć w pokoju temperaturę i napalić w kominku, aby nie zamarznąć. Klient nasz pan! Mieliśmy tu też pachnącą i doskonale wyposażoną łazienkę.

Życ nie umierać!

Po toalecie przyszło zmęczenie, lecz nie wypadało iść się zdrzemnąć. Szkoda było czasu na sen, tym bardziej że należało przygotować się do wieczornego spotkania. Ale najpierw musieliśmy coś zjeść.

Zeszliśmy na obiad. Zamek oferował kuchnię francuską i amerykańską w trzech różnych restauracjach: historycznej Oak Room, eleganckiej Tapestry Room i stylowej Garden Room z przepięknym widokiem na rzekę. Usiedliśmy w pierwszej z wymienionych restauracji na dole w zamku, gdzie bezszelestni kelnerzy zajęli się nami pieczołowicie. Dystynkcja chodziła tutaj na paluszkach, zaś na stole więcej było dodatków, naczyń i sztućców niż samego jedzenia. Obiektywnie rzecz biorąc, jedzenie było wyśmienite - smaku pieczeni oblanej francuskim sosem i aromatycznej surówki długo nie zapomnę. Do picia zamówiliśmy wodę mineralną i czerwone wino. Jedliśmy w milczeniu, od czasu do czasu zerkając na sąsiednie, puste stoły. Dopiero wychodząc z Dębowej Sali, minęliśmy się w szerokich drzwiach z dwiema starszymi kobietami, ubranymi dość staroświecko, które przedkładały walor szczebiotania nad zwyczajną powściągliwość.

W recepcji dowiedzieliśmy się, że wizytacja polonijnych urzędników z Polskiego Instytutu Naukowego oraz Instytutu im. Józefa Piłsudskiego zjawi się około osiemnastej. Mieliśmy zatem prawie trzy godziny do spotkania z przedstawicielami Polonii i urzędnikiem polskiego konsulatu, który również był zaproszony przez spadkobiercę darczyńcy.

- Czy Paul Benetton już jest? - zapytał chudego recepcjonistę.

- Jest - przytaknął - lecz nie mogę panu podać numeru apartamentu. Pan wybaczy, sir.

- Rozumiem. Poczekamy na oficjalne spotkanie.

- Zapraszam. Odbędzie się ono w sali The Arthur A. Litt Library, gdzie odbywają się czasami uroczyste rauty.

Wyjaśnił nam, jak trafić do owej sali i posłał uprzejmy uśmiech.

Pojechaliśmy na małą wycieczkę nad rzekę.

Hudson płynęła leniwym rytmem drzemki, ospale toczyła swe wody ku nowojorskiej zatoce łączącej się na południu z Atlantykiem. Szeroka to była rzeka, przynajmniej na półtorej mili w miejscu naszego postoju. Kilka polskich rzek ustawionych obok siebie tworzyłyby cieńszy strumień od koryta tej właśnie niepokornej rzeki. Gdzieś ukazał się naszym oczom stateczek wycieczkowy, barka, innym razem samotny żagiel przybijał do moło pobliskiego klubu jachtowego.

Hudson wysysała z nas siły, usypiała, rzucała czar.

Wykonałem serię zdjęć i jeszcze przez kwadrans gapiliśmy się na drugi brzeg - podniesiony w olbrzymi i zalesiony pagórek kawał dzikiego łądu, u podnóża którego lśniły białe punkciki domów w Nyack i błyskały maszty na licznych przystaniach. Pomyśleć, że nasz Kościuszko przybył z umęczonej przez zaborców Polski właśnie tutaj. To tu, na tych terenach sprzedawał swoje niezwykle inżynierskie umiejętności, walczył każdego dnia z losem, z rzeką, która tyle samo dawała przyjemności, co utrapienia. Niełatwo jest bowiem ujarzmić potężny żywioł napędzany siłami natury. Oczami wyobraźni znalazłem się w miejscach nad rzeką Hudson oddalonych od nas o całe mile, gdzie Kościuszko pracował - w Saratodze i West Point. Do ludzi, którzy poznali uroki tej rzeki należał jeszcze Kajetan Węgierski - w 1783 roku popłynął on w

górze rzeki i opisał ją jako „bez wątpienia jedną z najbardziej pięknych i osobliwych rzek świata”.

Żeby zakończyć jakimś literackim akcentem naszą pierwszą wizytę nad wodami Hudsonu, opowiedziałem magistrowi pewną historię związaną z rzeką.

- Było to latem 1841 roku - zacząłem snuć opowieść. - W rzece na brzegu New Jersey znaleziono zwłoki młodej kobiety, Mary Cecilii Rogers, ulubienicy aktorów i artystów z Manhattanu. Codzienne publikowano raporty z poczynañ policji i snuto domysły na temat osoby mordercy. Pierwszym podejrzanym był Andersen, właściciel trafiki i jej pracodawca, który wieczorami odprowadzał ją do domu. Innym podejrzanym był narzeczony David Payne - mieszkaniec pensjonatu, który jej matka prowadziła w Hoboken, w New Jersey. Pierwsze dowody rzeczowe znaleziono w lesie w pobliżu rzeki: halkę, szal, parasol oraz chusteczkę z inicjałami „M.R.”. Wkrótce potem David popełnił w tym miejscu samobójstwo po zażyciu opium, wskazując to miejsce jako scenę zbrodni. Jednakże Payne miał doskonałe alibi, więc sprawa pozostała niewyjaśniona.

W tym czasie 32-letni Edgar Allan Poe szukał tematu do powieści kryminalnej. W historii Mary Rogers znalazł zbrodnię, którą mógł rozwikłać wymyślony przez niego inspektor Dupin, pierwowzór Sherlocka Holmesa, a raczej metody, jaką stosował najsłynniejszy detektyw świata pół wieku później. W opowiadaniu Poe'go „Tajemnica Marie Roget” odnajdziemy Paryż i Sekwanę, lecz drobiazgowa analiza prawdziwej tragedii przypomina tamtą znad rzeki Hudson. Otóż, cała prasa i policja podążała niewłaściwym tropem, Poe zdawał się mózgiem swojego bohatera rozwiązać ową zagadkę. Opowiadanie charakteryzowało się żelazną logiką, inspektor Dupin dowodził, że może istnieć tylko jeden morderca: „mężczyzna o śniadej cerze”, do tego oficer marynarki, z którym ostatnio widziano ofiarę i z którym trzy lata temu zniknęła. Poe nie podał jednak nazwiska winnego. Do chwili, gdy opowiadanie zostało wydrukowane, policja nie zdołała jeszcze wyjaśnić morderstwa.

Wreszcie zaczęto snuć domysły, że Poe miał coś wspólnego ze śmiercią ekspedientki. Bywał często w Nowym Jorku i mógł spotkać Mary w trafice. Tym bardziej, że Poe miał markę nie tylko alkoholika, narkomana, lecz chorego na umyśle osobnika (z powodu jego fascynacji śmiercią); do tego dochodziły problemy finansowe i chora na gruźlicę żona. Podobno przestępcy podświadomie pragną zostać ukarani i często zostawiają wskazówki, które mogą doprowadzić do ich aresztowania. Czy tak właśnie postępował Poe? Pisarz dokonał piętnastu poprawek sugerujących, że powodem śmierci bohaterki mogła być nieudolnie przeprowadzona aborcja. „Mężczyzną o śniadej cerze” był człowiek trudniący się przerywaniem ciąży. Kto wie, czy nie ten sam, do którego oficer marynarki zabrał Mary trzy lata wcześniej. Latem 1841 roku kobieta mogła umrzeć w wyniku drugiej aborcji. W liście do znajomego Poe pisał: „W »Tajemnicy Marie Roget« nie zostało pominięte nic, poza mną samym. Oficer marynarki, który popełnił to morderstwo wyznał to i wszystko jest teraz jasne, ale - ze względu na krewnych - jest to temat, o którym nie wolno mi więcej mówić.”

- Tak więc - zakończyłem opowiadanie - bez względu na to, czy Poe popełnił zbrodnię, czy nie, tutaj właśnie, nad rzeką Hudson zrodziła się pierwsza z prawdziwego zdarzenia powieść kryminalna z detektywem w roli głównej.

Zawróciliśmy z brzegu na parking opodal stacji kolejowej, gdy na ulicy przy oczyszczalni ścieków ujrzałem białego dodge'a pickupa. Szliśmy przodem do zabudowań oczyszczalni, wzdłuż torów po prawej stronie, zostawiwszy przystań jachtową za plecami. Dodge włączył się do ruchu na Green Street i odjechał na północ w kierunku Sleepy Hollow.

- Widział pan? - złapałem mojego towarzysza podróży za łokieć. - Znowu dodge! Dlaczego za nami jeździ? Kto to jest, do licha? FBI czy co?

- Niech pan nie przesadza - zaśmiał się szyderczo, lecz w jego głosie pobrzmiwał ton strachu. - Nawet jeśli to ten sam pickup spod zamku, to tak samo jak pan wybrał się zobaczyć rzekę. I już. Równie dobrze kierowca dodge'a może o nas powiedzieć, że to my ciągle zjawiamy się tam, gdzie on. Jeśli to w ogóle był ten sam dodge z zamku.

- Ten sam - dodałem.

I zamilkłem, widząc zdeglustowaną minę magistra.

Przed spotkaniem z Paulem Benettonem i jego świtą w bibliotecznej sali zamkowej ustaliliśmy z polską delegacją z Manhattanu kilka formalnych drobiazgów odnośnie „polskich” obrazów. Jednomyślnie wytypowaliśmy, że głos w imieniu strony polskiej zabierze Jan Pietraś, a wysłannik Polskiego Instytutu Naukowego dr Mark Kalinowski - kompletnie łysy jegomość pod pięćdziesiątkę - będzie ewentualnym tłumaczem. Ja wiedziałem, że owa „ewentualność” jest koniecznością, ale nie odzywałem się. Na koniec tego roboczego spotkania przedstawiciel konsulatu także obiecał dorzucić na raucie kilka słów od siebie.

Sączyliśmy napoje w spokojnym barku na wolnym powietrzu przy basenie usytuowanym za południowo-wschodnim narożnikiem zamku, z tarasu którego mieliśmy kolejny wspaniały widok na okolicę skąpaną w przedwieczornym słońcu. Z basenu już nikt nie korzystał, lecz siedziało tutaj kilku rezydentów. Nigdzie śladu Johna Deppa! Zastanawiałem się też, który z gości przyjechał białym pickupear, lecz żaden nie wzbudził mojego zainteresowania. Potem dałem spokój tej zabawie, gdyż odezwała się trema przed ważnym spotkaniem, a nie cierpiałem oficjalnych zebrań. Jednakże z niepokojem myślałem o tym pickupear, co powoli stawało się przykrym natręctwem.

Po dwudziestej poproszono nas do gustownie urządzonej „Biblioteki”, jak zdążyłem już ochrzcić owo pomieszczenie. Nie miało ono nic wspólnego z biblioteką, nie licząc kilku ekskluzywnych gablot wypełnionych starymi książkami oprawionymi w skórę. Przede wszystkim sala prezentowała się z ładu królewską dostojnością, co było zasługą drewnianego wystroju wnętrza i złotych wykończeń. Posadzka z obowiązkowego ciemnego marmuru. Jasne oświetlenie. Czysto, bogato i przytulnie. Kilku roślących panów w nienagannie skrojonych garniturach sprawdziło najpierw naszą tożsamość, a zrobiono to w ten sposób, że wręczono nam poprzednio zostawione w recepcji paszporty. Przedstawiciele władz polonijnych - wspomniany Mark Kalinowski i Stanisława Wróbel z drugiego instytutu - również zostali dyskretnie sprawdzeni. Jedynie polskiego urzędnika z nowojorskiego konsulatu potraktowano ulgowo, tak samo jak dwóch dyrektorów miejscowych muzeów („Historie Hudson Valley” oraz „Arts”), które to instytucje miały otrzymać kilka cennych obrazów z kolekcji Teda Benettona. Byli to: Mrs. Mary Sheldon oraz Mr. Alec Ginsberg.

Czterdziestoletni Paul Benetton zjawił się w towarzystwie swojej córki Susan oraz starszego brata RONALDA - dobrze zakonserwowanego, sześćdziesięcioletniego mężczyzny w okularach. Na pierwszy rzut oka było widać, że bracia nie przepadają za sobą, Susan zaś była uroczą dziewczyną w wieku dwudziestu kilku lat, noszącą się absolutnie młodzieżowo i ekscentrycznie. W tej grupie klanu Benettonów zwracał też uwagę średniego wzrostu, przeciętny z wyglądu, lecz bystry osobnik o wydatnym nosie. Był to David Duncan, prawnik i prawa ręka Paula Benettona - byłego kandydata na fotel gubernatora stanu Teksas z ramienia demokratów. Jak przeczytałem w jakimś brukowcu, jego brat Ronald był przeciwnikiem Paula i podzielał raczej republikański światopogląd ojca; ponoć miał się ucieszyć się z faktu, że młodszy brat nie został gubernatorem. Nawet z wyglądu bracia prezentowali się odmiennie. Paul był młodszy, przystojniejszy i bardziej promienny. Lubił błyszczeć. Ubierał się w idealnie skrojone garnitury z najlepszego materiału, szyte na zamówienie u najlepszych krawców, lecz nie zakładał krawatów ani muszek. Po prostu nosił rozpiętą pod szyją, nienagannie białą koszulę. Nie palił, pił z umiarem i nawet kiedy myślał, jego usta zdawały się uśmiechać. Ronald był typem nieco zwalistym o ciemniejszej fryzurze. Surowy wygląd szedł w parze ze zmarszczkami, jakie przecinały jego twarz, spaloną słońcem Kalifornii, bo tam ostatnio najczęściej przebywał według dziennikarzy. Jego garniturowi z muszką nie można było wprawdzie wiele zarzucić, ale był on ociupinkę niedopasowany. Ronald lubił whisky i cygara. Mało mówił, lecz jak się już odezwał, to walił prosto z mostu.

Bracia - na wszelki wypadek - stanęli w bezpiecznej odległości od siebie. Paulowi towarzyszył nieodłączny Duncan, córka Susan usiadła na fotelu pod ścianą i czekała na oficjalne rozpoczęcie z miną potwornie znudzonego kociaka.

Spotkanie zaczęło się z chwilą, gdy na salę weszła jedyna zaproszona przez Paula Benettona ekipa telewizyjna z lokalnej stacji. Benettonowie zapowiedzieli wcześniej, że „nie będzie żadnych pismaków ani telewizji”, więc zaproszono jedynie lokalną telewizję.

Trzy osoby stanowiły skład owej ekipy. Na jej czele stała brunetka w drucianych okularach, ta sama, którą widziałem wczoraj wieczorem w barze na Greenwich Village.

ROZDZIAŁ TRZECI

CZEŚĆ OFICJALNA * SPRYTNA MOWA PIETRASIA * LUDOMIR ŚLEŃDZIŃSKI * NIESFORNY RZEŹBIARZ * CO ŁĄCZYŁO SZUKALSKIEGO Z LEONARDEM DI CAPRIO? * POZNAJĘ SUSAN I POZOSTAŁYCH DARCYŃCÓW * NIECH ŻYJE PRZYJAŹŃ POLSKO-AMERYKAŃSKA * SPACER PO KRÓTKIEJ KOLACJI * URSULA PAPPANI * NAPRAWDĘ JEST PAN DETEKTYWEM? * ZACHWYTY NAD GWIAZDOREM * CZY NIEBOSZCZYK SINATRA ROZDAJE AUTOGRAFY? * KOLEGA PIETRAŚ PSUJE KLIMATYZATOR * NOCNY INTRUZ

Magister Pietraś przeprosił darczyńców i pozostałych słuchaczy za niedostatki jego angielskiego, zrobił to zresztą tak zwaną łamaną angielszczyzną. Wyjął karteczkę i czytał z niej po polsku tonem, który jest żywą i nudną dekoracją każdego ministerialnego przemówienia. Sądząc jednak po minach zgromadzonych w sali zamkowej osób, jego mowa spotkała się z żywym zainteresowaniem. Wiedziałem jednak, że Amerykanie to naród uprzejmych aktorów, wolałem nie wyciągać ostatecznych wniosków.

Po magistrze Pietrasiu reprezentującym Ministerstwo Kultury i Sztuki w Warszawie, głos zabrał na krótko przedstawiciel polskiego konsulatu, następnie kilka słów dorzucili dyrektorzy miejscowych muzeów: Mrs. Sheldon i Mr. Ginsberg.

Cała część oficjalna była kręcona przez lokalną stację telewizyjną, jeden z towarzyszących dziennikarce osobników - ten sam, jak mi się zdawało, który towarzyszył jej wczoraj w barze na Greenwich Village - obsługiwał małą, profesjonalną kamerę, drugi trzymał w ręku długą tyczkę, z której zwisał mikrofon. Brunetka w drucianych okularach stała z boku i przyglądała się przemawiającym gościom, a ja rzucałem od czasu do czasu dyskretne spojrzenia w jej stronę. W pewnym momencie kobieta zerknęła na mnie i odtąd przestała się mną interesować.

Słuchając dziękczynnych przemówień, cały czas zastanawiałem się, czy obecność brunetki w okularach w barze na dolnym Manhattanie była wyłącznie dziełem przypadku? Powiadają, że świat jest mały, ale czy aż tak bardzo? Na Manhattanie żyje mnóstwo ludzi, hrabstwo Westchester jest zaś rozległe i ciągnie się od Yonkers na południu po dwa północne krańce - stanowią bazę wojskową w okolicach Peekskill nad rzeką Hudson oraz Peach Lake, graniczące już ze stanem Connecticut. Czy spotkanie tej osoby w dwóch różnych miejscach na dość rozległym obszarze w ciągu dwóch dni nie jest podejrzanym? Wygląda na to, że to właśnie oni śledzili mnie i Pietrasia białym pickupem! Być może lokalna stacja telewizyjna dowiedziała się, że jestem kimś w rodzaju detektywa i chciała przyjrzeć się z bliska przybywającemu z Polski specjalistcie w zakresie dzieł sztuki. Tylko takie wyjaśnienie mogłem zaakceptować. W Ameryce reporterzy wychodzą ze skóry, aby zaistnieć w mediach - śledzą ludzi, podsłuchują oraz imają się przeróżnych sztuczek, żeby zdobyć trochę sensacyjnej papki dla milionów spragnionych igrzysk ludzi! Ba, już nawet w Polsce dopadła dziennikarzy ta sama choroba. Na koniec części oficjalnej głos zabrał jeszcze Jan Pietraś.

- Dziękujemy rodzinie Teda Benettona za przekazanie narodowi polskiemu bezcennych obrazów - mówił jakby się delectował patosem chwili, pracownik konsulatu zaś tłumaczył mowę magistra słowo w słowo. - W żyłach zmarłego płynęła polska krew, ten fakt jest dla milionów Polaków niezmiernie ważny. Być może pan Benetton nie był polskim patriotą, lecz za takiego będziemy go uważać. Patriotyzm ma

bowiem różne odcienie. Czyż nasz wielki rodak i amerykański bohater Tadeusz Kościuszko nie był patriotą, mimo że służył w amerykańskiej armii i tutaj, nad rzeką Hudson, dłużej walczył niż w Polsce? Uważamy go dziś za bohatera narodowego, bo przelał krew na polskiej ziemi. Służyć można jednak każdej Ojczyźnie nawet poza jej granicami. W pewnej mierze za takiego „patriotę” można uznać Teda Benettona, który nie przelał może krwi za Polskę, lecz ofiarował jej część polskości. Obrazy.

Rozległy się brawa. Nie powiem, sprytnie to sobie wymyślił nasz magister. Pomimo zbyt pompatycznego tonu, zakończył całość przemówienia zgrabną metaforą. Inna sprawa, że bezczelnie zapożyczył moje spostrzeżenie o współczesnym pojmowaniu patriotyzmu. Toż to ja sam podsunąłem mu motyw z Kościuszką!

Polął się prawdziwy szampan i natychmiast wniesiono sztalugi z obrazami, a potem dużą zamkniętą skrzynię. W sumie odsłonięte kilkanaście płócien, cztery ofiarowane nam, Polakom, cztery kolejne - lokalnym muzeum i pięć najcenniejszych, przeznaczonych dla nowojorskiego Metropolitan Museum of Art (w tym jeden van Gogh warty osiem milionów dolarów). Całość wystawy wyceniono u Lloyda na dziesięć milionów dolarów. Nic więc dziwnego, że po zamku kręcili się wynajęci przez Benettona agenci i pilnowali „skarbów”. Jeden z nich po wniesieniu specjalnej skrzyni został w sali, dwóch prawdopodobnie poszło pilnować wejścia.

Kilka słów o niemych bohaterach tej przygody, polskich malarzach, których dzieła zostały odsłonięte na specjalnie przygotowanych sztalugach w eleganckiej sali zamku w Tarrytown.

Ludomir Sleńdziński ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Petersburgu. Wyniósł z niej poczucie klasycyzmu. Ów wileński klasycyzm był próbą naśladowania włoskiego, choć wiele dzieliło go od pierwowzoru. Prace Sleńdzińskiego oceniano jako kanciaste i surowe w formie. Zarzucano mu schematyzm i niewrażliwość na kolor. Sleńdziński, ulegając wpływowi dawnych mistrzów, nadawał jednak swoim dziełom nowe znaczenie plastyczne. Miało to oddźwięk między innymi w jego dziełach monumentalnych. Realizował zatem na zamówienie tematy patriotyczne, wzniosłe, jak chociażby niedokończone projekty plafonu do sali pałacu w Czyżewie Szlacheckim (1924) i dekoracji do Sali Posiedzeń Sejmu w Warszawie (1929). Kolejne prace z lat trzydziestych XX wieku powstały w rodzinnym Wilnie i były malowidłami ściennymi. W latach 1927-1929 wiele podróżował, gdyż interesowała go sztuka starożytna. Z podróżami są związane obrazy studyjne - dotyczące Egiptu i fresków pompejańskich. Po śmierci żony w 1962 roku malował głównie jej podobizny. Najlepszą artystycznie formę osiągnął jednak w latach dwudziestych XX wieku pełnowymiarową rzeźbą w drewnie przedstawiającą sylwetkę greckiej poetki Safony. Ważną rolę w jego twórczości odgrywała pamięć, dawne style i dzieła. Malował na desce i zaprawie gipsowej, rysunek miał precyzyjny, technikę solidną i trwałą.

Dzieła, które jakimś cudem zdobył Benetton (uznane za zaginione!) były niewielkimi obrazami namalowanymi olejem. Pierwszy - „Uciekająca gwiazda” z 1924 roku - który zaginął podczas powstania warszawskiego (właściciel: T. Bursze), drugi - „Zima” (1924) miał być spalony ponoć w Warszawie podczas działań wojennych w 1939 roku.

Zupełnie innym artystą był Stanisław Szukalski - jeden z bardziej ekscentrycznych i oryginalnych artystów polskich XX wieku. Był przede wszystkim rzeźbiarzem.

W 1907 roku rodzina Szukalskich znalazła się w USA w pogoni za chlebem, wcześniej wiele podróżując po świecie. W szkole wzbudził sensację, rzeźbiąc główkę kobiecą na końcu ołówka. Gazety krzyczały: „Genialny chłopiec - syn polskiego kowala”. Wreszcie czternastoletni Stanisław zaczął uczęszczać co sobotę do Institute of Art w Chicago. Ale w 1910 roku za namową Antoniego Popicia, który kończył właśnie pomnik Kościuszki i Pułaskiego dla Waszyngtonu, wyjechał do Krakowa z zamiarem podjęcia studiów artystycznych. Rozpoczyna się przygoda Szukalskiego z ASP. Już wtedy był nastawiony niechętnie do krytyków swoich prac, prowokując konflikty i spięcia, lecz powoli uzyskiwał jako takie uznanie. Z tego okresu znamy zaledwie kilka jego rzeźb (między innymi „Postać młodzieńca” z 1911 czy „Głowę kobiety” z 1912 roku).

Po trzech latach studiów Szukalski opuścił krakowską ASP i wrócił do Chicago. Tworzył tam popiersia, wzorując się na Rodinie, a były to przeważnie biusty męskie. Wreszcie coraz częściej tworzył rzeźby figuralne o zagadkowym wyrazie, pełne tajemniczych splotów, niezbyt jasnych i zrozumiałych kształtów pokrytych siatką ornamentów i detali. W 1916 roku powstała symboliczna rzeźba „Narodziny myśli”. Po krótkim pobycie w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą w 1923 roku artysta ponownie opuścił Polskę - zwiedził Włochy i Francję. W Paryżu zbierał laury - między innymi Grand Prix za brązy. Wokół Szukalskiego wytworzyła się szybko atmosfera skandalu. Nie przeszkodziło to Komitetowi Głównemu budowy pomnika Adama Mickiewicza w Wilnie przyznać pierwszą nagrodę Szukalskiemu. Projekt ów przedstawiał Mickiewicza nagiego, siedzącego na wysokim cokole, jednakże głos opinii publicznej był tak silny, że wstrzymano się z realizacją projektu. W 1929 roku doszło do kolejnego skandalu podczas wernisażu, na którym rzeźbiarz wygłosił napastliwe przemówienie, atakując sfery artystyczne i kulturalne nie tylko Krakowa, ale i całej Polski. Powód ataku? Bezkrytyczne zafascynowanie sztuką zachodnią (głównie francuską), które doprowadzało do upadku i zaniku sztuki rodzimej. Tak brzmiał wyrok artysty! Te opinie przysporzyły mu wrogów, chociaż z niewielkiego grona młodych entuzjastów jego programu artystycznego powstał „Szczep Rogate Serce”, wydający własne pismo „Kraak”. Artysta wyjechał ponownie do Stanów w 1929 roku. Do roku 1936 korespondował ze swoimi uczniami, z odległej Kalifornii kierował ich poczynaniami artystycznymi i propagandowymi.

Fascynował się sztuką prehistoryczną: egipską, babilońską, indiańską; to one wywarły wpływ na jego późniejszą rzeźbę, która stawała się coraz bardziej monumentalna, symboliczna, a nawet pierwotna.

W 1933 roku powstała między innymi rzeźba „Remussolini”. Dzięki poparciu i pomocy finansowej Ignacego Matuszewskiego (redaktora „Gazety Polskiej”) prace Szukalskiego trafiały nad Wisłę. I znowu niepokorny artysta doprowadza do skandalu, zakończonego zamknięciem wystawy w warszawskim Instytucie Propagandy Sztuki i spaleniu jej katalogu.

We wrześniu 1939 roku był gotowy gipsowy model „Pomnika Bolesława Chrobrego”, lecz uległ on zniszczeniu, znaczną zaś część rzeźb i rysunków rozgrabiono. Załamany Szukalski opuścił pogrążoną w wojnie Polskę, udając się do Stanów, tym razem na stałe. Mimo trudności i kłopotów artysta sporo rysował i malował, niestety, jego projekt rzeźby dla ONZ stopił się całkowicie podczas wielkiego

pożaru magazynów w 1955 roku. W 1957 roku po raz ostatni odwiedził kraj, dając szereg odczytów. Powstały też kolejne rzeźby, jak „Popiersie gen. Bora-Komorowskiego” z 1962 roku, kilka medali, płaskorzeźby i projekty pomników. Niezrealizowanymi koncepcjami pomnikowymi Szukalskiego pozostały projekty monumentu dla uczczenia zbrodni katyńskiej i rzeźba przedstawiająca Jana Pawła II.

Wiele jego dzieł czeka na wydanie; żeby wspomnieć tysiące rysunków i szkiców zachowanych w ponad czterdziestu tomach, między innymi „Zermatism” - teoria o narodzinach cywilizacji w Zermatt w Szwajcarii, a także „Egoglyphy”, czyli jak ze zmarszczek na czole odczytać ego człowieka.

Ciekawe, jak zareagowałyby Szukalski na zgromadzone w bibliotece zamku Tarrytown zbiory? Kiedyś - w latach osiemdziesiątych XX wieku - zrobił w muzeum w Los Angeles awanturę, zaatakowawszy malarstwo Picassa, Matisse’a i Kandinsky’ego, których obrazy zauważył na ścianach. A przecież dwa obrazy Matisse’a wisiały dzisiaj obok van Gogha w zamkowej sali. I w ogóle dziwna to była kolekcja - przypadkowa i pozbawiona spójnej myśli.

Pito szampana i rozmawiano, koślawiono niemiłosiernie nazwisko artysty Śleńdzińskiego, co czasami wywoływało uśmieški wśród zgromadzonych. Jednakże to van Gogh, Matisse, Fattori oraz Knaths zwracali uwagę zgromadzonych. Zostałem przedstawiony wszystkim uczestnikom spotkania, aż wreszcie mogliśmy z bliska nacieszyć oko znakomitymi obrazami. Wszyscy byli szczęśliwi i podekscytowani.

Pani redaktor opuściła salę z dwoma asystentami, ja zaś podszedłem do córki Benettona - Susan. Oglądała właśnie autoportret Szukalskiego, w którym artysta wyglądał jak połączenie Dalego ze skacowanym Witkacym, ale biła z jego oczu śmiertelna powaga.

- Podoba się pani? - zagailem.

- Coś w tym jest - odpowiedziała nijak i pociągnęła nosem. Wyjęła chusteczkę i wytarła nos. - Przepraszam, lekkie zakatarzenie. Miał fantazję ten wasz Szukalski.

- Nasz, ale w pewnym sensie i wasz. Mieszkał w Kalifornii. Czy pani wie, że znał rodzinę popularnego aktora Di Caprio!

- Poważnie?! - zabłysły jej oczy.

- Tak, opiekował się małym Leonardem, gdy jego rodzice wyjeżdżali. Do dzisiaj rodzina aktora organizuje wystawy Szukalskiego i uważa go za geniusza. Jego nazwiskiem ochrzczono nawet gwiazdozbiór na niebie. W ogóle był Szukalski ciekawym gościem - uderzyłem w bezpośredni ton. - Ben Hecht w swej biografii „A Child of the Century” wydanej w 1954 roku nazwał go „największym żyjącym artystą”, przez niektórych jest uznawany za najwybitniejszego polskiego rzeźbiarza obok Xawerego Dunikowskiego. Gdy wyjechał z Polski w 1939 roku do Stanów, nie było mu lekko. Z braku własnego atelier oddawał się rozważaniom teoretycznym. Proszę sobie wyobrazić, że doszedł wówczas do przekonania, że niegdyś ludzie stanowili jedną społeczność i mówili jednym językiem. A najbardziej zbliżonym do pierwotnego jest nasz język polski.

- Żartujesz - zachichotała, przechodząc na „ty”. - Gdyby język polski był językiem naszym dalekich przodków, to ludzkie plemię już dawno by wyginęło. Po prostu praludzie połamaliby sobie języki od waszej mowy... Walesa... Wojtyła... Szlenczynski...

- Śleńdziński!

- No i sam widzisz!

Po chwil i znowu podziwialiśmy zbiory. Z tym, że ja podziwiałem jednocześnie dzieła sztuki i urodę Susan. Dziewczyna sprawiała wrażenie miłej osoby i tego elektryzującego zmysły wrażenia nie psuł nawet jej katar. Zapytałem ją, jakie malarstwo lubi.

- Klasyczne - odpowiedziała z pasją. - Dlatego bardziej mi odpowiada charakter Śleńdzińskiego niż Szukalskiego.

- Nie dlatego, że Szukalski wyraził kiedyś pogląd, że „Amerykanie nigdy nie będą w stanie objąć ogromu uczuć i pasji, jakie niosą jego rzeźby, gdyż sami nie są w stanie niczego aż tak bardzo kochać, ani aż tak bardzo nienawidzić, by pojąć, o czym mówi jego sztuka”?

- Przesadził - zde gustowana wykrzywiła usta, więc zamilkłem. - Nie, nie dlatego. Po prostu uwielbiam stare malarstwo europejskie.

- Znasz się na malarstwie?

- Trochę. Studiuję historię sztuki!

- Doprawdy? - zdziwiłem się. - Ja skończyłem ten wydział. Słuchaj, ty pewnie nie możesz przeboleć, że dziadek przekazał zbiory muzeum?

- Żeby żałować kolekcji, nie trzeba być historykiem sztuki. Van Gogh, Matisse... eh! A wartość wszystkiego oszacowano wstępnie na dziesięć milionów dolarów.

- Niezła sumka. Znałaś swojego dziadka? Nic nie wiem o naszym darczyńcy.

- Rzadko go odwiedzałam. Był trochę dziwakiem, ale kto z naszej rodziny nim nie jest? Był typem, który nie daje sobie w kaszę dmuchać.

Susan Benetton popatrzyła na mnie uważniej, szczególnie na mój strój.

- Gdzie ty właściwie pracujesz? - zapytała ni stąd, ni zowąd.

- W Departamencie Ochrony Zabytków przy Ministerstwie Kultury i Sztuki w Warszawie.

- To u was są takie ministerstwa? - zauważyła rozbawiona. - Dziwnie brzmi. Podobno u was jest nawet państwowa kinematografia!

- Nie każdy ma Hollywood - westchnąłem.

- To znaczy, że jesteś urzędnikiem - zmieniła temat. - A nie wyglądasz na takiego. Nie to, co tamci stojący przy van Goghu. No, sam popatrz! Oni to dopiero wyglądają na urzędasów.

- A jednak jestem jednym z nich.

- Nie jesteś chyba ministerialną szycią? Gdzie twój garnitur?

Miała rację, garnituru nie miałem. Na tę specjalną okazję założyłem odświętne spodnie i ciemną koszulę. Bez marynarki, bo marynarek nie cierpiałem.

- O, nie! Szycią nie jestem! - odpowiedziałem. - Przyjechałem w zastępstwie. Mój szef zwany Panem Samochodzikiem nie mógł, niestety, przylecieć i wysłał mnie.

- Nie jesteś zadowolony z tego przyjazdu?

- Jestem, źle się wyraziłem. Ameryka to ciekawy kraj. Bardzo. Ostatnim razem, jak tu byliśmy z szefem, przeżyliśmy sporo przygód. Ciekawe, że zjawiliśmy się tutaj także w sprawie obrazów. Udało nam się nawet odzyskać cenną kolekcję. Ameryka przypomina mi las pełen grzybów, tylko że zamiast borowików co jakiś czas natrafiamy na rzadkie obrazy.

- Musicie częściej do nas przyjeżdżać.
- Chciałbym, lecz nasze ministerstwo ledwo stać na utrzymanie naszego pojazdu.
- Mój dziadek, zagorzały republikanin i konserwatysta - uśmiechnęła się - powiedziałyby, że skoro ministerstwa nie stać na to i owo, to należy je jak najszybciej rozwiązać.

Usłyszał to jej ojciec Paul, główny spadkobierca i niedoszły gubernator.

- Słyszałem - pogroził jej zabawnie palcem.

- Ojciec to demokrat - szepnęła mi na ucho Susan. - Nie znosi republikanów, którzy walczą z rozrośniętą ich zdaniem administracją państwową po Clintonie. Zaraz! A dlaczego nie stać was na utrzymanie samochodu? Nie rozumiem tego. I co to za dziwny pseudonim „Pan Samochodzik”?

Zauważyłem nietęgą minę kolegi Pietrasia, który zrozumiał o co pyta Susan. Westchnął poirytowany moją zażyłością z córką darczyńcy, jakby chciał powiedzieć, że przyjechał do Ameryki z nieodpowiednim człowiekiem.

- To pojazd niezwykły - odparłem wymijająco. - Z pseudonimem to długa historia. Pan Samochodzik...

- A właśnie - wtrącił się do naszej rozmowy milczący do tej pory Ronald Benetton, stojący z boku z kieliszkiem szampana w ręku. - Odnośnie samochodów! Widzieli może państwo parkujący pod zamkiem blaszany beczkowóz? Jak rany boskie, nie widziałem w życiu niczego podobnego? Brzydactwo. Założę się, że przyjechał nim jakiś zdziwaczały milioner albo rozwydrzony artysta z Manhattanu!

- Widziałam - kiwnęła głową dyrektor lokalnego muzeum Mrs. Sheldon. - Mnie się podobał. Oryginalny, nie powiem.

- Tak jest! - dodał rozbawiony Mr. Ginsberg. - Mógłbym go wstawić jako eksponat do swojego muzeum.

Śmiałem się razem z nimi, gdyż do obelg pod adresem wehikułu byłem przyzwyczajony. Gdyby ci ludzie wiedzieli, co mój pojazd ukrywał pod maską? Ha!

Doradca Paula Benettona, David Duncan, chrząknął jednak zdawkowo, popatrzył na mnie przepaszająco i skrzywił twarz w grymasie mającym uchodzić za uśmiech.

- Tym pojazdem nie przyjechał żaden milioner ani artysta - wyjaśnił - a obecny tu Mr. Daniec.

Ukloniłem się.

- Przecież jego pojazd ma zagraniczną rejestrację - kontynuował Duncan - więc nie może to być nikt od nas.

Wszyscy popatrzyli na mnie z zainteresowaniem, okazując lekkie zmieszanie powstałą sytuacją.

- Skąd ty to wiesz, Duncan? - zakpił Ronald. - Robisz u mojego braciszka za parkingowego?

- Szef naszej ochrony widział. Od tego jest, żeby mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Kolekcja pańskiego ojca to cenny ładunek i fasy kasek dla złodziei dzieł sztuki.

- Zapraszam państwa na poczęstunek - próbował rozładować powstałe napięcie Paul Benetton. - Kiedy Ronald rzuca uszczypliwe uwagi, nieomylny to znak, że burczy mu w brzuchu. Panie konsulu... pani dyrektor... zapraszam wszystkich!

Ronald Benetton się skrzywił, lecz nie odezwał się już ani słowem. Paul - dzisiejszy mistrz ceremonii - zaprosił wszystkich do Tapestry Room na przekąskę.

- Biblioteka zostanie teraz zamknięta - oświadczył wskazując nam bogato rzeźbione drzwi. - Będą jej pilnować moi ludzie, wynajęci z agencji ochrony. Jutro rano zaś obrazy zostaną wam wszystkim przekazane, pojawi się prasa i telewizja, część skarbów pojedzie do Metropolitan. Mam nadzieję, że nasze spotkanie możemy uważać za zakończone? Dzieła sztuki trafią do Polski, do ojczyzny mojego ojca, część z nich zostanie tutaj, w Ameryce. I myślę, że oba nasze narody będą z tego zadowolone.

- Dziękujemy - ukłonił się nasz konsul, a za nim my wszyscy. - Niech żyje przyjaźń polsko-amerykańska!

- Niech żyje! - powtórzył ochoczo kolega Pietraś.

Dwóch rosłych dżentelmenów w ciemnych garniturach weszło do wnętrza biblioteki. Zrobili to bezszelestnie i cierpliwie czekali, aż wszyscy zaproszeni goście opuszczą salę. Kiedy szliśmy korytarzem, oświetlonym sączącym się intymnie z kinkietów złotym światłem, drzwi do biblioteki zatrzasnęły się. Zauważyłem, że drzwi strzegł specjalny zamek z elektronicznym zabezpieczeniem otwieranym specjalnym kodem.

Kolacja była krótka. Zjedzono przekąski w postaci sałatek i dań z łososia oraz przepysznych galaretek, wypito trochę wina, cały czas nie przestając rozmawiać o obrazach. Wszyscy obdarowani poklepywali Paula po ramieniu, uśmiechali się i byli mili dla całej rodziny Benettonów. Może jedynie Ronald (podobnie jak ojciec był republikaninem) nie okazywał entuzjazmu, lecz zączył wyczytać w prasie, że nie pochwałał on decyzji ojca o obdarowaniu dziełami sztuki muzeów. I tylko Susan podzielała zdanie swojego wujka. Paul zaś z łatwością przelknął ową kontrowersyjną decyzję ojca, choć nie podzielał jego politycznych sympatii. Podobno dawno temu między Ronaldem a Tedem zaiskrzyło i popsuło wzajemne stosunki. To dlatego „niechciany” Paul został głównym wykonawcą woli ojca. Nie moja sprawa!

Atmosfera wzajemnej życzliwości, nieco podszytej cienką warstwą wazeliny, znudziła mnie dość szybko. Nieładnie jest się krzywić w obecności darczyńców, lecz musiałem odsapnąć od tej biesiadnej krzątaniny między ławami zastawionymi suto jadłem i piciem, od tych nic nie znaczących gestów uprzejmości i pomruków bezkrytycznego zrozumienia.

Bocznym, łukowatym wyjściem dostałem się na zewnątrz, wyślizgnąłem się z sali jak piżmak ze swojej nory. Brukowana alejka poprowadziła mnie wzdłuż zachodniej ściany zamku, po prawej był trawnik porośnięty niskimi krzewami i drzewkami, za którymi teren opadał łagodnie w dół aż po samą krawędź szczytu. Chodnik zaraz zakręcił łukiem na południe, omijając niższą wieżę i znalazłem się między klonami; po lewej stał basen z kręcącymi się przy barku ludźmi, po prawej w dole biesiadowało rozświetlone Tarrytown i migwały światła na rzece Hudson. Świeże powietrze pachniało chłodem i magnolią, nade mną gwiazdy rozpostarły swój złocisty dywan na gęstniejącym niebie. Zbliżała się noc. Noc nad rzeką Hudson.

Zszedłem niżej. Za basenem zaczynał się kort tenisowy, ograniczony alejką wysadzaną aromatycznym jałowcem. Poszedłem tam spacerowym krokiem. Okrążając wspomnianą alejką kort i basen, a także ogrodzoną siatką małą przybudówkę z napisem „Wstęp wzbroniony”, kierowałem się wolno na parking, pragnąc obejść go z drugiej strony. Wtedy to zauważyłem dwóch kręcących się obok przybudówki ludzi, tych samych robotników, którzy naprawiali uszkodzony portal na dziedzińcu.

Robotnicy przerwali na chwilę krzątanie, gdy przechodziłem obok otwartej furtki. Już po chwili zniknęli za ścianą niewielkiego budynku.

Poszedłem dalej. Na parking. Miąłem wehikuł, pozostałe samochody, w tym białego pickupa, i udałem się schodkami zaczynającymi się za rogiem wschodniej fasady zamczyska na wyższy poziom. Tutaj, obok kamienistego klombu napatoczyłem się na ponurego faceta w garniturze, który przyglądał mi się w sposób tyleż badawczy, co bezczelny. Musiał to być ochroniarz wynajęty przez Paula Benettona. „Nieźle pilnują!” - pomyślałem. Chociaż wizyta Benettonów w zamku Tarrytown była utrzymana we względnej tajemnicy - nie licząc lokalnej telewizji - to lichy nie spało. O tym dobrze wiedziałem, nauczony doświadczeniem pracy w Departamencie Ochrony Zabytków.

Przeszedłem obojętnie obok „goryla” i ruszyłem pod górkę. W ten sposób zrobiłem pełne koło i obszedłem zamek. Z dziedzińca, na którym stało kilku gości hotelowych delektujących się rozmową, wszedłem do holu. Tam zastałem załatwiająca formalności młodą reporterkę stacji telewizyjnej z dwoma asystentami - kamerzystą i dźwiękowcem. Kamerzysta opierający się o kontuar, a więc zwrócony twarzą ku drzwiom, obdarzył mnie znudzonego wzrokiem.

- Niestety, nie mamy dwójki i jedyńki - tłumaczył recepcjonista brunetce w drucianych okularach - W tej chwili dysponujemy jedynie czwórką.

- Bierzemy - powiedziała reporterka.

- Na kogo wystawić rachunek?

- Na Ursulę Pappani.

- Nie na stację telewizyjną?

- Może być na nazwisko.

Już miałem opuścić hol i udać się z powrotem do Trinistry Room, gdy w korytarzu ujrzałem wracających z sali przedstawicieli Polonii w towarzystwie dyrektorów lokalnych muzeów. Szedł z nimi kolega Pietraś, który rozmawiał z panią Stanisławą Wróbel. Grupie przewodził David Duncan. Domyśliłem się, że spotkanie dobiegło końca i prawnik Paula Benettona przejął funkcję gospodarza.

- O, jest pan! - zawołał magister na mój widok. - Gdzie pan się podziewał?

Zwróciło to uwagę na mnie pozostałych.

- Musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza - wyjaśniłem.

- Niedobrze się pan czuje?

- Nie. Ale lubię świeże powietrze.

- Pan Paweł - nawijał dalej magister w tonie żartobliwym, łamanym angielskim, nieco posklejanym wypitym winem - jest kimś w rodzaju detektywa w naszym ministerstwie. Pewnie wyszedł z sali, bo go coś zainteresowało.

- Naprawdę jest pan detektywem? - zdziwiła się Mrs. Sheldon.

- O, tak - przytaknął przedstawiciel Polskiego Instytutu Naukowego. - Pan Paweł z nieobecnych tutaj Panem Samochodzikiem współpracowali z nami kilka lat temu w sprawie cennej kolekcji obrazów. Spisali się zresztą znakomicie. Nie dość, że odnaleźli obrazy, to jeszcze rozwiązali niesamowitą zagadkę. Odnaleźli cenny skarb na Chorwacji.

Popatrzone na mnie z zainteresowaniem. Cóż, nie wyglądałem na detektywa. A tu, proszę! Z pełną satysfakcją odnotowałem również zainteresowanie moją osobą

reporterki Ursuli Pappani. Stojąc przy ladzie, odwróciła się w naszym kierunku na chwilę. Zerknęła na mnie krótko, dyskretnie. Zaraz jednak straciła zainteresowanie moją osobą i odruchowo przekreślała na placu srebrny pierścionek. Poza? Jeśli tylko interesowała się celem mojej wizyty w Stanach Zjednoczonych, to tak. Bo jak wyjaśnić wczorajsze spotkanie w Greenwich Village? A może przeceniła mnie? Jej reporterskie oko nie dostrzegło we mnie obiektu godnego reportażu, ba, nawet chwilowego zainteresowania. To mnie trochę zeźliło, ten kapryśny i lekceważący stosunek do świata, jaki ludzie telewizji najczęściej przejawiali. Nie wiem, co mnie naszło, ale postanowiłem „ukarać” ową Pappani za jej obojętny stosunek do mnie.

- Przeżyliśmy mroźną krew w żyłach przygody - zerknąłem dyskretnie na nią. - Poznaliśmy też znanego aktora Banderasa, z którym się nawet zaprzyjaźniliśmy.

- Antonia?!

- Tak. Poznałem go w jego domu na Malibu. Później los nas ze sobą zetknął w Puli na chorwackiej Istri.

- Niesamowite - uśmiechnął się Mr. Ginsberg.

- A wiedzą państwo, że tu na zamku mieszka sam Johnny Depp? - zmienił temat Pietraś. - Widzieliśmy go wsiadającego do mercedesa z narzeczoną.

- Z którą? - zapytała pani Sheldon.

- Jak to „z którą”? - zdziwił się magister.

- Och - zaśmiała się pani dyrektor miejscowego muzeum - powinnam zapytać „z czyją?” Rozumie pan: z czyją narzeczoną? Johnny Depp lubi kobiety i jest postrachem mężczyzn, którym odbija żony i narzeczone.

Żartując sobie, odprowadziliśmy gości na dziedziniec i wróciliśmy do holu. Ledwo goście odjechali, a zjawił się tam niespodziewanie sam Johnny Depp w towarzystwie nieznaney nam młodej kobiety. Pani Sheldon nie myliła się co do osoby gwiazdora! Oto bowiem kilka godzin temu widzieliśmy aktora wyjeżdżającego z zamku z blondynką, teraz zaś wracał z innym kociakiem - niską, drobną, lecz potwornie ładną laleczką z krótkimi włosami, ubraną jak gwiazda pop.

- O wilku mowa - zamruczałem.

Wszyscy stali i gapili się na Johna Deppa z ogromnym zainteresowaniem. Ten, nie zważając na nic, żując namiętne gumę, podszedł do recepcji i odebrał klucz do swojego pokoju. Był wyluzowany, choć niewykluczone, że tylko udawał luzaka. Ktoś go pozdrowił głośnym „jak się masz, John”, aktor odpowiedział jakimś żartem i ruszył z kociakiem ku schodom prowadzącym na górę.

Nawet dwie staroświeckie panie - te spotkane wcześniej w Oak Room - które weszły w tej właśnie chwili do holu z innego skrzydła, patrzyły z zachwytem za oddalającym się Deppem. Brakowało tylko, żeby reporterka i jej asystenci rzucili się na leżący na marmurze sprzęt i zaczęli nagrywać materiał wideo. Lecz nikt z ekipy tego nie uczynił. Depp szybko zniknął w łukowatym otworze prowadzącym na górną kondygnację.

- Co za przystojniak, prawda, Mary? - powiedziała z zachwytem jedna z pań. - Uroczy chłopiec.

- Lucy, dlaczego nie poprosiłaś go o autograf? - zaskrzeczała druga niewiasta, owa Mary. - Taka okazja!

- A ty? Mogłaś sama poprosić, skarbie.

- Pewnie, że mogłam, ale ostatnio to ja zdobyłam podpis Franka Sinatry.

- Przepraszam, drogie panie - wszedł w słowo rozbawiony recepcjonista - ale przecież Sinatra od dawna nie żyje. Jak zatem dał ostatnio paniom autograf?

- To mnie go dał, młody człowieku - poprawiła go Mary.

- Przepraszam - uklonił się recepcjonista. - Oczywiście, że pani. Nie zaprzeczam... tylko jakim cudem nieboszczyk złożył autograf?

- Dał mi go ostatnio - wyjaśniła. - Pięć lat temu. To dla mnie jak wczoraj. Później już go nie widziałyśmy. Wtedy spotkałyśmy go w Las Vegas na kilka miesięcy przed jego śmiercią.

Zaśmieliśmy się. Nawet David Duncan rozluźnił się i zerknął na obie ubierające się staroświecko i także zachowujące się damy z przymrużeniem oka. Jako że lubiłem ludzi staroświeckich i do tego dziwaków, patrzyłem na nie z sympatią.

Lucy i Mary poszły na górę do swojego pokoju, także ekipa telewizyjna zbierała się do opuszczenia holu, gdyż recepcjonista uporał się z kartą kredytową reporterki. Nie wiem, co mnie znowu naszło, ale zatrzymało ją moje pytanie.

- Przepraszam - chrząknąłem. - Czy mogłaby pani przesunąć waszego białego pickupa? Tego dodge'a!

W ten prosty sposób pragnąłem dowiedzieć się, czy to jej ekipa śledziła nas dzisiaj w drodze z Nowego Jorku do Tarrytown. Lecz Ursula Pappani zaprzeczyła.

- Nie jeździmy dodge'm - odpowiedziała spokojnie.

- Ach, więc to nie wasz? - wyraziłem swoje rozczarowanie. - To ktoś inny... Po prostu ktoś stanął blisko mojego auta. Myślałem, że to wasz pickup.

- Nie nasz - odpowiedział chłodno kamerzysta.

Wzruszyli ramionami i ruszyli do swojego pokoju. Nie dawałem jednak za wygraną i zapytałem recepcjonistę, kto przyjechał białym dodge'm pickupem.

- Nie wiem, proszę pana - odparł uprzejmie. - Goście zostawiają swoje samochody na parkingu, a my nie notujemy, kto jakim jeździ.

- Dobranoc - pozdrowiłem go. - Nic się nie stało.

I pociągnąłem kolegę Pietrasia na górę, chcąc uniknąć szczegółowych pytań ze strony recepcjonisty. Ten człowiek mógł nadać tej sprawie rozgłos, a to nie było mi na rękę.

W pokoju Pietraś zasypał mnie pytaniami, więc starałem się go uspokoić. Nadaremnie.

- Pan to ma normalnie manię prześladowczą - śmiał się ze mnie, grzebiąc w walizce.

- Ech, wy detektywi! Przyjechaliśmy tu w sprawie przekazania przez jakiegoś zdziwaczałego bogacza niezwykle cennych obrazów narodowi polskiemu. Na szczęście w hotelu roi się od agentów Paula Benettona. Może pan spokojnie spać.

- Po prostu ciekawi mnie, magistrze, kto jeździ tym pickupem - ziewnąłem. - Nie zaszkodzi wiedzieć. Wie pan, od pewnego czasu nie wierzę w zbiegi okoliczności. Owszem, zdarzają się takowe, lecz kiedy następują za często, stają się czujny. To nie choroba...

Przerwałem. Za naszymi drzwiami ktoś przeszedł korytarzem - słychać było głośne kroki. Magister zostawił walizkę, rzucił pogniecioną pidżamę na łóżko i otworzył szeroko drzwi. Wyjrzał na korytarz i po chwili wrócił do pokoju, zamknąwszy za sobą drzwi.

- Już zniknął - westchnął niepokieszony i z powrotem zaczął grzebać w walizce. - Zaraził mnie pan tą podejrzliwością. Ech, nic to. Najważniejsze dotrzeć do jutra, przeżyć te oficjalne spotkania, jutrzejszy szum i przemówienia, a potem możemy pojechać na wycieczkę wzdłuż rzeki Hudson.

Zamknąłem się w łazience i przez kwadrans oddawałem się dobrodziejstwu prysznic. Gdy z powrotem znalazłem się w pokoju, odświeżony i lżejszy, zastałem kolegę Pietrasia stojącego przy wejściu na balkon i majstrującego przy włączniku klimatyzacji. Kręcił pokrętłem i kłął cicho pod nosem, nie mogąc sobie najwyraźniej poradzić z programem nawiewu.

- Pomóc? - zapytałem z troską.

- Nie trzeba.

W tym samym momencie coś strzeliło - pękł plastikowy element włącznika. Po prostu magister za mocno potraktował pokrętło.

- A niech to... - zaklął. - Patrz pan, jakie słabe te prztyczki robią.

Doskoczyłem do niego i ustaliłem, że mój towarzysz podróży popsuł urządzenie regulujące pracę klimatyzatora, a konkretnie odpadła dźwignia pokrętła. Nie dało rady jej poruszyć, w związku z czym nawiew głucho milczał. Byliśmy pozbawieni klimatyzacji.

- I co teraz? - zapytałem zdenerwowany. - Trzeba to zgłosić.

Magister podrapał się za uchem.

- Jutro to załatwię, a nawet ureguluję za szkody - przyrzekł skruszony. - Trudno, panie Pawle. Będziemy spać przy uchylonym balkonie. Nie jest znowu aż tak gorąco. W Polsce w ogóle żyjemy bez klimatyzacji, więc jest ona nam w pewnym sensie zbędna. Jutro się tym zajmę.

Ruszył ku balkonowi i otworzył go. A ja zmęczony położyłem się do swojego łóżka.

- Wie pan co? - zagadnąłem go jeszcze, nakrywszy się lekką kołdrą. - Niech pan skończy z tym „proszę pana”. Jesteśmy prawie rówieśnikami.

Podszedł do mnie i podał mi rękę.

- Jan - energicznie nią potrząsnął.

- Paweł.

- Ma pan rację - dodał. - Mówmy sobie per „ty”.

Powiedziałwszy to, poszedł pod prysznic.

Leżałem w łóżku szczęśliwy, że nie muszę już niczego robić. Dopadło mnie zmęczenie i tylko lekki chłodek wpadający do eleganckiego pokoju przez uchylony balkon łagodził uczucie całkowitego znużenia przesytem wrażeń. Koił mnie dodatkowo jednostajny szum prysznic. Nic dziwnego, że oczy same mi się kleiły i wkrótce zasnąłem.

Nie wiem, ile czasu składałem ofiarę Morfeuszowi. Kiedy otworzyłem oko, w pokoju było ciemno. I chłodno. Jedynie światło księżycy próbowało przedostać się przez zasłony do wnętrza. Obudził mnie jednak nie księżyc, a dziwny dźwięk. Nie było to chrapanie magistra na sąsiednim łóżku. Ktoś dobierał się do naszych drzwi od strony korytarza, wyraźnie bowiem słyszałem dochodzące stamtąd chrobotanie.

Ktoś próbował wejść.

ROZDZIAŁ CZWARTY

STRACH PRZED BANDYTAMI * CHŁÓD SCORPIONA W DŁONI * UCIECZKA, STRZAŁY I WRZASKI * DOKOŁA ZAMKU * WRAKOWISKO NA PARKINGU * WIELKI ŻELAZNY PTAK NADLATUJE * POLOWANIE, CZYLI KRYJÓWKA W PRZYBUDÓWCE * Z POWROTEM NA PARKING * CZY OTWORZĘ DRZWI DO PODZIEMI? * „MYŚLIWY” GARETH * W TUNELU * ODKRYCIE W PIWNICY ZAMKOWEJ, CZYLI SZATAŃSKI PLAN * WIZYTACJA W CENTRUM MONITORINGU

W pierwszej chwili pomyślałem, że to sen. Gdy jednak intruz po drugiej stronie drzwi wszedł bezceremonialnie do pokoju, zerwałem się na równe nogi jak poparzony i przez sekundę stałem na środku pokoju w pidżamie. Niespodziankom nie było końca. A były to niespodzianki w rodzaju tych, które powodują, że nogi miękną, a w gardle zalega duża gula strachu wielkości napompowanej piłki plażowej. Gdy ujrzałem lufę krótkiego, automatycznego pistoletu wyłaniającego się zza drzwi i rękę, która go pieszczotliwie trzymała, mój strach sięgnął zenitu. Dzięki światłu wpadającemu do pokoju stwierdziłem, że był to krótki pistolet automatyczny scorpion strzelający nabojami 7.65 mm, idealna broń w zamkniętych przestrzeniach. Nie myliłem się - rozpoznałem krótką lufę CZ.62, wszak znałem się nie tylko na dziełach sztuki, ale i na broni palnej.

„Może jednak śnieg?” - pomyślałem. „Do tego w amerykańskim stylu?” Nie, to działa się naprawdę. Uzbrojony bandzior pakował się do naszego pokoju, więc odruchowo przyssałem się do ściany, czekając na dalszy rozwój wypadków.

- Sorry, Nick - usłyszałem krótkie zdanie wypowiedziane po angielsku przez mężczyznę znajdującego się w sieni pokoju. Zdawało mi się, że znam ten głos. - Pomyliłem klucze.

- Dobra, sprawdź tych tutaj. Potem zajrzemy do tych na końcu korytarza.

Tylko tyle! Jakim cudem chodzili po zamku uzbrojeni po zęby i sprawdzali pokój po pokoju? Czego chcieli ode mnie i magistra Pietrasia, który chrapał za dwóch, jakby odsypiał za mnie. Szczęściarz. Co takiego działo się w zamku?! Żaden pomysł nie przyszedł mi do głowy, lufa automatycznego pistoletu nie wróżyła jednak niczego dobrego.

„Terrorysty!” - przyszło mi zaraz do głowy. To mogli być terroryści. Bo któż inny odważyłby się grasować po pokojach w dobrze strzeżonym hotelu? Struchlałem i dziękowałem w duchu, że ściany mają nie tylko zastosowanie w budownictwie do podtrzymywania stropów. Czasami idealnie nadawały się podtrzymywania przerażonych ludzi.

Kroki osobnika uzbrojonego w scorpion ustąpiły. Widziałem jego nieruchomy cień kładący się na dywanie salonu. Facet stał w sieni i milczał. Zaniemówił. A trwało to tylko krótką chwilę.

- Te, Nick! - rzucił zaraz głośno. - Widziałeś ten balkon?

- A niech to... Otwarty! No nie!

Rozpoznałem ten głos! Toż to był kamerzysta lokalnej stacji telewizyjnej we własnej osobie. Rozpoznałem Nicka, asystenta reporterki. A zatem kompan Nicka, ten stojący w korytarzu był pewnie dźwiękowcem, trzecim członkiem ekipy Ursuli Pappani. Wolałem nie zgadywać, kim była w rzeczywistości reporterka w drucianych okularach.

Ci ludzie nie tylko sprawnie obsługiwali kamery i mikrofony. Całkiem nieźle radzili sobie z bronią palną.

Kamerzysta otrząsnął się z wrażenia, jakie wywarł na nim widok otwartego balkonu i niemalże wbiegł do salonu. I wtedy wyciągnąłem silnie wyprostowaną kończynę, powodując, że osobnik zawadził o nią, stracił równowagę i zwałił się na podłogę z jękiem. Nic lepszego nie wpadło mi do głowy.

Nie czekałem na dalszy rozwój wypadków. Musiałem obudzić w sobie dzikiego zwierza i działać tyleż zdecydowanie, co błyskawicznie. Pierwsze co zrobiłem po upadku bandziora to sięgnąłem po leżący na dywanie pistolet. Miałem przewagę nad Kamerzystą, gdyż moje oczy zdążyły się już przyzwyczaić do ciemności. On zaś wszedł tutaj z jasno oświetlonego korytarza, więc czuł się w pomieszczeniu jak dziecko we mgle.

Chłód metalu i drewniana rączka scorpiona dodały mi sił i wiary w sens ucieczki. W tym czasie, zaniepokojony przebiegiem wydarzeń w salonie Dźwiękowiec o imieniu Nick, zaklął pod nosem w iście amerykańskim stylu i z furią kopnął we framugę drzwi. Tym hałasem obudził kolegę Pietrasia.

- Co się dzieje? - zabelkotał magister. - O Boże... kto tu jest?! Pan Paweł?!

Kamerzysta podnosił się z dywanu, Dźwiękowiec czekał w korytarzu niepewny.

-Co jest?! - rzucił krótko, ze strachem. - Nick!

Walka wręcz z tymi łobuzami była czystym nonsensem. Musiałbym ich pozabijać. Wymiana ognia nie wchodziła w rachubę. Nie dlatego, że nie umiałem obchodzić się z bronią palną. Umiałem. Jednakże nie mogłem ryzykować życia kolegi Pietrasia, gdyby do takowej wymiany strzałów doszło. Poza tym, gdzieś podskórnie wierzyłem jeszcze, że uczestniczę w ponurym żarcie, zgrywie i mistyfikacji przygotowanej przez kogoś nie znającego się na żartach.

Dodatkowo to wszystko działo się niemiłosiernie szybko.

Na wszelki wypadek wybrałem wariant ucieczki. Wykonałem błyskawiczny skok w stronę otwartych drzwi balkonowych i zrobiłem to odruchowo. Dopadłem ich w chwili, gdy ciszę zamku zagłuszył głośny strzał. Potem drugi. Pach! Pach!

Krzyknął też przerażony magister:

- Jezu!

Czymże był jego krzyk wobec faktu, że strzelano do mnie? Poczulem zimny oddech śmierci za plecami, w tym czasie drugi pocisk otarł się o moją czuprynę. Potem pękło szkło w szybie balkonowych drzwi. Na szczęście nie zostałem trafiony dzięki przypadkowi - zawadziłem bowiem nogą o zasłonę. Próbując ucieczki na balkon, zaplątałem nogę w zasłonie i w rezultacie tego straciłem równowagę. Upadłem, gdy kule przeszły nad moją głową. Instynktownie oddałem strzał gdzieś w okolice sufitu. I ten - z pozoru niewinny manewr - uratował mnie. Dźwiękowiec - bo to on strzelał - nie spodziewał się odpowiedzi z mojej strony. Przestraszył się ognia plującego z lufy „mojego” pistoletu i zrobił odruchowo unik. Wykorzystałem ten moment na wydostanie się na taras.

W zamku Tarrytown pokoje wychodzące na rzekę Hudson posiadają niewielką przestrzeń tarasową. Ten przebudowany segment zamykający dziedziniec od zachodu posiadał zatem niewielkie balkony, za balustradami których pachniał bez z jałowcem. Jako że dzieliłem z Pietrasiem pokój na pierwszym piętrze, mogłem od biedy

zaryzykować skok przez balustradę. Skoczyłem bez namysłu i spadałem długo, co źle wróżyło. Liczyłem w duchu, że pierwsze piętro jest znacznie niżej. Myliłem się, ów zachodni segment wybudowano bowiem na nierównym kawałku szczytu góry, opadającym ku północy. Widać nasz pokój znajdował się na sporej wysokości w porównaniu z pokojami tego samego poziomu usytuowanymi bardziej na południe, a więc bliżej szczytu.

Spadłem szczęśliwie na gęsty krzak jałowca, który zamortyzował upadek. Ukłucia twardych liści przyjąłem jak zbawienny pocałunek. Kawałek gałęzi zranił mi jednak udo, wbiwszy się głęboko pod skórę, a następnie zwałem się na świeże rabatki tulipanów. Poczułem intensywny zapach ich pyłków. W tej części zamczyska latarnie intensywniej oświetlały teren posesji, więc z góry byłem dobrze widoczny. Udało mi się wycelować w żarówkę najbliższej latarni i nacisnąłem spust. Pudło. Usłyszałem jedynie dźwięk rykoszetu. Poprawiłem. Zatopiony! Udało się. Fragment posesji spowił mrok. I teraz jedynie słabe księżycowe promienie były moim przewodnikiem po meandrach przyległego do twierdzy terenu. Za tulipanami zaczynał się zniszczony częściowo przeze mnie żywopłot z jałowca, za nimi rósł bez i wyższe drzewa - dorodne klony, kasztanowce i graby. Gdy teraz to opisuję, wydaje się, że dość łatwo orientowałem się wówczas w topografii terenu, rozróżniałem bezbłędnie rodzaje drzew i krzewów, odległości dzielące mnie od najbliższej alejki, zaułka, schodków. Nic bardziej mylącego! Wtedy nie wiedziałem nawet, gdzie jest północ i zachód, nie pamiętałem nawet swojego imienia. Nie miałem na to czasu - działałem instynktownie.

Właśnie dzięki tej mimowolnej zdolności znalazłem się za żywopłotem, w enklawie zieleni i pod osłoną drzew, które uchroniły mnie przed gradem kul. Dźwiękowiec strzelał z góry i równo kosił rabatki tulipanów, kołnierz jałowca i pnie drzew, a ja skulony przycupnąłem za jednym z nich. Strzały zaraz umilkły, napastnik pewnie zmieniał magazynek, gdyż scorpiony mogą w nich pomieścić dwadzieścia sztuk naboju. Ten moment wykorzystałem na podniesienie się i przebiegnięcie kilkunastu metrów między drzewami.

- Tam - krzyczał Kamerzysta. - Widzę go! Ucieka! Szybciej, Nick!

- Ucisz tego bęcwała w pidżamie! - odpowiedział mu współnik.

Miał na myśli Pietrasia, którego wrzask towarzyszył ich poczynaniom na balkonie. Lecz Kamerzysta nie zdążył załadować broni, gdyż uciekłem im zbyt daleko. Z powrotem wycofałem się w pobliże muru. Biegając po schodkach pnących się do góry, zastanawiałem się, czemu nikt z gości hotelowych nie zareagował na strzały. Napastnicy nie tylko strzelali bez ograniczeń, lecz także krzyczeli, zachowywali się nad wyraz bezkarnie.

„Czyżby pozabijali wszystkich gości?” - niepokoila mnie cisza wisząca nad zamkiem. „Skąd ta martwa cisza otaczająca zamek?”

Po chwili teren się wyrównał i zbliżyłem się do basenu. Nie wiedziałem jednak, co mam robić - czy schować się gdzieś i czekać na rozwój wypadków, czy raczej próbować ucieczki. Gdyby udało mi się dostać przed napastnikami do wehikułu, miałbym szansę opuścić zamek i dotrzeć szybko do Tarrytown położonego w dolinie. Chłód scorpionia i świadomość, że w wehikule trzymałem drugi zestaw kluczyków, dodały mi sił. Ucieknę stąd moim pojazdem i zawiadomię policję!

Od basenu do parkingu miałem znacznie bliżej niż moi prześladowcy, którzy musieli w końcu opuścić piętro w skrzydle zamku, przemierzyć hol, przebiec cały dziedziniec i jeszcze na dodatek zejść pod mur zamkowy. Zanim dotrą na parking, powinienem poradzić sobie z płóciennym dachem wehikułu, z silnikiem, a może nawet już będą zjeżdżał w dół asfaltową serpentyną.

Biegłem, ile sił, nie zważając na krwawiącą ranę uda i gołe stopy. Dokuczala mi stara kontuzja kolana - pamiątka po moich burzliwych przygodach ostatnich lat. Biegłem szybko, bo od tego zależało moje życie (być może także pozostałych gości hotelowych) i wnet minąłem ogrodzoną siatką przybudówkę, za którą rozciągał się już zwirowy parking. Rzuciłem na nią tylko okiem i zauważyłem uchyloną furtkę oraz otwarte drzwi.

Interesował mnie jednak wyłącznie parking. Uwierzyłem w swoją szczęśliwą gwiazdę. Miałem przed sobą oświetlony światłem księżyca i dyskretnie rozlokowanych latarni parking, zastawiony mrowiem samochodów. Płócienny dach wehikułu zauważyłem bez trudu i tamże skierowałem swoje kroki.

Dopiero gdy mijałem pierwsze samochody, spostrzegłem, co się stało; wszystkie pojazdy na parkingu miały poprzębijane opony. Widok był to niezwykły - dziesiątki przygniecionych przez gołe felgi gumowych flaków. Zdawało się, że wszystkie opony poprzębijano, zresztą nie miałem czasu na sprawdzenie każdego pojazdu dokładnie. W każdym razie mój wehikuł osiadł na felgach i przypominał skonanego, schorowanego starca. Był wrakiem samego siebie.

„Co tutaj się dzieje?” - przeraziłem się. „W jakim uczestniczyłem przedstawieniu? W jaką grę zostaliśmy wpętani? A może jednak to sen?”

Jednego byłem pewien - nie miałem czasu na dalszą zwłokę i podobne rozważania. To nie był sen. Musiałem działać! A nawet gdyby to był koszmarny sen, przed marami sennymi też należało uciekać. Uszczypnąłem się w policzek. Nie, stałem na bosaka na zwirowej powierzchni parkingu, w samej pidżamie pośród licznych samochodów - na jawie. Nawet chłodny powiew nocy zapachniał tak jak pachną wieczory na jawie. Nade mną wznosił się masywny mur zamczyska, milczący jak grobowiec, gigantyczny kamień. Rzeczywisty.

Trwałem obok wehikułu całkowicie bezradny i czułem w ustach smak porażki. Ocknąłem się dopiero, gdy nocną ciszę wiszącą nad Tarrytown niczym miecz Damoklesa zmaćlił dziwny warkot, wprawiający powietrze w niepokojące wibracje. Słyszałem ten dźwięk coraz głośniej, aż wreszcie snop silnego światła przeciął wieżę zamkową i spoliczkował dachy samochodów. Błyskawicznie przykucnąłem i przyssałem się do drzwi wehikułu.

Czerwone światło ostrzegawczej lampy błyskowej mieszało się z furkotem potężnych wirników. Po chwili ich podmuch zmiótł z powierzchni parkingu tysiące zwirowych kamyków, przeginał w pół krzewy, tarosił korony drzew i moją czuprynę. Jak na złość zwirowy piasek sypał mi prosto w oczy, więc musiałem na chwilę odwrócić głowę od helikoptera, który przelatywał nad parkingiem.

Miałem nadzieję, że to policyjny helikopter. Lecz gdy wzniósł się wyżej na wysokość wieży, zerknąłem na maszynę i ku swojemu zdziwieniu nie dostrzegłem na nim policyjnego logo. Wielki żelazny ptak hałasował kręcącymi się szaleńczo łopatami i bił po oczach drobnym pyłem. Oświetlił teren za parkingiem, więc przebiegłem przez

parking, a następnie przeturlałem się kilka metrów po zboczu. Znalazłem tam schronienie w zasłonie gęstych, kolczastych krzaków. Spoza szpaleru drobnych gałęzi mogłem lepiej obserwować zamek. Helikopter - śmigłowiec Bell 206 Jetranger - przechylił się nieco i stanął w głębi nad zamkiem, na wysokości dziedzińca. Nie zauważyłem żadnych policyjnych znaków, symboli, jedynie skromny napis w górnej części kabiny duralowej - „Aeromega” i jakieś cyferki. Potem maszyna powoli zaczęła opadać, aż wreszcie zniknęła na dobre za murami.

Postanowiłem opuścić kryjówkę. Wtedy to helikopter uniósł się niespodziewanie z powrotem nad zamkiem. Szedł w górę niczym balonik, przesunął się w moją stronę i stanął niemalże nad samą wieżą. Zawisł jak w klatce zatrzymanego kadru. Trwało to moment. Zaraz ów nieruchomy obraz został zmieciony przez poruszający się snop reflektora służącego pilotowi do lądowania. Ostre światło penetrowało najbliższe otoczenie zamku. Szukali mnie.

Jedno było pewne - to nie była policja. Ani żaden przypadkowy wybawiciel, właściciel helikoptera, który usłyszał w nocy strzały. Wyglądało na to, że Kamezysta z Dźwiękowcem porozumieli się z człowiekiem obsługującym helikopter i ten zjawił się z pomocą. Niewykluczone, że miał przylecieć o tej porze, a moja ucieczka zbiegła się w czasie z jego lądowaniem. Po co im tak duży helikopter? Za kabiną dla pasażerów był jeszcze dodatkowy przedział bagażowy! Nieważne.

lotu z powrotem uniosła się nad zamkiem i wylądowała na dziedzińcu. Dali spokój. Mogłem odetchnąć.

Uczucie ulgi nie chciało jednak nadejść. Oto bowiem na parking wbiegli Kamerzystą z Dźwiękowcem. Jeden z nich miał scorpioną, drugi zaś dzierżył w dłoni mniejsze cacko, zwykły pistolet. Rozdzielili się. Jeden pobiegł na sam koniec parkingu, w kierunku, z którego przybiegłem, drugi stanął przed moim wehikułem i chwilę go oglądał. Gwizdną! na kompana. Tamten wrócił i pokręcili się jeszcze między samochodami, aż wreszcie Kamerzysta zbliżył się do krawędzi zbrocza. Stanął tak blisko mnie, że widziałem poprzez kolczaste kłęby krzewu jego broń zaciśniętą w opuszczonej ręce. Taurus PT 58 S-D, kaliber 9 mm. Widziałem też jego zawziętą twarz, która nie przystoi żadnemu szanującemu się kamerzyście na tym padole. Krótko patrzył na zadrzewione zbrocze. Zrezygnował z obserwacji pogrążonego w ciemności zbrocza i dał znak kompanowi do odwrotu. Truchtem ruszyli z powrotem na zamek.

Opuściłem swoją „kolczastą” kryjówkę. Nie wyszedłem jednak na szczyt wzgórza, na otwartą przestrzeń przyległą do parkingu, lecz ruszyłem w bok wzdłuż krawędzi szczytu. Szedłem ostrożnie z uwagi na gołe stopy i dopiero minąwszy parking, wdrapałem się na właściwy poziom. Tam rzuciłem się biegiem w stronę przybudówki, której strzegła nieskutecznie tabliczka z napisem: „Wstęp wzbroniony”. Ryzykowałem. Jeśli tylko któryś z bandytów obserwował ów kawałek terenu z okna wieży, zauważył mnie i konfrontacja będzie tylko kwestią minut.

Wślizgnąłem się na strzeżony teren przez uchyloną furtkę. Wcześniej kręcili się tutaj dwaj robotnicy, teraz obiekt był otwarty i mógł służyć mi jako tymczasowe schronienie. Pewnie bandyci na zamku pomyśleli, że uciekłem w dół zbrocza i za chwilę zorganizują pościg. W ten sposób miałem szansę odciągnąć ich od zamku i spróbować dostać się do twierdzy.

Równo przystrzyżona, miękka trawa podziałała niczym balsam na moje okaleczone stopy. Dopadłem drzwi przybudówki i zajrzałem do wnętrza niewielkiego obiektu, ignorując ból przeszywający moje udo. W środku było ciemno i pachniało rurami. Oczy bardzo powoli przyzwyczajały się do ciemności, dodatkowo walczyłem z nierównym i płytkim oddechem. Poziom adrenaliny w moich żyłach osiągnął niebezpiecznie wysoki poziom, lecz ta właśnie adrenalina była kolejnym atutem w rozgrywce z bandytami. Dzięki niej człowiek kpił sobie z niebezpieczeństwa i bólu, zyskiwał siłę i szybkość. Adrenalina była paliwem przeznaczonym do „jazdy” w stresie, walki z niebezpieczeństwem, a kiedy jej rezerwy się wyczerpywały, organizm słabł. Na szczęście miałem duży zapas tego hormonu.

Wewnątrz pomieszczenia znalazłem włącznik światła. W mętym świetle żarówki ukazał mi się wielki agregat prądowórczy na gaz, prawdopodobnie służący jako wtórne źródło energii na wypadek awarii. Niewykluczone, że wytwarzał on prąd potrzebny do ogrzewania basenu, a może służył do innych celów. Dopiero po chwili mój wzrok zatrzymał się na schodkach prowadzących do podziemnego zejścia i drewnianych drzwiach niżej za nimi, tonących w głębokim mroku. Dokąd prowadziły? Do piwnicy? Pokonałem kilka niewysokich schodków i dopadłem zamkniętych na zwykły zamek yale wrót.

Tutaj musiałem skorzystać z umiejętności, która nie powinna być powodem do dumy, lecz która uratowała mi kiedyś życie, a przynajmniej kilka razy pozwoliła

wykaraskać się z prawdziwych opresji. Tak jak teraz! Kiedyś, w czasach mojej służby wojskowej, pewien kolega, niebawem spryciarz, nauczył mnie otwierać proste zamki, o kłódkach nie wspominając. Włamywaczem nie byłem Jednak czasami ta zdolność prestidigitatora przydawała się. Potrzebny był mi tylko zwykły wytrych zrobiony z kawałka solidnego drutu, tak się jednak złożyło, że nie dysponowałem nawet agrafką. Oprócz pidzamy na sobie, nie miałem nic.

Z powrotem dostałem się schodkami na poziom podłogi i wzrokiem poszukałem kawałka drutu pod nogami. Nigdzie nie znalazłem takowego - podłoga była zamieciona z pedanterią graniczącą z obsesją. Czysto - to za mało powiedziane! A zatem nie miałem czym otworzyć zwykłego yale'a. I wtedy na krótko pomyślałem o scorpionie. Gdyby tak przestrzelić zamek? Szybko porzuciłem ten pomysł. Użycie pistoletu nie wchodziło w rachubę, narobiłbym niepotrzebnego hałasu i zdradziłbym miejsce swojej obecności. Wiem! Wehikuł!

Wycofałem się. Wyszedłem z przybudówki na zewnątrz i pobiegłem w kierunku parkingu, cały czas uważnie obserwując okolicę. Nigdzie śladu bandytów, słyszałem jedynie stłumiony warkot helikopterowych wirników. Żadne inne odgłosy nie burzyły spokoju okolicy. Dopadłem wehikułu zziąjany i jednym szybkim ruchem wyszarpałem płótno dachu, aby dostać się do wnętrza pojazdu.

W schowku znalazłem szczyryk, a nawet specjalny drut, który od biedy służył mi w sytuacjach awaryjnych do otwierania kłódek i prostych zamków. Zabrałem z niego również miniaturową latarkę. Mogła się przydać. W każdej książce czy filmie bohater nie ma najmniejszych trudności w zdobyciu wytrycha - prędzej czy później zrobi go z byle czego. W rzeczywistości jest jednak zawsze trudniej. Dlatego też filmowy i literacki świat nie dorównują nigdy rzeczywistości w piętreniu trudności, a zatem w wymyślaniu oryginalnych rozwiązań. W życiu zawsze jest trudniej niż w filmie - tym nowoczesnym śnie każdego społeczeństwa. Niestety - już zrozumiałem, że sen dawno się skończył.

Poprawiłem oderwane płótno dachu, przyklepując je do ramy, i z powrotem oddaliłem się do przybudówki. Biegłem ile sił w nogach. Nie zdążyłem dobiec nawet do ogrodzenia, gdy od strony basenu, w zaroślach, mignęło światło latarki.

Zbliżali się. Szło ich dwóch.

Bez namysłu pokonałem furtkę i wskoczyłem do przybudówki. Nie zamknąwszy za sobą drzwi, przywarłem plecami do ściany. Słyszałem głosy naszych prześladowców, potem ich kroki na żwirze. Na moje szczęście nie weszli przez furtkę, zboczyli z trasy i dali nura w zarośla porastające zbocze.

Tak jak się wcześniej domyśliłem, założyli, że ucieknę zboczem do miasta. Jeśli tych dwóch ruszyło za mną w pościg, miałem czas. Dlatego z nadzieją zabrałem się do otwarcia zamka w drzwiach strzegących drogi do piwnicy. Z początku szło słabo, gdyż drucik był troszeczkę za gruby. Dłubałem kilkanaście sekund bez rezultatu. W pewnym momencie zaskoczyli mnie. Do pomieszczenia wpadło trochę światła z zewnątrz. Któryś z nich oświetlał latarką przybudówkę i część światła wpadła do wnętrza przez lekko uchylone drzwi. Nie poszli zboczem. Zrezygnowali. Szli tutaj.

Trzęsły mi się ręce ze zdenerwowania, a kroki dwóch uzbrojonych zbirów stawały się coraz głośniejsze. Chrząścił nieprzyjemnie żwir pod podszewkami ich buciorów.

Znalazłem się w pułapce. Posiadałem wprawdzie pistolet maszynowy, lecz ich było dwóch. Mieli przewagę. Z pewnością posługiwali się bronią maszynową częściej ode mnie. Przeczuwałem, że są w tym lepsi ode mnie. Od kiedy wyszedłem z wojska rzadko sięgałem po broń palną, a coraz częściej posługiwałem się inną, najgroźniejszą z najgroźniejszych broni - głową.

Skrzypnęła furka na zewnątrz. Niedobrze - byli coraz bliżej. Od furki do drzwi przybudówki dzieliło ich kilkanaście metrów. W tym czasie mocowałem się z zamkiem i nie mogłem sobie z nim poradzić. Przekręciłem drutem dwa razy w odpowiedni sposób, lecz końcówka druta wyslizgiwała się za każdym razem. Zamek „puścił” dopiero za trzecim razem. Bingo!

Niestety, czułem już oddech dwóch uzbrojonych zbirów na swoim karku. Zbliżali się do drzwi.

- Wejdz - rozkazał Dźwiękowiec głośnym szeptem. - Ja tu zostanę.

Otworzyłem wrota do piwnicy. Skrzypnęły cichutko. Przeraziłem się, że bandyci usłyszeli ten dźwięk, więc nie namyślając się dłużej, wszedłem do środka ciemnego pomieszczenia. Z ulgą zamknąłem drzwi i przekręciłem zasuwę zamka, próbując w ciemności nasłuchiwać głosów na zewnątrz. Nie były to grube wrota, więc słyszałem szczątki rozmowy, zagłuszane przez bijące mi głośno serce. Poza tym cuchnęło tu wilgotną cegłą.

- Hej, Nick! - wołał pierwszy zbir. - Słyszałeś?

- Co jest?

- Chodź tu! Słyszałem coś.

- Może szczury?

- Zgłupiałeś?

- Słyszałem skrzypnięcie. Szczury nie umieją otwierać drzwi.

- To kto? - zdenerwował się Dźwiękowiec. - Tu nikogo nie ma.

- Idziesz?!

Weszli. Ich kroki niosły się głuchym echem po pomieszczeniu. Nie rozmawiali. Wreszcie stanęli po drugiej stronie wrót i kilka razy poruszali kłamką.

- Zamknięte - doszedł mnie głos Dźwiękowca. - Tędy nie uciekł. Pewnie facet ucieka w dół do miasta. Zawiadomi policję i koniec. Chodź, pomożemy Garethowi.

- Niech Gareth działa sam. On kocha ścigać zwierzynę. To urodzony myśliwy. Znajdzie faceta, zanim ten dojdzie do połowy zbocza. A wtedy wypatroszy go jak rybę.

- Mam nadzieję, że go nie zje - żartował Dźwiękowiec.

- Kto go tam wie - zarechotał jego kompan. - Ale padliny raczej nie jada.

A mnie przeszły ciarki po plecach na wspomnienie o jakimś strasznym „myśliwym”. Ten Gareth kochał ścigać ludzi. Słabą pociechę stanowił fakt, że facet nie jadał padliny. Z rozmowy zbirów zrozumiałem, że to ja miałbym zostać owym truchłem. Kim był ten Gareth? Płatnym mordercą? Jak to dobrze, że zrezygnowałem z ucieczki w dół zbocza.

- Może by tak otworzyć te drzwi i sprawdzić, czy kogoś tam nie ma - zaproponował Kamerzysta.

- Gareth zabrał klucze. Nie panikuj, Nick!

Mężczyźni za drzwiami opuścili szybko przybudówkę. Słyszałem ich kroki i trzaśnięcie drzwiami. Mogłem wydostać się z powrotem do pomieszczenia z agregatem. Moi prześladowcy kręcili się w pobliżu, więc nie mogłem za szybko

opuścić kryjóWKi. A nawet jeśli udałoby mi się niezauważenie wydostać z przybudówki i ruszyć do Tarrytown zбочem, mogłem nadziać się tam na Garetha.

Jaką miałem alternatywę?

Zapaliłem latarkę i ujrzałem długi, wąski korytarz ciągnący się w kierunku zamku. Był tak długi i ciemny, że wątle światło latarki oświetlało zaledwie dwadzieścia metrów jego długości. Ściany tunelu były wykonane ze starej, palonej cegły, więc domyśliłem się, że w przeszłości mogło to być jakieś tajne przejście wybudowane przez generała Carrolla. Dokąd prowadziło? Do zamku? Pewnie tak. W takim razie ucieczka tym podziemnym korytarzem była głupotą, działaniem wbrew logice. Powinienem uciekać w przeciwnym kierunku, a nie pchać się w paszczę lwa. Czasami jednak szalone pomysły i niekonwencjonalne zagrywki potrafią zmylić przeciwnika. Oni nie spodziewali się mnie zastać z powrotem w zamku. Pomyślałem też, że nie jest ich dużo - Kamerzysta, Dźwiękowiec i reporterka Ursula Pappani. Kto jeszcze? Nieznany mi Gareth i pilot helikoptera. Tak więc kilka osób nie jest w stanie kontrolować zamku i terenu wokół niego, tym bardziej że moja ucieczka zaabsorbowała ich uwagę oraz siły. Teraz byli zajęci pościgiem. Na zбочu grasował Gareth, teren wokół zamku patrolowali zaś Kamerzysta z Dźwiękowcem.

Miałem szansę zakraść się do twierdzy i poznać ich prawdziwe zamiary, kto wie, może była możliwość skorzystania na zamku z telefonu. Wbrew rozsądkowi poszedłem tam.

Szedłem wolno, oświetlając drogę latarką. Zauważyłem pod sufitem kilka grubych kabli ciągnących się na całej długości przejścia. Pojawiły się też jarzeniówki na suficie, wcześniej zauważyłem za drzwiami ścienny włącznik. Oczywiście nie zamierzałem włączać górnego światła, bezpieczniej było posługiwać się latarką. Było to dawne, stuletnie przejście podziemne, które dzisiaj przerobiono na tunel techniczny łączący zamek z przybudówką. Po pięćdziesięciu metrach marszu wąski kanał wydrążony w ziemi skończył się. Przejścia dalej strzegły kolejne drzwi, które musiałem otworzyć wytrychem. Zanim to uczyniłem, przez bitą minutę wsłuchiwałem się w ciszę po drugiej stronie.

Wszedłem tam po trzech minutach zmagania z zamkiem yale. Moim oczom ukazała się spora sala o ceglanych ścianach zaprawionych wapnem i błyszczącej podłodze z płytek. Był to szeroki korytarz prowadzący do kilku innych pomieszczeń strzeżonych metalowymi drzwiami. Z umieszczonych na nich tabliczek zorientowałem się, że prowadzą one kolejno do bojlera, urządzenia sterującego oczyszczalnią ścieków i systemem ogrzewczym zamku. Drzwi na wprost mnie nie miały żadnej tabliczki i mogły być wyjściem prowadzącym na zamek. Wszedłem do pierwszego pomieszczenia. W szarym wnętrzu o rozmiarach pięć metrów na cztery stał duży piec kondensacyjny - pompujący ciepłe powietrze o odpowiedniej wilgotności i składzie chemicznym do instalacji ogrzewczej zamku.

W pokojach na górze zainstalowano także klimatyzację, lecz ów system centralnego ogrzewania służył prawdopodobnie jako ogrzewanie wspomagające w okresie zimowym. Był zresztą połączony z całym systemem wentylacyjnym i mniemałem, że wszystkie urządzenia zainstalowane w podziemiach zamku były zintegrowane w jeden, skomputeryzowany system. Wszystko dla dobra klientów.

Moją uwagę zwróciło pęknięcie, a w zasadzie dziura zrobiona w obudowie wylotu gorącego powietrza, elemencie łączącym się z piecem i betonową podłogą, który dalej szedł pod ziemią do zamku jako kanał główny instalacji. Z niezrozumiałym dla mnie powodów zrobiono w blasze tego wylotu dziurę. Może zrobiono ją dawniej, a może całkiem niedawno! Pewnie dlatego widziałem kręcących się w przybudówce robotników. Może coś naprawiali? Coś, co miało związek z tym brojlerem? Domyślałem się, że instalacja wiosną i latem nie działała, mogło być i tak, że włączano ją podczas chłodniejszych nocy. Tak jak dzisiaj. Niewykluczone, że system był zintegrowany w większy, skomputeryzowany system obejmujący nie tylko zwyczajowe ogrzewanie, wentylację i klimatyzację, ale i regulację jakości powietrza z zastosowaniem różnych czujników ruchu powietrza i jego składu chemicznego? Nie zbadałem dobrze tej sprawy w pokoju, bo nie było ku temu potrzeby. Niemniej jednak ktoś zrobił w tej oto „rurze” dziurę i ta właśnie dziura mogła być obiektem troski robotników.

Zignorowałbym ten trop, gdyby nie obecność butli z jakimś gazem i podłączoną do zaworu rurką, zakończoną niby kranikiem. Podniosłem ową końcówkę i ze zdumieniem stwierdziłem, że jej średnica odpowiadała od biedy średnicy dziury w komorze wylotu powietrza z pieca elektrycznego. Kiedy znalazłem w rogu rzucone bezładnie gumowe maski przeciwgazowe - zrozumiałem wszystko.

Kończówka rurki dała się wcisnąć w ową dziurę, posiadała nawet gumowy kołnierz - uszczelkę własnej roboty. Ktoś zrobił w komorze powietrza dziurę, włożył w nią „kranik” podłączony plastikową rurką do butli. Nazwa gazu na butli mówiła sama za siebie - ksenon (Xe). Był to bezwonny gaz szlachetny o działaniu usypiającym. Dwie maski przeciwgazowe rzucone na podłogę w kąt potwierdzały tylko moje przypuszczenia.

Ktoś podłączył się do systemu wentylacyjnego, aby wprowadzić doń gaz usypiający - stosowany w anestezjologii. Bandyci, którzy opanowali zamek uśpili cały personel zamku i gości hotelowych, wszystkich oprócz nas dwóch - mnie i kolegi Pietrasia. Tylko my dwaj nie zapadliśmy w sen, kolega Pietraś zepsuł bowiem pokrętko regulujące klimatyzację pokoju, w związku z czym odłączył nas od całego systemu. Środek usypiający przewodami dostał się do każdego pomieszczenia w zamku i spowodował narkozę u wszystkich pozostałych rezydentów, którzy nie mieli ze sobą maski przeciwgazowej w odpowiedniej chwili.

Co za szatański plan! Prostota i skuteczność tego zamysłu spowodowała, że ugięły się pode mną nogi, poczułem na plecach coś jak łaskotanie piórkiem strachu. Miałem do czynienia z nie lada przeciwnikiem, dobrze zorganizowanym, metodycznym i groźnym. Dysponowali sprzętem i pomysłami. To byli fachowcy.

Stałem na schodkach przed drzwiami prowadzącymi na zamek. Chwilę nasłuchiwałem, choć niewiele to dało. Wszelkie potencjalne odgłosy za drzwiami zagłuszał szum urządzeń na dole - agregatu chłodniczego i chłodnicy systemu klimatyzacyjnego, a także pieca nadmuchowego.

Tych drzwi nie musiałem otwierać wytrychem. Były otwarte. Wnet znalazłem się w pokoju, który przypominał stację roboczą z niezależnymi komputerami, coś w rodzaju „inteligentnego centrum”, studio monitoringu i sterowni, które w razie awarii systemu podstawowego przejmowało jego obowiązki. Centrum nadzorowało nie tylko pracę

systemów wentylacji, ogrzewania i klimatyzacji, lecz także ochrony przeciwpżepięciowej i odgromowej. System ów archiwizował wszelkie dane i przechowywał informacje z urządzeń kontrolnych, między innymi zapis z kamer wideo. A właśnie!

Zaniemówiłem. Jeden z ekranów monitora obejmował szeroki pas parkingu, tego samego, na którym nie tak dawno dokonałem włamania do wehikułu. Moje poczynania na zewnątrz zamku były zarejestrowane przez ukrytą tam kamerę wideo, której nie zauważyłem. Widziano mnie biegającego między samochodami i robiącego z siebie pośmiewisko. Rambo w pidżamie!

Nie zdążyłem już nic więcej zrobić, gdyż do pomieszczenia z monitorami i dziesiątkami czujników oraz lampek wszedł uzbrojony człowiek. Rudy mężczyzna w moim wieku o zimnych, wręcz lodowatych oczach. Natychmiast wycelowałem w niego scorpiona, lecz on zdawał się nic sobie z tego nie robić. Był to jeden z dwóch robotników naprawiających wcześniej portal na dziedzińcu, potem myszkujący w przybudówce. Facet trzymał w ręku taki sam model scorpiona, z którego celowałem do niego. Patrzył na mnie z triumfującym uśmiechem.

Po chwili do pomieszczenia wpadła ubrana w dżinsy i sweterek Susan Benetton. popchnięta przez drugiego „robotnika”. Nic nie powiedziała, jedynie pociągała nosem. Miała zaklejone plastrem usta, więc z konieczności oddychała przez zaczerwieniony nos. Miała katar, o czym pamiętałem. Związano jej także z tyłu ręce. Ponury osobnik, który ją eskortował był również uzbrojony, lecz nie celował we mnie, a w dziewczynę.

- Witamy - odezwał się Gareth. - Cieszymy się, że pan do nas dołączył. Teraz jesteśmy w komplecie. Mogę do ciebie mówić „Paul”?

- Nie możesz - warknąłem.

Zaśmiał się i po chwili spowaźniał. A jego kompan dodał:

- Ma facet poczucie humoru, co nie, Gareth?

Gareth! Ów myśliwy tropiący ludzi. Rudzielec był Garethem! Dźwiękowiec z Kamerzystą blefowali. Dzięki kamerom wiedzieli, że nie uciekłem z boczem. To była zabawa. Wreszcie się wyjaśniło, dlaczego helikopter nie kontynuował poszukiwań na zboczu góry - nie musieli tego robić. Bandyci widzieli na ekranie monitora, że człowiek w pidżamie zabawiający się w Rambo ukrył się w przybudówce. Zaczekali tutaj na mnie. Susan Benetton zaś była gwarantem ich bezpieczeństwa. W tej sytuacji nie mogłem zrobić użytku z pistoletu, z uwagi na życie dziewczyny. Byliśmy zakładnikami tych ludzi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

**ZOSTAJEMY ZAKŁADNIKAMI * TERRORYSTYCZNA ORGANIZACJA
EKOLOGICZNA SZANTAŻUJE * CO WIEM O T.O.E.? * NIEUGIĘTY PAUL
BENETTON * MANIPULUJĘ SCYZORYKIEM * KTO OPŁACA T.O.E.? * WALKA Z
GARETHEM * „ODŁÓŻ BRÓŃ, INACZEJ CIĘ ZABIJĘ” * URSULA PAPPANI TUTAJ
RZĄDZI * ZNIKNIĘCIE DEPPA * KTO WSZEDEŁ DO NAS PRZEZ OKNO? *
NARADA, CZYLI SALONOWE POGADUSZKI * ROZDZIELAMY SIĘ**

Zaprowadzono nas do stylowej salki na parterze zamku - pełniącej rolę living-roomu dla gości - w której oprócz kolegi Pietrasia znajdowali się Benettonowie oraz David Duncan. Wszyscy znajdujący się tam więźniowie - odziani w pidżamy - mieli związane taśmą samoprzylepną ręce i nogi. Mieli zaklejone szerokim plastrzem usta i tylko ich oczy mówiły, jak bardzo się boją. Kilkanaście dodatkowych szpul taśmy walało się na ławie i dywanie. „Po co im tyle plastra samoprzylepnego?” - zgadywałem.

Rudy terrorysta zauważył moje zdziwienie.

- Reszta gości jest w swoich pokojach - powiedział głosem zrównoważonym, co mnie nie uspokoiło. - Weszliśmy do każdego z nich i związaliśmy każdego z was. Oprócz ciebie i tego tam - tu wskazał skorpionem Pietrasia. - Przypadkowo uniknęliście tego zbiorowego rytuału, ale na szczęście jesteście już z nami. Wszyscy bogacze zamieszkujący w tym hotelu przypominają teraz związany kawałek bekonu. Pewnie już się domyśliłeś, że uśpiłiśmy wszystkich ksenonem wpuszczonym do systemu wentylacyjnego, blokując wcześniej klimatyzację w całym zamku...

Któryś z Benettonów jęknął, jakby chciał coś powiedzieć przez zaklejone usta, lecz wyszedł z tego bełkot.

- Zaraz będziesz miał okazję do mówienia, panie gubernatorze - zarechotał Gareth.

- On nie jest gubernatorem - poprawiłem go. - Paul Benetton ubiegał się o fotel gubernatora.

- Masz rację, ubiegał się. Ale w Teksasie demokraci nie mają poparcia. Ty jednak jesteś detalistą. Dla nas każdy właściciel, czyli kapitalista, jest - niezależnie od wyznawanego światopoglądu politycznego - wrogiem normalnych ludzi, czyli niewolników.

Do sali weszli Kamerzysta i Dźwiękowiec. Ten pierwszy odebrał mi scorpiona i zamachnął się na mnie, jakby zamierzał mnie uderzyć. Skuliłem się na wszelki wypadek, co wywołało w bandytach rozbawienie.

- Rozwiąż mnie i spróbuj jeszcze raz - postawiłem się.

Przestali się śmiać, lecz po chwili ryknęli jeszcze głośniejszym głosem. Gareth spoważniał w ułamku sekundy i zwrócił się do Dźwiękowca.

- Teren czysty? Żadnych niespodzianek?

- Żadnych. Pilot siedzi już przed monitorami i wszystko obserwuje.

- Świetnie. O drugiej w nocy nikt nie powinien nam przeszkadzać. Mamy czas do rana. Jeśli zjawi się jakiś nieproszony gość, zwiążcie go jak pozostałych. Zwiążcie też tego tu bohatera.

Chodziło mu o mnie. Pod lufą pistoletu maszynowego zakleili mi dokładnie ręce i nogi. Ułożyli na miękkim i drogim dywanie w pozycji siedzącej z nogami wyprostowanymi. Przez ułamek sekundy nawiązałem kontakt wzrokowy z kolegą Pietrasiem, którego oczy wyrażały kwintesencję strachu. Bał się jednak nie tylko on.

Widziałem ten sam strach u Paula Benettona i jego brata Ronalda. Susan - jedyna ubrana w ciuchy zakładniczka - trzymała się dzielnie, lecz i ona miała w oczach obłąd.

- Idźcie na zewnątrz i pilnujcie zamku - zwrócił się Gareth do swoich ludzi. - Nie chcę niespodzianek. My tu zrobimy małą konferencję.

Kamerzysta i Dźwiękowiec posłusznie wyszli. Gareth wyszedł na środek sali, aby wszyscy go dobrze widzieli. Gdyby nie okoliczności, miło byłoby pogawędzić w tym bogato urządzonym pokoju ze stylową, dębową ławą, wygodnymi skórzanymi fotelami i ciemną boazerią dającą wrażenie usypiającego komfortu.

Zanim przystąpiono do zapowiadanej „konferencji”, oderwano Paulowi Benettonowi plaster z ust. Jęknął, gdy pomocnik Garetha - niejaki Joe - brutalnie usunął przylepiec z twarzy niedosłzłego gubernatora. Przez pierwsze pół minuty Paul Benetton ciężko oddychał. Potem przeszedł do ataku.

- Natychmiast nas puście! Kim jesteście? Terrorystami? Ile chcecie pieniędzy? Mogę wypłacić wam dziesięć tysięcy dolarów. Tyle mam na karcie...

- Żartujesz? - fuknął Gareth i zbliżył swoją twarz do twarzy Benettona. - Nie jesteśmy zwykłymi terrorystami.

- A kim?

Gareth się wyprostował. Stał na środku sali z wypiętą przesadnie piersią, z ręką opartą na lufie pistoletu przewieszzonego na rzemieniu przez ramię.

- Jesteśmy organizacją ekologiczną - oświadczył dumnie. - Obrońcami praw zwierząt. Nazywamy się T.O.E.: „Terrorystyczna Organizacja Ekologiczna”. Pewnie słyszeliście o naszych spektakularnych akcjach...

- Terroryzujecie zwierzęta czy ludzi? - zaryzykowałem.

Gareth podszedł do mnie i w milczeniu przyglądał mi się. Miał w oczach jakieś szaleństwo, którego nie mogłem w prosty sposób zdefiniować. Był szaleńcem, radykałem, terrorystą, lecz zarazem osobnikiem całkowicie trzeźwo myślącym, metodycznym i logicznym. Wierzył pewnie w swoje chore ideały i one go utwierdzały w normalności. Jak można jawić się obrońcą czegokolwiek, nawet najbardziej słusznej idei, napadając na ludzi i niszcząc ich dobytek. Czymże różniły się bojówki walczące o tak zwane dobro ludzkości od zwykłych terrorystów? I co oznaczało owo wspólne „dobro”? Nade wszystko nie był to odpowiedni czas do prowadzenia podobnych rozważań. Byliśmy bowiem więźniami bandytów i należało ratować własną skórę. Jednak na razie nie widziałem realnej możliwości ucieczki. Terrorysty wszystko beztędnie kontrolowali.

- T.O.E. - westchnął Paul Benetton. - Tak, teraz wszystko rozumiem... dostałem kilka anonimów z pogrózkami od tej całej T.O.E.! Od tygodnia zaś nękają mnie mailami i telefonami.

- Nie zgłosił pan tego na policję? - zdziwiłem się.

- Nie, David mi odradził - popatrzył z pretensją na swojego asystenta, który spuścił nisko głowę. Nie mógł nic powiedzieć z powodu plastra na ustach. - Powiedziałeś, że to banda szurniętych grandziarzy i że tylko chcą mnie nastraszyć.

- Pański David się mylił - rzucił ostro Gareth. - My nie żartujemy. To chyba widać. Jesteście naszymi zakładnikami.

- Czego od pana chcą, Benetton? - zapytałem go.

- T.O.E. uważa, że niszczy środowisko naturalne - wyjaśnił. - Nasze pola naftowe oraz elektrownie wybudowane przez ojca stały się ponoć przyczyną śmierci dużej liczby zwierząt... nazwali nas mordercami bezbronnych istot. Dali nam ostrzeżenie, żebym zaprzestał wydobywać ropę w okolicach El Paso, zniszczył szyby naftowe... Takie tam bzdury.

Gareth kopnął Benettona w kostkę.

- To nie bzdury! - warknął. - Masz wycofać ekipę z tych terenów, rozumiałeś? Zrobisz to dzisiaj. Inaczej podpalimy twoje szyby. Wygoń stamtąd swoich nafciarzy!

Ogarnęło mnie zdziwienie. Ogromne jak zamek w Tarrytown. Z początku myślałem, że mamy do czynienia ze zorganizowaną grupą złodziei pragnących okraść Benettonów z ich cennej kolekcji obrazów wartęj co najmniej dziesięć milionów dolarów! A tu się okazało, że celem ich operacji są pola naftowe w okolicach El Paso. Nie o dzieła sztuki toczyła się walka, a o prawa zwierząt!

I zaraz wyteżyłem swoją mózgowicę. Co wiedziałem o T.O.E.? Nie za wiele! Kto jednak nie słyszał o tej tajnej organizacji, której credo można by zamknąć w jednym zdaniu: każde zwierzę zasługuje na takie same prawa co człowiek! Szlachetna idea, nie powiem, lecz doprawdy trudno było mi znaleźć wspólny mianownik pomiędzy pchłą, świnią i człowiekiem, przy całym szacunku dla królestwa zwierząt. T.O.E. była anonimową grupą składającą się z mniejszych pododdziałów. Jej działania na całym świecie były tajne. Ta „organizacja” nauczała poprzez Internet, jak korzystać z anonimowych serwerów i czyścić komputer z danych dotyczących odwiedzanych stron w sieci. Wszystko dla lepszej konspiracji. Gareth jakby odgadł tok moich myśli, więc zaczerpnął powietrza w płuca i zaczął mówić.

- Nie żartujemy - dodał. - W samym tylko 2001 roku uwolniliśmy 2 tysiące nerek, 2012 kaczek, 789 kurczaków, 16 gołębi, 33 królików, 102 psy gończe, 11 fretek. 90 koni i... jednego ślimaka.

- A czy ślimak przypadkiem nie wystraszył się waszych skorpionów? Byliście pewnie zamaskowani, więc mógł, biedak, z wrażenia wykitować. Pewnie Francja jest dla was krajem barbarzyńców, skoro jedzą tam z upodobaniem ślimaki i żaby? - zapytałem.

- Nie żartuj sobie, bo każę zakleić ci jadaczkę - warknął po raz kolejny. - Naszym celem jest obrona Ziemi i walka z genetycznie modyfikowaną żywnością. Walczymy ze światopoglądem kapitalistycznym, globalistycznym i kolonializmem. Do tej pory atakowaliśmy skutecznie sieć restauracji i lodziarni, laboratoria, pola golfowe, luksusowe apartamenty i kurorty narciarskie. Oberwało się nawet plantacjom bawełny, pomidorów i cebuli.

Pomyślałem, że niedługo warzywa zrównają się prawami z ludźmi. Przecież dość często zwracamy się do niektórych ludzi: „ty buraku”.

- Naraziliśmy wstrętnych kapitalistów na łączne straty w wysokości siedemnastu milionów dolarów - podniecał się dalej Gareth. - Ale to dopiero początek...

- Gratulacje! - udałem zachwyty. - A ilu ludzi straciło pracę?

Ten komentarz kosztował mnie utratę prawa głosu. Kompan Garetha, Joe, na jego skinienie natychmiast sięgnął po plaster i zakleił mi usta.

- Czego chcecie? - zapytał zimnym tonem Paul Benetton.

Gareth zbliżył się do Benettonów i Duncana, opartych o stylowy regał, więc nikt chwilowo nie zwracał na mnie uwagi. To była wielka szansa na uwolnienie się, gdyż przypadkowo wymacałem scyzoryk pozostający cały czas w kieszeni pidżamy. Żołnierze T.O.E. nie zrewidowali mnie, kiedy zabrali mi pistolet maszynowy. Uznali, że poza scorpionem, wytrychem i latarką nie miałem żadnego innego rekwizytu. Posiadałem jednak scyzoryk, który zabrałem z wehikułu i włożyłem do kieszeni pidżamy. Tkwił tam cały czas. Wystarczyło go wyjąć i przeciąć krepującą nadgarstki taśmę, potrzebowalem jednak trochę czasu i szczęścia.

Delikatnie przesuując związane ręce w bok ku kieszeni pidżamy, modliłem się, aby rozmowa Garetha z Benettonem trwała jak najdłużej.

- Chcesz konkretów? - Gareth zwrócił się do Paula Benettona, mówiąc przez zaciśnięte zęby. - Twoje szyby naftowe mają przerwać wydobycie ropy. Natychmiast! Produkujecie każdego dnia kilka milionów litrów odpadów wiertniczych, które przedostają się z odwiertów zatruwając glebę, wody i podziemne rzeki. Natychmiast!

- Nie mogę - jęknął Benetton. - To nie takie proste, łajdaku! Potrzebujemy tej ropy jak tlen!

- Jak to: nie możesz? Jesteś głównym właścicielem!

- Potrzebuję zgody zarządu firmy. Mówię ci... tonie takie proste. Nie można wstrzymać wydobywania ropy na skinienie ręką. Mamy określone przepisy, które uniemożliwiają...

- W takim razie porozumiesz się z tym twoim zarządem i załatwisz to, o co cię prosimy - rzekł z naciskiem Gareth. - Inaczej podpalimy szyby. Zrozumiałeś, Benetton?

- Podpalicie? Chcecie zatruwać powietrze?

- Czego się nie robi dla dobra sprawy!

Poczułem w dłoni chłodny dotyk scyzoryka. Mając dziesięć wolnych palców, próbowałem podważyć paznokciami jedno z ostrzy. Udało się! Lecz po chwili i musiałem powtórzyć czynność - otworzyłem otwieracz do puszek.

- Nie mogę się na to zgodzić! - zaprotestował Paul Benetton.

- Spłoną twoje szyby, człowieku! - groził terrorysta. - Dobierzemy się do twojej córki, Susan.

Susan siedziała nieruchomo, dumna, a w tym czasie udało mi się wyciągnąć z obudowy scyzoryka pilnik. Próbowałem dalej.

- Tu jest twój telefon komórkowy - Gareth wyjął z kieszeni komórkę Paula. - Zadzwoń do człowieka odpowiedzialnego za eksploatację szybów naftowych i przekażesz mu polecenie o wstrzymaniu wydobywania ropy. Potem nagramy twoje krótkie oświadczenie dla telewizji. Podobno lubisz reklamę, Benetton. Będziesz w telewizji. Za darmo. Ja ci to zapewnię. Może w następnych wyborach zostaniesz gubernatorem?

Gareth porozumiewawczo skinął głową do swojego kompana. Joe natychmiast wyjął swoją komórkę i przekazał komuś szeptem jakieś polecenie.

Wreszcie udało mi się wyciągnąć duże ostrze. Jednakże przebicie plastra było niesamowicie trudnym zadaniem w tej przykurzonej pozycji. Musiałem go w kilku miejscach przedziurawić i dopiero potem próbować ciąć mniejsze fragmenty.

- Tak się składa, że mamy w hotelu znanego aktora - odezwał się Gareth. - Johnny Depp. Kto nie zna wielkiego Deppa! Czy jest ktoś na sali, kto nie obejrzał „Powrotu pirata na Karaiby”?

- Nie wiem, jak inni - odpowiedział Benetton - ale ja nie oglądałem.

- A szkoda. Johnny Depp zagrał świetną rolę. Jaki był bohaterski w tym filmie. Mam nadzieję, że nie narobi w portki, gdy ocknie się w swoim pokoju i zauważy, że jest związany? Pewnie nie. To prawdziwy mężczyzna, tak napisano o nim w poczytnym magazynie. Aktorzy są naszymi sprzymierzeńcami. I modelki. Zawsze chętnie wspierają T.O.E. w naszych działaniach. Oczywiście, propagandowo. Żaden aktor i modelka nie odmówi wszak reklamy w telewizji.

Zwrócił się do swojego kompana.

- Idź po Deppa! Przyrowadź go. Tylko uczesz, biedaka, upudruj i ubierz w jakiś porządny łach. Depp w pidżamie jest gorszy od Julii Roberts robiącej na drutach.

Podczas mowy Garetha, udało mi się przeciąć solidny kawałek plastra. Szło ciężko, ale centymetr po centymetrze ubywało go na moich nadgarstkach. Nie zważałem wcale na ból mięśni rąk i ścięgien, po prostu z uporem maniaka robiłem swoje.

Joe wyszedł i rudy terrorysta został sam, nie licząc nas. Już udało mi się uwolnić ręce. Teraz pozostawało mi uporanie się z plastrem na nogach. Nie miałem zbyt wiele czasu, bo spodziewano się tutaj niezłego przedstawienia i niebawem miało się zrobić w sali tłoczno. Pomógł mi sam Paul Benetton. Przypadkowo zerknął na mnie, a ja wtedy dałem mu głową i oczami znak, aby zagadał Garetha. Benetton był bystrym człowiekiem i w mig pojął, o co mi chodzi. Wyczuł to z napięcia wrytego na mojej twarzy, z determinacji.

- Kto wam za to płaci? - zapytał terrorystę spokojnym głosem. - Ktoś was musi opłacać... w końcu jestem politykiem, znam się na tym.

Gareth zaniemówił. Nie widziałem jednak jego twarzy, gdyż stał przed nim i widziałem wyłącznie plecy terrorysty.

- Mam rację, prawda? - mówił dalej Benetton. - No bo skąd mielibyście broń? A samochody? Komputery? Przecież nie z uczciwej pracy! Już wiem, kim jesteście! Teraz sobie przypomniałem, co to jest T.O.E. Rządzi nią tajemniczy szef, bogacz, osobnik, który boi się pokazać światu twarz. Wiem też, że ten człowiek zażyczył sobie wykorzystać własne, martwe ciało w walce o prawa zwierząt. Podobno część jego zwłok ma być upieczona na grillu jako protest przeciw jedzeniu mięsa, skóra przerobiona na ubranie w ramach protestu przeciw modzie na skórę, oczy wysłane do EPA, palce zaś trafią do właściciela cyrku. Ciekawe, na czym dorobił się fortuny ten wasz szef? Czy korzysta z kosmetyków, z osiągnięć medycyny, smrodzi swoim samochodem napędzanym na ropę, ogląda telewizję? Czy raczej to brudas, nie używający prądu i chodzący w lnianym ubraniu? Z pewnością jest on przeciwnikiem badań laboratoryjnych na zwierzętach, nowoczesnej medycyny, przemysłu i luksusu. Prawdopodobnie ten człowiek nienawidzi ludzkości. Jak to jest, szanowny panie terrorysto, że walczyacie podobno o dobro Ziemi, w tym i ludzi, a nie protestujecie przeciwko aborcji? Co za politowania godna niekonsekwencja?

Paul Benetton zaimponował mi. Powiedział dokładnie to, co ja sam sądziłem o ideologii spod znaku T.O.E., PETA czy Animal Liberation Front. A i przy okazji solidnie zdenerwował swoją szczerością Garetha. Dopiekł mu swoim wyważonym

głosem, tonem solidnie wyszlifowanym w teatrze politycznych debat. Jego mowa wkurzyła terrorystę, aż ten podszedł do niego i zamachnął się na niego.

Wykorzystałem ten moment. Jednym ruchem ostrza szczyrzyka starałem się przeciąć plaster opasujący stopy. Głośne klapnięcie dłoni Garetha policzek Benettona i jęk tego ostatniego zagłuszyły hałas, jaki wywołałem operacją uwolnienia się z więzów. Susan Benetton, jej wuj Ronald i David Duncan patrzyli na mnie szeroko otwartymi oczami. Plaster przeciąłem dopiero za drugim razem.

Kiedy stanąłem o własnych nogach, Gareth zorientował się, że za jego plecami dzieje się coś złego. Odwrócił się błyskawicznie. Był gotów do działania, lecz ja już frunąłem ku niemu. On - miał scorpiona, ja - dzierżyłem w rękę marny szczyrzyk.

Upadliśmy na dywan złączeni żelaznym uściskiem. Miałem chwilową przewagę wynikającą z kompletnego zaskoczenia. Mój skok spowodował, że Gareth stracił równowagę. Zdążył mnie jednak chwycić w ostatniej chwili za włosy. Jęknąłem. Byłem jednak na nim i bez wahania użyłem jednego z chwytów dżudo do obezwładnienia przeciwnika. Dżudo to była klasyka wschodnich sztuk walk - nie raz się o tym przekonałem. I jeśli tylko znało się jej prawidłą oraz dbało o tężyznę fizyczną, można było zadziwić samego siebie, walcząc wręcz z silnym przeciwnikiem. Dodajmy do tego szaloną determinację graniczącą z instynktowną walką o życie! Bo nie miałem żadnych wątpliwości, że terrorystów stać na wszystko.

W pewnym momencie uderzyłem Garetha otwartą dłonią w ucho. Co za prosty i skuteczny sposób na obezwładnienie każdego przeciwnika. W wyniku tego ciosu każdy osiłek tracił równowagę. Mój cios go oszołomił. Wykorzystałem ów moment słabości przeciwnika i wyrwałem z jego kurczowo zaciśniętych rąk scorpiona. Byłem górą! Wstałem błyskawicznie i wycelowałem w niego pistolet. Moja radość z odniesionego zwycięstwa nie trwała długo.

Najpierw ostrzegł mnie Paul Benetton:

- Uważaj! Z tyłu!

Nie zdążyłem nic więcej zrobić poza obrotem. Za mną pojawiły się już trzy osoby. Wszystkie uzbrojone i równie zdeterminowane jak ten bandyta leżący na dywanie. W oczach kobiety, która przewodziła bandzie terrorystów dostrzegłem jeszcze więcej szaleństwa niż miał go Gareth. A były to oczy ładnej kobiety - Ursuli Pappani. Stała kilkanaście kroków przede mną ze scorpionem wycelowanym w moją klatkę piersiową. Obok niej stali Kamerzysta i Dźwiękowiec, którzy przytaczali ze sobą oprócz broni - sprzęt do nagrywania. „Ekipa telewizyjna” stała przede mną w komplecie, gotowa do oddania strzału.

- Odłóż broń! - rozkazała Pappani - Inaczej cię zabiję!

Wykonałem jej rozkaz natychmiast. Upuściłem scorpiona na dywan, bo każdy, kto spojrzalby w jej oczy, uczyniłby na moim miejscu to samo. Nie zdążyłem nawet wypowiedzieć słowa, gdy z tyłu zaatakował mnie Gareth, przewrócił i przyduślił ramieniem do podłogi. Czułem jego złość i siłę, gdy miażdżył mi krtań.

- Zostaw go! - rozkazała Pappani.

Gareth puścił mnie. Ona tutaj rozkazywała. Czyż możliwe, że to ona była owym tajemniczym szefem T.O.E.? Z pewnością dyrygowała tym „ekologicznym” teamem, najlepszym zaś na to dowodem był fakt, że rudy terrorysta natychmiast przestał mnie

dusić. Dał mi za to solidnego kopniaka i błyskawicznie zabrał się do zaklejania mi rąk plastrem.

Teraz wszystko stawało się jasne. Jaka szkoda, że wcześniej nie byłem wystarczająco bystry. Czyż nie było podejrzane, że „ekipa telewizyjna” nie zareagowała właściwie na pojawienie się w holu Johna Deppa? Ursula Pappani sprawiała wrażenie osoby obojętnej. A nie tak zachowują się reporterzy stacji telewizyjnych. Znany aktor Johnny Depp przebywał w zamku incognito, więc sfilmowanie go z pewnością opłaciłoby się każdej stacji na świecie. Media uwielbiały pokazywać znanych gwiazdorów prywatnie - bez makijażu i pozy. Dziwne było też i to, że lokalna ekipa telewizyjna postanowiła zamieszkać na zamku. Nie powinni byli po wykonanej robocie wrócić do studia i zmontować materiał? To były detale, lecz jakże ważne w tej sprawie, szczegóły, które wcześniej uleciały mojej uwadze.

Pappani zaprzeczyła, jakoby to nie ona jeździła białym dodge'm. Ale to ją widziałem w Greenwich Village dzień wcześniej i to ona musiała jechać za nami do Tarrytown. W obliczu zaistniałej sytuacji byłem przekonany, że biały dodge należał do reporterki. W holu zaprzeczyła temu, lecz pewnie zrobiła tak zapobiegawczo. Żadna z niej reporterka! Odgrywała wraz z dwoma kumplami rolę prawdziwej ekipy telewizyjnej, uzyskawszy podstępnie zgodę na sfilmowanie fragmentu uroczystego spotkania w bibliotece.

A zatem cała operacja była przemyślana w najdrobniejszych szczegółach i realizowana z zegarmistrzowską precyzją. Byliśmy śledzeni już dużo wcześniej, rozpracowano nas. Czy tylko mnie i kolegę Pietrasia spotkał ten zaszczyt? Z pewnością pozostali członkowie T.O.E. inwigilowali także Benettonów. My byliśmy tutaj zwykłymi „płatkami”, lecz z pewnością i nam chciano się przyjrzeć. W końcu byłem „detektywem od obrazów”.

Gareth rzucił mnie związanego na środek pomieszczenia. Na wszelki wypadek zakleił mi usta dodatkowym plastrem. Tą samą czynność powtórzył z Paulem Benettonem. Tak więc wszyscy byliśmy unieszkodliwieni: Benettonowie, Duncan, Pietraś i ja.

Nagle zadzwoniła komórka reporterki Pappani.

- Co jest? - rzuciła krótko.

Chwilę słuchała rozmówcy. Widziałem zmianę na jej twarzy - marszczące się gniewnie czoło i błysk wściekłości w zielonych oczach. Równie złowieszczo błyszczał srebrny pierścionek na jej palcu.

- Jak to nie wiesz, gdzie jest?! - podniosła głos. - Jakim cudem zniknął? Masz go znaleźć! Rozumiesz? Szukaj go. Natychmiast!

Rozłączyła się i spojrzała wściekle na Garetha.

- Depp zniknął - rzuciła szorstko, z pretensją. - Uciekł ze swoją cizią.

- Jak to: zniknął? Jakim cudem...? Jak? Sam go wiązałem!

- Widać źle to zrobiłeś! Jazda - krzyknęła na swoich towarzyszy broni. - Idźcie mu pomóc! Johnny Depp ma się znaleźć za pięć minut!

Gareth z dwoma zbirami wybiegli z pomieszczenia, zaś Pappani podeszła do każdego z osobna i sprawdziła plastry opasujące nasze członki. Z bliska wydała mi się ohydna. Nie, nie w tym sensie, że była brzydka. Po prostu kobiecie nie przystoi mina

ponurej wojowniczką, duszę której zamieszkuje chłód kata. Przywódczyni grupy terrorystów - już nie miałem wątpliwości, że to ona jest tutaj liderem - była złą kobietą.

Zadowolona z inspekcji wyszła z pomieszczenia, zamknąwszy dwuskrzydłowe drzwi na klucz. Byliśmy zamknięci, pozbawieni możliwości rozmowy, porozumiewać się mogliśmy jedynie oczami, lecz był to kontakt w naszej sytuacji zbędny. Smutny był to widok unieruchomionych plastrem ludzi, wystraszonych i rozneglizowanych. Pewnie niejeden z nas żałował wtedy, że nie jest królikiem doświadczalnym albo kurczakiem z fermi. Wtedy mielibyśmy fory u terrorystów z T.O.E.

Mnie nurtowała jedna sprawa, a mianowicie - jakim cudem zniknął Johnny Depp? Nie pojmowałem, jak mógłby tego dokonać. Z rozmowy terrorystów wynikało, że został on wraz ze swoją dziewczyną związany, tak jak pozostali goście. Jednakże w pokoju go nie było, co napawało mnie otuchą. Istniała nadzieja, że gwiazdorowi uda się dojść do podnóża góry i zawiadomić policję w mieście. Wiedziałem też, że pokonanie w nocy zbocza nie było zadaniem łatwym, nawet w porządnym obuwiu. Bo zakładałem, że Johnny Depp i jego przyjaciółka założyli buty, zanim czmychnęli z zamku.

Niespodziewanie ciszę panującą w pokoju zmaćcił dźwięk dochodzący z zewnątrz, zza murów twierdzy. Spojrzenia wszystkich powędrowały w kierunku podłużnego okna wychodzącego na rzekę Hudson. Ktoś stał za tym oknem i coś przy nim majstrował.

Dopiero teraz stwierdziłem, że granatowe zasłony nie zakrywały całego okna, że pozostawiono między ich dwiema połówkami szparę szerokości trzydziestu centymetrów. Dzięki niej mogłem dostrzec czającą się na zewnątrz postać. Widziałem bladą twarz z rozpląszczonym na szkle nosem i wielkimi oczami. Widok wydał mi się bardziej złowieszczy niż zabawny. I chyba ci z nas - których wzrok powędrował w stronę okna - mieli podobne odczucia. Po chwili niemal wszyscy wstrzymaliśmy oddechy, wpatrując się w człowieka za oknem.

Potem brzdęk szkła podziałął na nas niczym amoniak podsunięty pod nos słabeuszowi. Drgnęliśmy. Powiększyły się nam źrenice i wpatrywaliśmy się w okno z niepokojem. Posypały się kawałki szkła na parapet i dywan, a następnie ręka tajemniczego osobnika wykruszyła z okiennic resztę szkła. Poczułem powiew nocy, a z nim przyłył nadziei. Nerwowo zerknąłem na drzwi, lecz cały czas były zamknięte.

Ujraliśmy go ubranego w dżinsy i koszulkę, w mokasynach na nogach, gdy wchodził do pokoju przez otwarte okno. Johnny Depp! Sławny aktor we własnej osobie. Nie poszedł do miasta, gdyż ucieczka zalesionym zboczem w środku nocy była wyzwaniem beznadziejnym. Zaczaił się w pobliżu zamku i prawdopodobnie przez szparę w zasłonach obserwował wszystko, co działo się w tym salonie.

Zeskoczył na dywan i syknął z bólu. Natychmiast przyłożył dłoń do ust i chwilę wysysał krew z rany. Obiecałem sobie w duchu, że jeśli uda nam się stąd zwać, po powrocie do Warszawy pójdę obejrzeć wszystkie filmy z tym aktorem. Obok opowieści o tym jak z Banderasem sprzeciwił się groźnemu gangowi motorowemu, będę mógł dorzucić kolejną opowieść, tym razem o Johnnie Deppie, który uratował nas w starym zamczysku.

Mnie pierwszego uwolnił. Potem zaczęliśmy wyswabzać pozostałych zakładników. Czas naglił - w każdej chwili mogli się zjawić uzbrojeni członkowie T.O.E. - więc rzuciliśmy się ochotczo z pomocą innym.

- Mamy trochę czasu - mówił - bo szukają mnie w zamku i na zboczu. Kim oni są? Postawili jakieś żądania?

Odpowiedziałem mu w dwóch zdaniach, co tu się wyrabia, kim są terroryści i czego żądają. Wspomniałem, że chcieli wykorzystać jego osobę do celów propagandowych. Z kolei ja byłem ciekawy, jakim cudem Depp i jego dziewczyna zdołali opuścić pokój hotelowy.

- Dzięki scenariuszowi - odpowiedział lakonicznie.

- Słucham?

- W moim przedostatnim filmie „Żalostny koniec dyktatora” była scena, w której uwolniłem się z pułapki dzięki zmyślnemu trikowi.

Zdaje się, że chyba w ogóle nie oglądałem tego filmu. Ale oto już stał z nami Paul Benetton i Susan. Na koniec uwolniliśmy RONALDA i DUNCANA. Straciliśmy dwie minuty, lecz wszyscy byliśmy na nogach. Przed nami pozostało najważniejsze zadanie - uciec z zamku. Na wstępie zaznaczyłem, że wszystkie auta na parkingu są uszkodzone.

- Ucieczka samochodem nie wchodzi w rachubę.

- To jak stąd uciekniemy? - zmartwił się Paul Benetton. - Oknem?

- Nie mamy wyjścia - wtrąciłem. - A właściwie mamy. Okno jest naszym wyjściem.

- Czy ktoś z państwa umie latać helikopterem? - zainteresował się Duncan. - Terroryści wspominali coś o helikopterze. Wszyscy słyszeliśmy jego warkot.

- Helikopterem? - zdziwił się Ronald. - Chcesz pan uciekać helikopterem?

- A co, zły pomysł?

- Ronald ma lęk wysokości - wyjaśnił szybko Paul.

- Nie ma szans dotrzeć do helikoptera - powątpiewała Susan. - Na pewno pilnują go jak oka w głowie.

- Proszę o spokój - podniósł rękę Depp. - Nie mamy czasu na salonowe pogaduszki. Helikopterem nie polecimy, masz rację.

- Susan - wyszeptła. - Mów mi Susan.

- John - posłał jej promienny uśmiech.

Brakowało tylko dobrego fotoreportera.

- Czemu mielibyśmy nie polecieć? - dziwił się Duncan.

- Bo zamek jest monitorowany - odpowiedział przytomnie aktor. - Nie zauważyliście kamer na dziedzińcu i wokół zamku?

Wszyscy z podziwem spojrzeliśmy na gwiazdora. Miał rację. Byłem pełen podziwu dla jego odwagi i spostrzegawczości. Ja nie zwróciłem uwagi na kamery. Jednakże aktor dostrzegł ten jakże ważny szczegół, mogący uratować nam wszystkim życie. Ja ponoć byłem detektywem, a jednak okazałem się gorszy od aktora, który tylko grywał detektywów.

- No to co robimy? - dopytywał się Paul Benetton. - Terroryści żądają strasznych rzeczy, chcą mnie zrujnować...

- Co tam my - zakpił Ronald. - W pokojach trzymają związanych jak świniaki pozostałych gości. Musimy im pomóc.

Plan Deppa był prosty. Zaproponował mianowicie rozdzielenie się na dwie grupy.

- Jedni zjedzą zboczem do miasta - tłumaczył szeptem Johnny Depp. - Drugi zespół zostanie tutaj.

- Po co, na Boga?!

- Zwiększymy w ten sposób swoje szanse. Gdy się rozdzielimy, utrudnimy pościg. Jeśli wpadnie pierwsza grupa, pozostanie druga. Pamiętają państwo western, w którym grałem koniokrada? Uciekaliśmy przed bandą Billy'ego, rozdzielając się właśnie na małe grupki! Wracając do nas, zespół działający w zamku mógłby dostać się do centrum monitoringu. Jeśli udałoby się zniszczyć monitory, ucieczka helikopterem stałaby się możliwa. Tylko gdzie szukać tego studia?

- Monitory są w podziemiach - wyjaśniłem. - Byłem tam.

- Czy ktoś umie w ogóle pilotować? - stęknął Duncan.

- Ja - uniósł rękę Depp. - Nauczyłem się podczas pracy w filmie...

- Wiem - ożywiła się Susan. - Chodzi o „Helikopter w morzu”?!
- Jasne! - uśmiechnął się aktor.

- Proszę państwa - westchnął ciężko Ronald Benetton. - Uważam, że najprościej będzie zadzwonić na policję! Terrorysty zabrali nam wprawdzie komórki, ale w holu jest stacjonarny aparat.

- A zatem, kto zostaje w zamku? - zapytałem, oglądając się nerwowo na drzwi. - Kto zaś idzie do miasta?

Pierwsza zgłosiła się Susan.

- Ja mogę przewozić grupie idącej do Tarrytown. Mam świetny wzrok. Uczestniczyłam w kilku obozach survivalowych, wspinam się po skałkach i dobrze pływam.

- Chwileczkę! - zwróciłem się do aktora. - A gdzie jest pańska dziewczyna?

- Czeka na zewnątrz w bezpiecznym miejscu - odparł. - Trzeba będzie ją zabrać.

- To idziemy z panem - zaproponował Duncan.

Tak się złożyło, że wszyscy chcieli iść z aktorem. Lecz Johnny Depp miał inne plany.

- Wszyscy iść nie mogą - rzekł. - Ktoś musi zostać. Myślę, że bardziej przydatny będę tutaj, na zamku. Kto zostaje ze mną?

Nie było wielu chętnych.

- Ja - podniosłem rękę.

- Ale ostrzegam, może być niebezpiecznie.

- Wiem - uśmiechnąłem się blade.

Aktor zaczął grać mi trochę na nerwach tym swoim protekcyjnym tonem.

- Ten pan - Paul wskazał na mnie - bił się z nimi. O mały włos uwolniłby nas.

- To jest nas dwóch - aktor podał mi rękę.

- Trzech - wyciągnął swoją Ronald Benetton. Miał silny uścisk, co dobrze wróżyło naszej misji. - Mój braciszek niech biegnie do miasta z Susan i Davidem. Po drodze zabiorą pańską dziewczynę, Depp, a my tu w trójkę rozprawimy się z tą bandą ekologów. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!

- Ostrzegam, będzie to trudne - dodał aktor.

Część zakładników zaczęła opuszczać zamek przez okno - Susan, Duncan i na końcu Paul Benetton. Jeszcze tylko aktor zdradził im miejsce, w którym ukrywała się jego dziewczyna.

- Powodzenia!

Rozstaliśmy się. Na zamku została nasza trójka - ja, Ronald Benetton i Johnny Depp. Niesamowite! Czy lecąc do Nowego Jorku, mogłem przypuszczać, że spotkam tu sławnego aktora i razem będziemy walczyć z grupą terrorystyczną? Inna sprawa, że wolałbym go poznać w miłszych okolicznościach.

Podeszliśmy do zamkniętych na klucz drzwi.

- Nie umiem otwierać zamków - zaczął Depp.

- Nie nauczył się pan na planie filmowym? - zapytałem.

- Nie było okazji.

- Nie szkodzi - uśmiechnąłem się. - Na szczęście, ja potrafię.

Bez słowa zdjąłem z nosa Ronalda Benettona okulary.

- Pan pozwoli?

Nie zaprotestował, choć nie ukrywał zaskoczenia. Wyciągnąłem z okularów długie drucziane ramię - idealny wytrych. I otworzyłem nim drzwi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

**KLÓTNIA TERRORYSTÓW, CZYLI AKTORZY KOCHAJĄ ZWIERZĘTA *
ODCIĘTE TELEFONY * JOHNNY DEPP W HELIKOPTERZE * „SKĄD JA TERAZ
WEZMĘ ŻYROSKOP?” * Z POWROTEM DO PODZIEMI * PO CO T.O.E.
HELIKOPTER? * TRIK W CENTRUM MONITORINGU * SMUTNY POWRÓT
UCIEKINIERÓW * WROGOWIE PAULA BENETTONA * A JEDNAK MNIE PAN
PODEJRZEWA, CZYLI RONALD WYJAŚNIA * O CO TOCZY SIĘ GRA? * UCIEKAM
* I ZNOWU TERRORYŚCI**

Terroryci musieli przebywać albo poza zamkiem, albo w jego podziemiach, gdyż w korytarzu zalegała idealna cisza. Można było pomyśleć, że mamy spokojną noc, a wszyscy goście śpią smacznie w swoich przytulnych apartamentach. Lecz przecież wiedzieliśmy, że podczas snu zostali podstępnie uśpieni, związani i pozbawieni telefonów, że sterroryzowano cały personel. Pod groźbą użycia pistoletów maszynowych, chciano też zmusić Paula Benettona do zamknięcia szybów naftowych w El Paso. A wszystko w imię tak zwanej ochrony praw przyrody czy innej współczesnej „ideologii”.

Skradaliśmy się w kierunku głównego holu w zachodniej części twierdzy. Nagle usłyszeliśmy kroki dochodzące z holu. Kroki stawały się coraz bardziej słyszalne, tak jakby terroryści wyszli z podziemi i rozpoczęli inwazję. Nie namyślając się dłużej, wbiegliśmy do małego przedsionka - rodzaju klatki schodowej. Schowaliśmy się za wnęką oddzielającą nas od korytarza.

Byli w holu, szli szybko i głośno rozmawiali. Ich głosy niosły się bełkotliwym echem po parterze. Rozmawiała Ursula Pappani z Garethem. Nie byli zadowoleni.

- Wiesz, co się stanie, jeśli któryś z zakładników ucieknie? - nawijała kobieta. - Będziemy mieć na karku FBI. Ciebie obwinę, Gareth! Ty wszystko schrzaniłeś! Jeszcze dzisiaj zawiadomię telefonicznie szefa i o wszystkim mu powiem. Znajdź tego przekłętego Deppa! Rozumiesz powagę sytuacji? Depp jest gwarantem twojego spokoju! Masz go znaleźć!

- A tak bardzo lubisz aktorów i modelki - śmiał się nieodpowiedzialnie rudzielec. - I masz ci los! Hollywoodzki macho zwał. Nie cierpię aktorów i tego twojego bratania się z tymi darmozjadami.

- Johnny Depp nie wiedział, o co walczymy - broniła swojego zdania. - Nie zdążyliśmy mu powiedzieć. Gdyby tylko wiedział, z pewnością poparłby naszą walkę o prawa zwierząt. Aktorzy kochają przyrodę! Depp dałby T.O.E. swoje „błogosławieństwo”!

Aktor natychmiast zareagował na słowa terrorystki.

- Nie dałbym - szepnął mi do ucha. - Terroryści, to terroryści. W końcu dzięki szybom naftowym mogę jeździć samochodami. A i hamburgery zdarza mi się jadać.

Ursula z Garethem przeszli korytarzem. Minęli łukowate wejście na schody, za którym się schowaliśmy i poszli dalej do sali z zakładnikami.

- Uspokój się - pocieszał ją Gareth. - Depp ucieka zachodnim zboczem. Chyba nie jest na tyle głupi, żeby ukrywać się w zamku. Na pewno zwiewa, ile sił w nogach. Zaraz wystartuje helikopter. Wypatrzmy aktora i jego ładną cizję.

- Uważaj, żeby helikopter nie zwrócił uwagi policji w mieście.

Dzieliło ich kilkanaście kroków od pokoju, z którego uciekliśmy. „Za chwilę rozegra się na zamku prawdziwe piekło” - pomyślałem. Terrorysty weszli do sali. Teraz! Opuściliśmy wnękę i korytarzem dostaliśmy na hol. Tam Depp dał ręką znak, żebyśmy obstawili punkty obserwacyjne przy przeciwległych drzwiach. Sięgnął po telefon na ladzie i przystawił słuchawkę do ucha.

- Głuchy - jęknął zawiedziony. - Odciepli linię.

W tym czasie w pokoju zakładników podniosła się wrzawa. Nasze zniknięcie stało się dla terrorystów faktem. Słyszeliśmy dzikie krzyki Ursuli Pappani i przekleństwa Garetha. Stałem wtedy przy drzwiach wychodzących na dziedziniec, mając oko na wejście do zachodniego skrzydła i na dziedziniec, na którym - niczym wielki ptak - przysiadł helikopter. W maszynie nie było pilota, gdyż prawdopodobnie znajdował się on w centrum monitoringu. Nie miałem pojęcia, gdzie są pozostali terrorysty, jednak rysowała się pewna szansa na szybką ucieczkę. Depp popatrzył za moim wzrokiem na opuszczony helikopter, ale ku nam biegli już rozwścieczeni Ursula Pappani i Gareth.

Depp znowu podjął za nas decyzję.

- Panowie! - rzucił. - Wsiadam do helikoptera.

- Nie zdążymy odlecieć. Oni już tu biegną!

- Ja biegnę do helikoptera - wrzeszczał - a wy zostajecie tutaj!

Nic więcej nie powiedział, ale rozumiałem, o co mu chodziło. Był sprytny. Gdyby złapano naszą trójkę w trakcie próby uruchamiania helikoptera, nasz plan by się zawalił! Rozdzielając się znowu na dwie grupy, zwiększaliśmy swoje szansę. Istniała bowiem nadzieja, że Deppowi uda się odlecieć, a w najgorszym wypadku odciągnie on terrorystów od Ronalda i ode mnie. Dzięki temu zwiększała się także szansa ucieczki pierwszego zespołu dowodzonego przez Susan. Terrorystom trudno będzie kontrolować sytuację w kilku miejscach jednocześnie. W końcu któreś z naszych grup zakładników uda się uciec z tego miejsca.

Depp nie namyślał się dłużej. Nawet nie obejrzał się za siebie. Zignorował wszelkie niebezpieczeństwo i zdrowy rozsądek. Otworzył drzwi i pobiegł na środek dziedzińca do helikoptera.

Terrorysty zbliżali się nieubłaganie do holu, więc bez namysłu pociągnąłem Ronalda w kierunku kontuaru. Schowaliśmy się za stanowiskiem recepcjonisty i czekaliśmy. Tylko tyle mogliśmy teraz zrobić. Wreszcie pojawiła się w holu para wściekłych terrorystów. Szczeknęła odbezpieczana broń i rozumiałem, że oto skończyły się żarty. Co zrobią nasi prześladowcy? Zastrzelą Deppa czy przedziurawią kulami maszynę? Jeśli potrzebują helikoptera do ewakuacji, nie będą strzelać.

- Nie uda mu się - wyszeptał wystraszony Ronald.

Na zewnątrz rozległ się strzał. Odważyłem się wychylić z naszej dziupli. Moim oczom ukazał się widok strzelającego w górę Garetha. Oddał strzał ostrzegawczy, na postrach. Depp siedział już w kabinie za sterami i manipulował przy pulpicie, nic sobie nie robiąc z obecności na dziedzińcu terrorystów. Był odważny jak mało kto. Pappani zwróciła Garethowi uwagę, że strzały mogą obudzić miasto w dole i pierwsza rzuciła się w stronę maszyny. Nie odważyła się strzelać także z innego powodu - przypadkowe trafienie w zbiornik paliwa zniszczyłoby nie tylko helikopter, ale i ich samych.

W tej chwili martwiłem się wyłącznie o Johna Deppa. Nawet Ronald Benetton dołączył do mnie i razem obserwowaliśmy zza lady wydarzenia rozgrywane się na

dziedzińcu. Aktor siedział za sterem maszyny i w dalszym ciągu dłubał coś przy pulpicie. Helikopter stał na środku placu z nieruchomymi łopatami wirników. Cisza. Żadnego dźwięku. I oto Ursula Pappani z Garethem zbliżyli się już do helikoptera z wycelowanymi w aktora pistoletami.

- Co on robi? - dziwił się Ronald. - Czemu nie odleciał?

Po chwil i Gareth wyprowadził Deppa z kabiny pod groźbą naciśnięcia spustu. Johnny Depp przerwał czynności, które wykonywał w kabinie, zeskoczył z podnóża na betonową nawierzchnię i rzucił pod nogi przedmiot wielkości budzika. Jednym ruchem obcasa roztrzaskał ów rekwizyt o beton. Zachrząściło. Nawet my - schowani za kontuarem i odgradzeni od dziedzińca szklanymi drzwiami - usłyszeliśmy ten dźwięk.

Nie minęło kilkanaście sekund, gdy naszą czujność wzmogły kroki z prawej strony, poprzedzone hałasem otwieranych gdzieś drzwi. Potem hol wypełnił głośny tupot kroków i niekontrolowane sapanie jakiegoś osobnika. Skryliśmy się z powrotem za kontuar i wyczekiwaliśmy. Wnet otwały się drzwi wejściowe, a wtedy znowu odważyliśmy się wyjrzeć zza lady.

- To pilot - poinformowałem mojego kompana.

Człowiek ubrany w skórzaną kurtkę machał rękami i głośno przeklinał. Musiał obserwować na monitorze całe zajście na dziedzińcu, kiedy zorientował się, co nabroił Depp, wybiegł jak oszalały ze swojej nory.

- Cholera! - wrzeszczał pilot na całe gardło. - Ten gamoń zniszczył mechanizm żyroskopowy! Jak teraz będę leciał? Jak?!

Johnny Depp stał obok maszyny nieruchomo, z opuszczonymi kończynami, i próbował uśmiechać się do terrorystów. Na atak wściekłości pilota zareagował bezradnym rozłożeniem rąk na boki.

- To nie żaden gamoń! - zaryczał Gareth - To Johnny Depp! Ulubieniec naszej Ursuli!

- Guzik mnie obchodzi Johnny Depp i jego Hollywood! - darł się pilot. - Interesuje mnie helikopter! Skąd ja teraz wezmę żyroskop?!

Gareth dopadł bezczelnie uśmiechającego się aktora i potraktował go brutalnie, dając upust swojemu uprzedzeniu do niego. W zaistniałej sytuacji nawet sympatia Ursuli do aktorów momentalnie zwiędła i ustąpiła przed obawą o zawalenie się misternie przygotowanego planu. Gwiazdor nie odezwał się słowem, gdy rudzielec wykręcał mu rękę do tyłu. Sprowadził go do parteru jednym ciosem kolana w plecy i Depp leżał już twarzą na betonie. Gareth celował w jego głowę ze scorpionia.

Pilot nie zwracał uwagi na te „pieszczoty”. Ominął ich biegiem i zaszokowany wdrapał się do kabiny.

Dłużej nie czekałem. Chwyciłem Ronalda Benettona za rękaw pidżamy i pociągnąłem w prawo ku łukowatemu przejściu prowadzącemu do wschodniego skrzydła, za którym znajdowała się wnęka z drzwiami, szczególnie mnie interesującymi.

- Szybciej - rozkazałem. - Do podziemi.

Zajęci awarią helikoptera terroryści nie zwracali uwagi na to, co dzieje się w holu, także wstrząśnięty wyczynem Deppa pilot zostawił otwarte drzwi do podziemi. Uciekając tam, zastanawiałem się, po co terrorystom z T.O.E. potrzebny był tak duży helikopter? Czyż nie prościej było wyłądować, a następnie uciec kilkuosobowym

śmigłowcem? Jetranger, który stał na dziedzińcu mógł pomieścić około dziesięciu osób, miał też solidny przedział bagażowy. Właśnie! Czyż sprawa bagażu nie mogła odgrywać ważnej roli w ich operacji?! Na dobrą sprawę terroryści mogliby uciec z zamku samochodami. Helikopter był im potrzebny do czegoś innego. No jasne - dzieła sztuki! Terrorystów było sześciu łącznie z pilotem. Nawet gdyby chcieli porwać całą rodzinę Benettonów, to miejsca starczyłoby pewnie jeszcze dla dwóch, trzech osób, w tym na spory bagaż - na przykład skrzynię z obrazami!

Za schodami prowadzącymi na piętro wschodniego skrzydła zamku, napotkaliśmy pierwsze drzwi, a następnie ruszyliśmy w dół kamiennymi schodkami do centrum monitoringu. Czas nie był naszym sprzymierzeńcem, dodatkowo zaczęła mnie gnębić sprawa hipotetycznego bagażu terrorystów. Pokonując krótkie, choć strome schody, zadawałem sobie kilka razy pytanie - co terroryści zrobią z dziełami sztuki przechowywanymi w bibliotece? Ani razu nie padła z ich ust uwaga dotycząca kolekcji Teda Benettona. Dziesięć milionów dolarów! Co za sumka! Ci miłujący zwierzęta potwory z pistoletami maszynowymi z pewnością nie pogardziliby van Goghiem, a przecież były i inne cenne obrazy. Nie trzeba było znawcy sztuki, żeby połakomić się na takie rarytasy. Nawet gdyby T.O.E. sprzedała je za pół ceny, terroryści uzyskaliby fundusze na finansowanie wszelkiego rodzaju sabotażu gospodarczego.

I oto znaleźliśmy się w centrum monitoringu. Nasza obecność w podziemiu nie mogła przedłużać się w nieskończoność. Decyzje należało podejmować natychmiast i mieć konkretne zamiary. A my nie mieliśmy żadnego pomysłu - działaliśmy instynktownie. Depp wpadł w ręce T.O.E. i tylko my dwaj pozostaliśmy na placu gry, w zamku. Od nas teraz zależało powodzenie ucieczki. Pozostawała jeszcze grupa dowodzona przez Susan, lecz miałem wątpliwości, czy udało się im pokonać przynajmniej połowę wysokości góry zamkowej? Poza tym pozostali terroryści pewnie poszli za wskazówkami pilota i gonili uciekinierów po zboczu.

W centrum od razu zerknąłem na ekrany monitorów, zostawiając Ronalda Benettona na schodkach za drzwiami w charakterze straży. Szybko ustaliłem, że terroryści monitorują parking, część alejki przyległej do basenu, rozwidlenie alejek wjazdowych ozdobione kamiennym klombem oraz dziedziniec. Widziałem pilota krzążącego się w kabinie helikoptera i Garetha z Ursulą popędzających Johna Deppa do zamku. Pozostałe kamery rejestrowały „nieruchome” obrazy z innych punktów obserwacyjnych, zdawałoby się martwych, bo nic szczególnego na zewnątrz się nie działo. Na dziedzińcu zaś wręcz odwrotnie - wepchnięto Deppa brutalnie do zamku, pilot został w kabinie helikoptera i majstrował coś przy pulpicie.

Wtedy wpadł mi do głowy pewien pomysł. Warto było zaryzykować, tym bardziej że czas przestawał być naszym sprzymierzeńcem. Lada chwila mogliśmy mieć na karku uzbrojonych bandytów. Wprawdzie liczyłem na to, że Depp wymyśli jakąś bajeczkę, która zmyli naszych prześladowców, ale równie dobrze mogli go oni poddać torturom i w ten sposób zmusić do wyjawienia naszych planów. Zbyt wiele ryzykowali, żeby bawić się w dobre traktowanie zakładników. Ludzie nie zasługiwali w ich pojęciu na humanitarne traktowanie. Oni kochali ślimaki i konie, dla nich zarezerwowali cały humanitarny potencjał ludzkości. A przecież takie pojęcia jak „humanitarny” albo „humanizm” wywodziły się z łacińskiego „humanista”, co w końcu oznacza „człowieczeństwo”, „ludzkość”.

Podłubałem przy jednym monitorze i zadowolony dałem Ronaldowi Benettonowi znak do opuszczenia stanowiska przy drzwiach. Opuściliśmy studio, udając się do niżej położonego poziomu z agregatami. Musiałem - kolejny już dzisiaj raz - otworzyć drzwi wytrychem zrobionym z ramienia okularów Benettona. Stanowiliśmy więc niezłą parę - on dysponował sprzętem, ja - umiejętnościami.

Po dwóch minutach znaleźliśmy się w ciemnym korytarzu ciągnącym się aż do przybudówki opodal basenu i parkingu. Zapaliłem włącznik na ceglanej ścianie i tunel rozbłysnął białym, jaskrawym światłem bijącym z jarzeniówek rozmieszczonych na suficie.

Ruszyliśmy szybko wąskim przejściem.

- Jak pan zamierza uciec? - zainteresował się Ronald Benetton, który szedł za mną. - Zobaczą nas na ekranie monitora. W końcu te przekłete kamery wszystko monitorują. Nie boi się pan, że ruszą za nami, jak tylko nas zobaczą?

- Nie powinni - odpowiedziałem. - Pomanipulowałem przy jednym z monitorów ukazujących parking tam, dokąd zmierzamy. Zatrzymałem kadr. Jeśli któryś z nich zerknie na ekran monitora, nie zauważy nas. Rozumie pan? Obraz zatrzymał się na ujęciu sprzed dwóch minut, kiedy nikogo tam nie było. Jest noc, nie ma ruchu, nawet wiatr nie porusza liśćmi, więc nie zauważą „nieruchomego” kadru.

Nie skomentował tego.

Wreszcie tunel się skończył. Kolejny raz użyłem wytrycha do otwarcia drzwi i po chwili znaleźliśmy się w przybudówce z agregatem, przezornie gasząc światło w tunelu. Dyskretnie wyjrzelśmy na zewnątrz i ku swojemu zadowoleniu stwierdziliśmy, że wokoło jest pusto. Nikogo. Noc zawisła nad okolicą - cicha, trochę chłodna i ciemna. Jedynie światło lamp oświetlało przyległy do twierdzy teren, księżyc zaś niemrawo rozpraszał ciemną okolicę rozpościerającą się w dole pod nami. Teraz wszystko zależało od szczęścia. Jeśli podstęp z nieruchomym monitorem powiedzie się lub po prostu żaden z terrorystów nie będzie akurat patrzył na ekrany monitorów - mieliśmy szansę stąd zwać.

- Dokąd właściwie idziemy? - zapytał szeptem Benetton. - Ma pan jakiś plan czy improwizujemy?

- Nie wiem - odparłem zgodnie z prawdą. - Albo damy nura w te krzaki porastające zbocze i spróbujemy jakoś dotrzeć do miasta albo...

- Albo co?

Zamilkłem, nie udzielwszy odpowiedzi. Oto bowiem do mych uszu doleciał jakiś dziwny dźwięk, ni to szelest, ni to pęknięcie gałązki, a może jedno i drugie. Znieruchomiałem i nakazałem Ronaldowi Benettonowi milczenie. Obserwowaliśmy noc przez szparę w nieodkrytych drzwiach przybudówki. Po kilkunastu sekundach nabrałem przekonania, że przesłyszałem się.

- Jestem przewrażliwiony - szepnąłem.

Tym razem starszy Benetton nasłuchiwał uważnie i po chwili trącił mnie w bok.

- Nie jest pan przewrażliwiony - rzucił krótko. - Słyszę kroki.

Wstrzymaliśmy oddechy i wsłuchując się w odgłosy na zewnątrz, staraliśmy się wyłowić podejrzane dźwięki. Usłyszałem je. Nie tylko kroki, lecz czyjeś chrząknięcie. W naszym kierunku zbliżali się ludzie. Nie pojedynczy osobnik, a co najmniej dwóch. Kiedy do naszych uszu doleciał głos niewiasty, zrozumieliśmy, co się stało.

Kroki były coraz głośniejsze, szeleściły krzaki, pękały suche gałązki i co jakiś czas męski głos rzucał krótkie komendy. Przez te wszystkie dźwięki przebijał jakiś cieniutki głosik - kobieta. Amerykanka. I nie była to Susan.

Wreszcie ich ujrzeliśmy. Najpierw wyłoniła się ponad krawędzią zbocza głowa Kamerzysty, potem na szczyt góry weszli następni: Paul Benetton, Susan, kolega Pietraś i dziewczyna Johna Deppa. Szli krokiem skazańców. Byli przegrani, choć nie widziałem ich twarzy. Niewykluczone, że byli zziębnięci, męska część zakładników była bowiem odziana w pidżamy (tylko znajoma aktora oraz Susan miały na sobie ubrania). Cały pochód zamykał Dźwiękowiec z gotowym do strzału scorpionem.

Na widok tego korowodu coś we mnie pękło. Uleciała nadzieja. Oto bowiem kolejni zakładnicy, niedoszli uciekinierzy i potencjalni wybawcy nas wszystkich, zostali schwytani. Nie zapominajmy, że w zamku znajdowało się w sumie kilkadziesiąt bezprawnie zatrzymanych osób, hotel bowiem dysponował trzydziestoma pokojami, do tego musimy dodać personel i kilku dzentelmenów z agencji ochrony wynajętej przez Paula Benettona. A zatem na placu boju zostało nas już tylko dwóch - ja i Ronald Benetton.

Zrobiło mi się smutno. W nie lepszym nastroju ode mnie był Ronald. Nie odzywaliśmy się do siebie i żaden z nas nie dał po sobie poznać, że widok schwytanych uciekinierów podziałał na niego zniechęcająco.

Ponury korowód szedł dalej alejką. Oddalał się w stronę parkingu i któryś z terrorystów rozmawiał już przez telefon komórkowy. „Odprowadzą ich na zamek i zaraz wrócą po nas” - pomyślałem.

- I co robimy? - zapytał zaniepokojony Ronald. - Moim zdaniem, musimy spróbować ucieczki do miasta. Musimy pokonać to przeklęte zbocze.

- Na to wychodzi. Nie mamy jak tam dojechać. Samochody są uszkodzone. Jedyne czym dysponujemy, to własne nogi.

- Nie mamy nawet butów - wtrącił smutno Benetton.

- Niestety. Mamy za to szansę. Tylko my jesteśmy wolni.

- To na co czekamy? Do boju.

Ruszyliśmy.

- Po co tyle hałasu o zatruciu środowiska? - myślałem na głos, idąc. - Do tej pory T.O.E. działała z zaskoczenia, napadając na laboratoria, zakłady pracy, ферmy i restauracje. Skąd zatem pomysły z zakładnikami?

- Dziwne.

- Odnoszę wrażenie, jakby chciał ktoś zaszkodzić Paulowi Benettonowi w jego interesach.

- O, to ciekawe - mruknął starszy mężczyzna.

- Wie pan coś o wrogach Paula Benettona? - popatrzyłem w ciemności na jego brata.

- Konkurencja? Mafia? Nieżyczliwa kochanka?

- Każdy ma wrogów - przytaknął niechętnie. - Wie pan, na dobrą sprawę, to mnie może pan podejrzewać.

- Zgadza się. Mógłbym tak pomyśleć.

- Dziękuję za szczerść - odpowiedział niewzruszony. - Ja i Paul jesteśmy, jakby tu powiedzieć, skłócenii. Brat odziedziczył pola naftowe i większość akcji elektrowni atomowej. Mam udziały, to fakt, ale zaledwie kilka procent, które sam wykupiłem pięć

lat temu. Nie mam żadnego wpływu na politykę Paula w sprawie szybów i elektrowni. Jeśli jednak mój brat splajtuje, ja również stracę tych kilka procent.

- Nie myślał pan nigdy o odzyskaniu części majątku ojca? - zaryzykowałem trudne pytanie.

Ronald Benetton zaniemówił. Odebrało mu mowę, zdenerwował się.

- Wypraszam sobie - wykrztusił to z siebie. - To insynuacje...! Do czego pan właściwie zmierza? Chce mi pan wmówić, że to ja wynająłem tych zbirów?! Nie myśli pan chyba, że pragnę przejąć interes ojca?

- Przepraszam.

- Posłuchaj pan! Gdybym chciał zarządzać polami naftowymi i elektrownią, miałbym to wszystko legalnie. Jasne? Ale nasze drogi z ojcem rozeszły się bezpowrotnie dawno temu. Pan wtedy biegał w pieluchach. I jeszcze coś: zastraszenie i sabotaż to nie w moim stylu. Jedyne, w czym jestem do ojca podobny, to trzymanie się pewnych niezłomnych zasad. Zresztą ojciec był konserwatystą, ja też nim jestem. Mamy swój honor i zasady, od których nie ma odstępstw. W przeciwieństwie do...

- Do pańskiego brata?

- Tak jest! - przyznał ochoczo, ale zaraz się zreflektował. - A jednak mnie pan podejrzewa! Do diabła, jest pan niesamowity! Nie mam z tym nic wspólnego.

Nastała pełna napięcia cisza.

- No dobra - westchnął. - Aniołem nie jestem i mam grzeszne myśli. Czasami marzy mi się, że to ja siedzę w fotelu prezesa zarządu firmy ojca. Ja! Nie Paul. Paul za dużo czasu poświęca polityce. Marnuje go. W Teksasie nigdy nie zostanie gubernatorem, bo Teksas jest od wieków republikański. Szkoda jego wysiłków. Paul powinien bardziej skupić się na biznesie niż na debatach politycznych, bo to źle służy firmie. Biznes ponad wszystko, mawiał nasz ojciec. Dlatego mam swoje powody, żeby grzesznie myśleć. Niemniej jednak są to wyłącznie myśli. Mam swój własny biznes, rolniczy. Rozumie pan? Hoduję zmodyfikowaną genetycznie żywność, warzywa. To mnie powinni zaatakować ci bandyci z T.O.E. Mnie! Rozumie pan? Mnie, nie Paula!

Ronald Benetton zaskoczył mnie tą nowiną.

- Rzeczywiście - zamyślony pokiwałem głową. - To dziwne. Bardzo dziwne. Oszołomy z terrorystycznej organizacji żądają wstrzymania pracy szybów naftowych, a pański żywnościowy biznes, niezgodny z ich „ekologiczną biblią”, zlekceważyli.

- Tym bardziej, że jeszcze za prezesury ojca wprowadzono nowe technologie wydobywcze, które zanieczyszczają środowisko w stopniu minimalnym. A czy pan wie, że w młodości Paul sam należał do lewicujących organizacji studenckich o wyraźnie proekologicznym charakterze. Organizował manifestacje, palił trawkę i był notowany.

- Nie wiedziałem.

- Tak było! - dodał z pasją. - Był młodym działaczem sprzeciwiającym się globalizacji, rosnącej konsumpcji (z wyjątkiem alkoholu i narkotyków) i zatrutowaniu środowiska. Takie tam ble-ble-ble, w które nawet oni już dzisiaj nie wierzą. W końcu, dzięki hamowaniu konsumpcji kraj nie może być bogaty. Mój brat ubiegał się o fotel gubernatora i wcale się nie krył ze swoimi ekologicznymi sympatiami i przeszłością lewicowego aktywisty.

- A zatem tu nie chodzi o pola naftowe - oświadczyłem głucho.

- Teraz i ja podzielam pański punkt widzenia - dodał.

Nie tak dawno w sali zamkowej Paul wygłosił piękną tyradę, której nie powstydziliby się dobry adwokat albo polityk dużego formatu. Oskarżył on mianowicie T.O.E. o bandycką działalność. Mówił pięknie i logicznie. Napiętnował terrorystów i zdemaskował ich metody działania, odniósł się ze szczerym niesmakiem do ich chorej ideologii. Czyżby udawał? Odegrał przed nami inscenizację? W końcu kiedyś Paul Benetton działał w podobnych grupach zbuntowanych studentów.

Bzdura! Paul Benetton był tak samo jak my wszyscy ich zakładnikiem. Traktowano go bez taryfy ulgowej. Zdaje się, że Gareth go nawet kopnął, Paul zaś przemawiał później tonem szczerym. Tylko że każdy dobry polityk był świetnym aktorem, więc nie był to mocny argument.

Od tych wszystkich podejrzeń i domysłów zakręciło mi się w głowie. Zapomniałem na chwilę o ucieczce, o tym, że czas działał na naszą niekorzyść i w żadnym miejscu na terenie kompleksu hotelowego nie jesteśmy bezpieczni. Lecz to co przed chwilą usłyszałem z ust Ronalda Benettona było - sami przyznacie - niezłą sensacją. Wyjaśnienie tej światopoglądowej dychotomii Paula Benettona upatrywałem w fakcie, że był on politykiem i zarazem właścicielem fabryki. Jak to lepiej wyjaśnić? Z jednej strony - odzywał się w nim polityk, a więc osobnik ze skłonnościami do demagogii, z drugiej - brał górę czysty interes, pragmatyzm właściciela. W końcu czystość środowiska naturalnego - czystością, brutalne traktowanie zwierząt - brutalnością (kto z nas miłośników schabowego popiera torturowanie zwierząt?), lecz jak pogodzić ze sobą ideologiczny bełkot ekologa z byciem prezesem zarządu wielkiej spółki wydobywającej ropę?

Czyżby politycy byli do tego stopnia zakłamanymi, że myśleli co innego, a co innego mówili? Owszem, zdarzali się tacy, nie tylko w Ameryce, ale i u nas nad Wisłą. Paul Benetton przy bliższym poznaniu sprawiał jednak wrażenie autentycznie porządnego gościa. Kiedy Johnny Depp nas uwolnił, Paul był szczerym rzecznikiem ucieczki, co jednoznacznie świadczyło, że chciał być jak najdalej od terrorystów.

Już sam nie wiedziałem, o co nim sądzić. Wydało mi się jednocześnie bardzo dziwne, że T.O.E. nie wspomniało ani słowem o działalności jego brata - Ronalda. Czy mogli nic o niej nie wiedzieć? Naprawdę przeoczyli fakt, że najstarszy syn Teda zajmował się handlem genetycznie zmodyfikowanymi pomidorami? Mało przekonujące, acz możliwe.

Po krótkiej naradzie z Ronaldem, doszliśmy do wniosku, że uciekamy z boczem do położonego w dolinie rzeki miasteczka. Na terenie zamku byliśmy bez szans. Z drugiej strony jednak byliśmy bez broni, odziani jedynie w pidżamy i bez butów. Zejście z boczem było dla nas koszmarnym zadaniem.

Poszliśmy, rzuciwszy się biegiem ku krawędzi szczytu.

- Raz kozie śmierć! - rzuciłem za siebie.

- Kozą? - dziwił się Ronald. - Jaka kozą? Gdzie?

- To takie polskie powiedzenie!

Schodziliśmy ostrożnie, nierzadko przystając, kiedy coś ostrego wbiło nam się w stopę. Wtedy któryś z nas jękiem lub syczeniem dawał znak, że musi stanąć, po czym szliśmy dalej. Ja byłem już solidnie poturbowany, bolało mnie ranne udo i szczyptały stopy pamiętające poprzednią ucieczkę. Potwornie długi był to marsz, długi i

uciażliwy, każdy metr z początku nas cieszył, potem odzywały się niecierpliwość, zniechęcenie i zmęczenie. Spoza gęstej czupryny drzew porastającej górę widzieliśmy czasami światła miasteczka bądź reflektory na autostradzie, co pozwalało nam oszacować odległość do celu. Tarrytown. Ile byśmy dali, żeby znaleźć się w tym miasteczku!

- Jak tak dalej pójdzie, nie dotrzemy do miasta przed świtem - stękał Ronald.

- Rzeczywiście, za jakieś pół godziny powinno świtać - przytaknąłem. - Możemy tutaj przeczekać i ruszyć w świetle poranka, lecz czas bardzo się liczy w tej rozgrywce. Lepiej nie myśleć, co zdesperowani terroryści zrobią z zakładnikami, gdy nas nie znajdą!

- Sądzi pan, że mogą kogoś zabić? - wystraszył się.

- Tak daleko pewnie się nie posuną, bo straciliby popularność w akademickich i postępowych kręgach. Wielu ludzi automatycznie odwróciłoby się od nich. Nie, nie zabijają nikogo, ale mogą zrobić inne głupstwo. Na przykład mogą porwać kogoś z waszej rodziny. I wtedy szukaj wiatru w polu!

- A gdyby zabili Paula, to wtedy ja, Ronald, najstarszy syn Teda, zostałbym głównym spadkobiercą jego majątku. Dla policji zaś byłbym głównym podejrzanym. Jak pan widzi, nie w moim interesie jest śmierć brata.

Nawet gdyby jeden z braci źle życzył drugiemu, to w razie jego nieszczęścia automatycznie stałby się głównym podejrzanym.

Przystanęliśmy pod jakąś wielgachną sosną - musieliśmy odpocząć. W dole migotały światełka samochodów i na oko mieliśmy jeszcze około siedmiuset stóp do doliny. Nasłuchiwalismy uważnie, czy nie ruszyli za nami w pościg. Helikopter nie wchodził raczej w rachubę, gdyż pilot musiał naprawić mechanizm żyroskopowy. Góra złowroźnie milczała. Za nami nikt nie szedł, żaden pojazd nie jechał serpentyną. Cisza.

Po kilku minutach odpoczynku poszliśmy dalej. Byliśmy blisko celu. Czuliśmy obecność doliny, zapach miasta, z pobliskiej autostrady zaś od czasu do czasu dochodził nas warkot samochodowego silnika. W tym dźwięku można się było zakochać. I tylko przez gęstą ścianę drzew nic nie potrafilismy jeszcze dostrzec.

Nagle skończył się las porastający olbrzymią górę. Nasza męka dobiegła końca. Nad nami niebo nieznacznie pojaśniało, lecz wciąż było granatowe. Zapach żywicy i liści zmieszał się z zapachem zbliżającego się świtu, pod zbolałymi i okaleczonymi stopami wyczuliśmy asfalt. Trafilismy na drogę opasującą wzgórze, u podnóża wielkiej góry, w miejscu, w którym zaczynała się ona pięć ku szczytowi.

Odetchnęliśmy z ulgą. Zostawiliśmy na samym szczycie zamek. Byliśmy wolni. Pokonaliśmy górę, ignorując trud i krwawiące stopy. Teraz jednak nie odczuwalismy chłodu i zmęczenia, a jedynie radość z udanej misji. Gdzieś z zalesionego zbocza doleciał nas świergot - pierwszy ptasi skrzypek stroił swój instrument. Szczęśliwy Ronald Benetton poklepał mnie po plecach.

- Kim pan właściwie jest? - zapytał z zainteresowaniem. - Niezbyt uważałem na przyjęciu w bibliotece zamku.

- Jestem ministerialnym urzędnikiem - zaśmiałem się.

- Dziwnych macie urzędników. Umie się pan bić, otwierać wytrychem drzwi i głowę ma pan nie od parady.

- W pewnym sensie jestem detektywem. Pracuję w Departamencie Ochrony Zabytków i nierzadko uczestniczę w wielu mrozących krew w żyłach przygodach.

- Jak ta nasza?

- Bywało.

- I co teraz?

- Idziemy do miasta. Droga nas zaprowadzi, ale uważajmy na jadące z góry samochody.

Poszliśmy w kierunku miasta, idąc trawiastym poboczem.

Nasze szczęście trwało krótko. Skończyło się wraz z odgłosem włączonego gdzieś przed nami, w odległości stu dwudziestu stóp, silnika. Zaraz potem ostry snop światła oślepił nas z przodu, jakby chciał przebić nas na wylot

Zaskoczyli nas. Skąd, na Boga, wiedzieli, że właśnie tutaj, w tym oto miejscu opuścimy las? Bo nie ulegało wątpliwości, że terroryści zasadzili się na nas.

Pociągnąłem RONALDA za rękaw pędzimy w bok, próbując zmusić go do natychmiastowej ucieczki. Tylko w lesie istniała szansa zgubienia prześladowców. I chociaż byliśmy potwornie zmęczeni, próbowałem jakoś zdopingować BENETTONA do kolejnego wysiłku. Jeśli chodzi o mnie, byłem sprawnym fizycznie trzydziestolatkiem, znającym podstawy walki wręcz i posiadającym kilka innych umiejętności. Niestety, RONALD był starszym człowiekiem. I kiedy próbowaliśmy przeskoczyć nad drewnianą barierką, rodzajem balustrady odgradzającej asfalt od pobocza, RONALD najzwyczajniej w świecie przewrócił się. Osłabiony marszem w dół zbocza stracił równowagę i zwałił się na trawę. Nie zważałem na jego jęk. Nie zatrzymał mnie nawet odgłos ludzkich kroków. Oto biegli w naszym kierunku terroryści, a ich podeszwy wystukiwały na asfalcie zabójczy rytm. A kiedy ciszę zmaćcił wystrzał z pistoletu i obok mnie wyrzuciło w górę kępkę trawy, wykonałem rozpaczliwy skok w kierunku najbliższych drzew.

Przeturlałem się po trawie, słysząc ich kroki. I głos GARETHA.

- Nie zabijaj! - wrzeszczał do kogoś. - Ja chcę to zrobić. Obedrę go ze skóry! Żywcem!

Czyżbym się mylił w kwestii ich planów traktowania nas - zakładników? Naprawdę ten drań mógłby mnie oskalpować?

Podniosłem się i pokonując zmęczenie, dałem nura w las. Uciekałem ze świadomością, że większy pożytek był z jednego zakładnika na wolności niż z dwóch złapanych. Za mną biegł już krwiozerczy GARETH z pistoletem maszynowym w łapie i tylko gęsto porośnięte zbocze było moim schronieniem przed jego wzrokiem i kulami. Na moje nieszczęście świat szykował się do pobudki - świtało.

Ta przeklęta góra znowu mnie wchłoneła. Była moim przeznaczeniem, od którego nie potrafiłem się uwolnić. Ścigali mnie, jakbym był zwierzyną łowną. A może powinienem prosić ich o litość? Czyż nie powinni się nade mną zlitować? Podobno byli miłośnikami zwierząt.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

**PODDAJĘ SIĘ * CZY NAPRAWDĘ ZNISZCZONO DZIEŁA SZTUKI? * PYTANIA DO
TERRORYSTY * KUPKA POPIOŁU NA DZIEDZIŃCU * ZAKŁADNICZY W KOMPLECIE
* CO CHCIAŁ MI PRZEKAZAĆ PIETRAŚ? * GROŹBA SPALENIA VAN GOGHA *
NIE JESTEŚMY TERRORYSTAMI! * SZYBY NAFTOWE ZA OBRAZY * PAUL
KAPITULUJE * NOWY POMYSŁ TERRORYSTÓW * O MORALNOŚCI, CZYLI
GŁOSOWANIE * KTO POWIEDZIAŁ, ŻE OBRAZY SĄ FAŁSZYWE?**

Po minucie biegu pod górę ukryłem się w zagłębieniu terenu porośniętym zielskiem i paprociami, licząc na to, że w kryjówce przeczekaam pościg. Musiałem też złapać oddech. A gdzieś za mną szedł niezłomny Gareth. Leżąc na zimnej i wilgotnej ściółce, przeklinałem swój los. Po raz kolejny tego wieczora uciekałem przed uzbrojonymi zbirami. Dosłownie padałem ze zmęczenia i bolały mnie nogi. Ze stopami jeszcze gorzej - zupełnie jakbym chodził na bosaka po kawałkach szkła. I tylko rychła zapowiedź brzasku rozjaśniała promykami nadziei ten ponury scenariusz. Niedługo miało zacząć świtać. Wraz z nastaniem dnia terroryści powinni opuścić zamek, wszak będą się zjeżdżać nowi goście, a nieczynne telefony na zamku wzbudzą podejrzenie. Czy dadzą nam spokój? Jeśli mieliby taki zamiar, czemu mnie gonili?

Odpowiedź na moje pytania przyszła niespodziewanie szybko.

- Poddaj się, człowieku! - krzyczał blisko Gareth. - Nie masz szans!

Oceniłem na ucho, że znajdował się około siedemdziesiąt stóp ode mnie - niebezpiecznie blisko. Zamieniłem się w glaz i prawie nie oddychałem.

- Słyszysz mnie?! - jego głos tłumyły drzewa, ale czułem niemalże jego oddech na sobie. - Daję ci szansę! Wiem, kim jesteś! Pracujesz w polskim ministerstwie... przyjechałeś po obrazy polskich artystów. Kochasz dzieła sztuki! Wróć na zamek, a nie zniszczymy obrazów.

„O czym on gada?” - przeraziłem się. „O jakich obrazach mówi ten zły człowiek?”

- Kilka z nich spaliliśmy na dziedzińcu - nawijał dalej ku mojemu przerażeniu. - To za karę za nieposłuszeństwo, żeby odechciało się wam głupich kawałów. Zniszczymy kolejne obrazy! Obiecuję. Spalimy nawet van Gogha. Daję ci na to moje słowo. Zrozumiałeś, panie historyku? Zniszczymy światowe dzieła. Tylko ty możesz je ocalić! Tylko ty!

Przeraził mnie. Nie wierzyłem z początku w jego słowa, a mimo to byłem przerażony. Nie wiem, jak czują się ci, którym wbito nóż w plecy, ale ja czułem się jakoś podobnie. Świadomość, że ktoś spalił bezcenne obrazy - zabijała. Zniszczenie dzieł sztuki było dla mnie przestępstwem niemal równym zabójstwu. W tym wypadku „zabójstwu” światowej kultury. Owszem, byli tacy, dla których dzieła sztuki nic nie znaczyły. Ot, chociażby jak ten przeklęty Gareth! Lecz ja i wielu podobnych do mnie ludzi, byliśmy ulepieni z innej gliny. Skończyłem wydział historii sztuki, dzieła dawnych mistrzów kochałem tak jak kocha się dzieci, żony i kochanki, a nawet zwierzęta, bo każde z wymienionych „dzieł” było unikatem. Nie mogłem dalej prowadzić tej gry, wiedząc, że ktoś może spalić bezcenne płótna. „A jeśli ten drań mnie nabierał? Poznał moją słabość, piętę Achillesową i tylko blefuje?” - zastanawiałem się jeszcze. Gareth nie był chyba na tyle głupi, żeby spalić nie tylko van Gogha, ale płótna mniej znanych malarzy. Z drugiej strony, nie miałem pewności. Nie mogłem ryzykować. Determinacja, z jaką ci ludzie potraktowali zakładników, przerażała mnie.

Co tam ładne obrazy? Stać ich było na wiele. Tutaj każde głupstwo wchodziło w rachubę! Oni strzelali do nas!

Dziwne, ale poddałem się z uczuciem spełnionego obowiązku. Dzieła sztuki okazały się obiektem mojej większej troski niż los kilkudziesięciu zakładników na zamku.

Nie dziwcie się mojej reakcji. Byłem dziwakiem, dla którego dzieła sztuki znaczą więcej niż dla przeciętnego gapia w muzeum. Nie trzeba być przesadnie starym, żeby zostać takim „odmieńcem”. Ile razy przyszło mi czytać o pożarze w Bibliotece Aleksandryjskiej w 47 roku przed naszą erą, ba, niechby nawet o współczesnej powodzi w prowincjonalnym muzeum, zawsze ogarniała mnie rozpacz. Do dzisiaj nie mogę przejść do porządku dziennego nad świadomością, ile spustoszenia dokonali Szwedzi podczas potopu, Rosjanie przez dwieście lat naszej historii oraz Niemcy, którzy zadali nam potężne ciosy podczas drugiej wojny światowej. Zwykły kryminał, w którym zniszczeniu ulegał fikcyjny obraz Leonarda da Vinci lub płótno Tycjana, wprawiał mnie w żal tak głęboki, że długo nie mogłem do siebie dojść. Powtarzam: dzieło fikcyjne! W wypadku tysięcy, setek tysięcy straconych w ostatnich wiekach dzieł - o których wiemy, że na pewno istniały, a nawet posiadamy stare reprodukcje - był to żal chroniczny!

Zakał mnie w kajdanki sam Gareth. Nie patyczkował się ze mną. Był brutalny, lecz jednocześnie zadowolony, usatysfakcjonowany „polowaniem”. Osobiście eskortował mnie do drogi, gdzie czekali na nas inni żandarmi T.O.E.

- Skąd wiedzieliście, w którym miejscu wyjdziemy na drogę? - zapytałem, gdy dochodziliśmy do samochodu.

- Ha, ha - zarechota! rudzielec. - Na wieży przykucnął Joe z noktowizorem. Widział ciebie i Ronalda Benettona. Uciekliście z przybudówki. Proste, co? Znaliśmy kierunek waszej ucieczki.

- Rozumiem - mruknąłem z lekkim podziwem dla ich zorganizowania.

To dlatego z łatwością namierzyli uciekinierów na zboczach, a teraz nas. Nawet pozostawili jeden nieszkodzony samochód, aby w razie potrzeby mieć awaryjny środek transportu. Niestety, wśród wielu aut na parkingach nie zauważyłem tego plymoutha z nieszkodzonymi oponami.

- Zwykły noktowizor - delektował się Gareth. - Co to znaczy technika!

- Jakoś nie przepadacie za techniką - zauważyłem. - Niszczycie laboratoria. Nie podobają się wam badania jądrowe.

- Korzystamy z osiągnięć techniki, bo nic do nich nie mamy. Nie podobają nam się tylko metody badań.

- Nie dyskutujmy na ten temat - zrezygnowałem z rozmowy. - Nie wiesz, co mówisz.

Chciał mi przyłożyć, ale się powstrzymał. Zapakowali mnie za to brutalnie do plymoutha z logo stacji telewizyjnej. Za kierownicę usiadł małomówny Kamerzysta. Gareth pilnował nas w tylnej części auta z pistoletem w dłoni.

- Nie mów tylko - zacząłem ironicznie - że pracujecie dla telewizji.

- Nie pracujemy.

- Ale furgonetka jest prawdziwa?

- Furgonetka tak. Ale prawdziwa ekipa odpoczywa.

- Odpoczywa? Gdzie?

- Nieważne. Nie bądź ciekawski.

- Co zrobiliście z agentami ochrony wynajętymi przez Paula Benettona? - pytałem dalej. - I co z personelem? Gdzie oni są? Czy nikt z gości nie jest przypadkiem cukrzykiem albo astmatykiem? Nie możecie wszystkiego kontrolować. Któryś z gości może potrzebować pomocy. Jeśli straci życie albo wylądaje w szpitalu, prasa nie pozostawi na was suchej nitki.

- Trudno się mówi. Dla kapitalistów nie ma litości.

- A jeśli ktoś z gości jest miłośnikiem zwierząt i popiera ekologów?

Nie odpowiedział, jedynie wrzucił ramionami.

Zajechaliśmy na dziedziniec zamku. Plymouth stanął obok helikoptera, a następnie wyprowadzono nas z pojazdu. Moją uwagę natychmiast przykuło jakieś tłące się ognisko rozpalone przed wejściem do hotelu. Kiedy lepiej się przyjrzałem, ze zdumieniem stwierdziłem, że spalono drewniane ramy, częściowo już szerniałe. Spalone obrazy! Te, o których mówił Gareth. Wrzucono je bestialsko do rozpalonego prowizorycznie ogniska.

Potworny żal, jaki mnie dopadł, zamienił się po chwili w niepohamowany gniew. Nie potrafiłem zrozumieć motywów postępowania tych ludzi, nie wytrzymałem i rzuciłem się na Garetha. Nie miałem najmniejszej szansy na uczynienie mu jakiegokolwiek krzywdy, to oczywiste. Ledwo zrobiłem dwa kroki, a rudzielec rąbnął mnie kolbą pistoletu maszynowego w bok. Zabolalo. Straciłem równowagę i upadłem na beton ze skutymi rękami. Gareth już doskoczył do mnie, zamachnął się nogą, chcąc mi dołożyć, lecz powstrzymał go kobiecy głos dochodzący od strony wejścia:

- Starczy! Zostaw!

To pojawienie się Ursuli Pappani powstrzymało Garetha i uchroniło mnie przed kolejnym urazem. Leżałem na betonie wyczerpany i całkowicie zdruzgotany. Niepotrzebne były mi żadne wyjaśnienia, żadne komentarze - ta oto kupka popiołu i tłące się resztki ram wystarczały za wszystkie słowa świata. Ci beznadziejni ignoranci spalili przedmioty o bezcennej wartości dla światowej i polskiej kultury. Pozwolili, aby dzieła uważane za zaginione - dzisiaj nie mające nawet ceny w katalogach domów aukcyjnych - strawił ogień.

Nie docierały do mnie słowa i gesty terrorystów. Patrzyłem milcząco na resztki ogniska. Zapomniałem o zakładnikach.

- Na początek zniszczyliśmy obrazy polskie - zaśmiała się ponuro Pappani. - Chcieliśmy jakoś cię wyróżnić. Potem spalimy następne. Nawet van Gogha. Zrozumiałeś już, człowieku, że ucieczka po prostu ci się nie opłaca? Czy dalej chcesz odgrywać Rambo?

- Tu nie Hollywood - zarechotał Gareth.

- Jeśli pragniesz ocalić pozostałe dzieła sztuki, masz być posłuszny. Zaraz przejdziemy do salonu i Paul Benetton wykona obiecany telefon do swoich asystentów w El Paso. Mam nadzieję, że szybko i bez problemów zakończymy naszą misję na zamku.

- Nie musieliście ich palić - wyszeptałem.

- To barbarzyńcy - splunął Ronald.

- Co mówisz? - skrzywił się Gareth. - Mało wam jeszcze?

- Zostaw - ochłodziła bojowe zapędy współnika Ursula. - Są wyczerpani i plotą trzy po trzy. Panowie, wy uznajecie inne wartości. My chcemy tylko, aby Paul Benetton

zrobił dla nas tę jedną jedyną przysługę i wykonał jeden głupi telefon. Dobra, idziemy do salonu. Jazda!

Wydano tylko krótkie polecenie pilotowi (zdaje się, że helikopter był prawie gotowy do lotu) i zaprowadzono nas przez hol i korytarz do salonu, w którym wcześniej nie byliśmy. Była to salka o nieco reprezentatywnym charakterze, położona w części wschodniej pod wieżą. Pomieszczenie przypominało wystrojem angielski klub dla dżentelmenów. Były tutaj stoliki, skórzane fotele, regały dźwigające oprawione w skórę książki, majestatyczne zasłony na oknach, eleganckie kinkiety i żyrandole z prawdziwego kryształu. Nastroju dopełniało złote światło sączące się z żarówek i wylewające się na perski dywan gamą ciepłych kolorów.

Na miejscu zastaliśmy Paula Benettona z Susan, Davida Duncana, kolegę Pietrasia oraz Johnny Deppa z dziewczyną. Nasze pojawienie odebrali z rozczarowaniem. Ażeby wszystkim zakładnikom wybić z głowy myśl o ponownej ucieczce, związano ich solidnie plastrem, pozostawiając na szczęście nie zaklejone usta. Prawdopodobnie zamierzano to teraz uczynić, gdyż Kamerzysta z Dźwiękowcem sięgnęli po szpule z plastrem i nożyczki.

Pierwszego zakneblowano Duncana. W tym czasie Ursula Pappani przemawiała. A gdy mówiła, kolega Pietraś patrzył na mnie nieco dziwnym wzrokiem jakby chciał mi coś powiedzieć, koniecznie zwrócić moją uwagę. Byłem jeszcze zbyt otepiały po traumatycznym przeżyciu, którego doświadczyłem na dziedzińcu, więc nic a nic nie rozumiałem z tych jego min. Lecz wyraźnie pragnął podzielić się ze mną jakąś informacją. Jego oczy zaczęły w końcu wykonywać szybkie ruchy gałkami ocznymi w stronę siedzących po jego prawej ręce Benettonów. A siedzieli tam kolejno: Paul, Susan i Ronald. Po jego lewej ręce znajdowali się Duncan. Magister jednak rzucał krótkie mrugnięcia w prawo, więc sprawa dotyczyła Benettonów. „O co mu chodzi?” - pomyślałem. Zerknąłem zaciekawiony na Paula Benettona. Siedział z zaciśniętymi ustami, załamany, obok zaś jego córka Susan patrzyła nieobecny wzrokiem gdzieś przed siebie. Nic szczególnego w nich nie dostrzegłem. Może chodziło mu o Ronalda? Ten padał ze zmęczenia po przebytej trasie po zboczach, był błądy jak prześcieradło i przypominał sflaczałe koło samochodu. Johnny Depp z dziewczyną znajdowali się po mojej prawej ręce, ale wtedy nie patrzyłem na nich. Kolega Pietraś znowu mnie o czymś „informował” krótkimi ruchami gałek ocznych i już nawet głowy. Benettonowie! To o nich chodziło! Bezwzględnie! Lecz nie byłem w stanie pojąć, czego dotyczy sprawa.

W tym czasie Kamerzysta zaklejał usta kolejnym zakładnikiem, tym razem Deppowi. „Nie będzie miała Ursula sprzymierzeńca w osobie aktora” - pomyślałem.

- Powtórzę to, co powiedziałam na dziedzińcu - ciągnęła Ursula. - Niech wszyscy to zapamiętają. Jeśli ktoreś z was spróbuje jeszcze raz ucieczki lub zabawy w Rambo, spalimy kolejne obrazy, wszystkie znajdujące się w bibliotece.

- Lepiej je sprzedać - mówiłem dalej, aby ich zagadać i zmusić do opamiętania. - Czy wiecie, ile są warte te obrazy? Dziesięć milionów dolarów! Za takie pieniądze kupicie najlepszy sprzęt do uprawiania terroryzmu. Dzięki czemu zniszczycie więcej laboratoriów i kurzych ferm.

- Przyłożyć? - zapytał mnie Gareth.

Zrobił krok w moją stronę, lecz Ursula Pappani powstrzymała go ruchem ręki.

- Może chciałbyś do nas dołączyć? - popatrzyła mi głęboko w oczy. Podeszła do mnie i stanęła na wyciągnięcie ręki. Minę miała marsową, a ton przybrała mentorski. - Zapamiętaj sobie, że nie jesteśmy terrorystami! Czy terrorystami są także bojownicy IRA walczący o wolność swojej ojczyzny? A Izraelczycy? Palestyńczycy? Baskowie? Każdy z nas ma swoje cele. Metody nasze nie są gorsze od metod stosowanych przez wszystkie organizacje walczące o pokój. Walczymy o lepsze jutro dla planety.

- Jesteście zwykłymi przestępcami - odezwał się Paul Benetton.

- Zgadzam się z bratem - wtrącił Ronald. - Choć prawie w niczym innym się nie zgadzamy. Żadna z was organizacja. Jesteście albo czyimiś pachotkami, zwykłymi najemnikami, opłacanymi przez anonimowego sponsora, który po prostu chce wykończyć konkurencję, albo zwykłymi psychopatami!

Ursula Pappani podeszła do RONALDA BENETTONA i złapała go za pidżamę pod samą szyją. Nie kryła swojej wściekłości. Lecz w porę pohamowała swoją złość.

- Dziękuję ci, braciszku - odezwał się Paul i w jego spojrzeniu kryło się trochę wdzięczności. - Masz rację. Terrorysty to tylko terrorysty. Jedyny cel, jaki im przyświeca, to zabieranie cudzej własności.

- Otóż to. Złodziejstwo to domena nieudaczników, którzy sami nie są w stanie niczego wymyślić, wyprodukować, zbudować. Z karabinem w rękę łatwiej się kradnie. Z ideologią na ustach łatwiej oszukać sumienie. Waszą wodą święconą są piękne frazesy o demokracji, wolności i dobru ludzkości.

- A wy nie ogłupiacie ludzi swoją kapitalistyczną telewizją, fast foodami i niewolniczym systemem kredytowym? - rzuciła terrorystka. - Kto to mówi? Człowiek, który wyzyskuje innych! Jedyne, o co wam chodzi, to zrobić z człowieka niewolnika, żeby potem jadł wam z ręki, kupował wasze produkty, zabijał zwierzęta...

- Przepraszam, ale zwierzęta zabijano w celach konsumpcyjnych jeszcze zanim wymyślono kapitalizm.

- Nie tylko - dodałem. - Coś w rodzaju banków istniało już od wieków. Templariusze byli na przykład znakomitymi bankowcami, nazywanymi niesłusznie lichwiarzami.

- Cicho! - fuknęła na mnie Ursula. - Dość tych pogaduszek! Tu nie Kongres. Tutaj ja dyktuję warunki!

- Ot i nie ma demokracji - westchnąłem.

Pappani rzuciła przed PAULEM BENETTONEM komórkę. Zdecydowanym ruchem głowy dała GARETHOWI znak do działania. Ten w mig pojął, o co chodziło kobiecie. Podbiegł do Paula i nożyczkami uwolnił go z krepujących plastrów.

- A teraz proszę zadzwonić do swoich ludzi w El Paso - powiedziała głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Powiesz im, żeby wstrzymali pracę szybów naftowych. Natychmiast! Potem nagramy dla telewizji krótkie oświadczenie!

- Nie zrobię tego - postawił się Paul Benetton.

- I znowu zaczynasz tę samą śpiewkę? - jęknęła kobieta. - Gareth, idź! Spal tego van Gogha. I dołóż jeszcze coś ekstra! Według uznania.

- Nie znam się na sztuce - zarechotał Gareth i ruszył ku drzwiom.

- Nie! - wyrwało mi się.

- Ojczy - szeptała przerażona Susan, pochlipując. - Zrób to, błagam cię. Zadzwon do El Paso. Oni... oni gotowi są spalić wszystkie obrazy! Błagam.

- Masz rację - rzekła terrorystka. - Tak właśnie zrobimy. Żadne jęki i argumenty nas nie powstrzymają. Albo obrazy, albo szyby naftowe. Wybieraj, Benetton!

- Ojciec! Zrób to. błagam... zadzwoń.

- Paul - zagrział Ronald. - Susan ma rację. Nie pozwól na to!

Z całego serca popierałem Susan i Ronalda. Tak! Chciałem, żeby Paul Benetton zadzwonił i wykonał polecenie terrorystów, żeby zatrzymał pracę szybów naftowych w odległym Teksasie. Lecz nie odezwałem się ani słowem. Nie mogłem namawiać obcego człowieka do zrobienia czegoś wbrew jego woli. Nawet jeśli miałyby to uratować rzecz dla mnie bezcenną. Po prostu nie mogłem. Nie miałem moralnego prawa. Jednakże modliłem się do Boga, aby uratował przechowywane w zamkowej bibliotece skarby. Widok spalonych na dziedzińcu obrazów wciąż stawał mi przed oczyma i pogrążał w trosce o los pozostałych dzieł sztuki. Jakże żałowałem mojego wyjazdu tutaj! Kolejna delegacja do Stanów Zjednoczonych i kolejna przygoda - tym razem pechowa. Zupełnie nie wiedziałem, jak zaradzić owej przerażającej sytuacji. A przecież na zamku przebywało jeszcze kilkadziesiąt ubezwłasnowolnionych istot, związanych i zakneblowanych ludzi.

Wszyscy patrzyli teraz na Paula Benettona. Ja i Susan - z nadzieją, na jaką stać wyłącznie historyków sztuki, brat Ronald - z wyczekiwaniem pełnym napięcia, Duncan - chłodnym okiem obserwatora. Nie wiem, jaką minę mieli gwiazdor Depp i jego Muza, ale nawet terroryści zamienili się w słuch. W pozie pełnej oczekiwania wpatrywali się w biznesmena, jakby chcieli spojrzeniami wymusić na nim ten ważny dla nich telefon.

Załamany Paul Benetton sięgnął po telefon. Wystukał szybko numer i przywitał się grobowym głosem z kimś w Teksasie. Jego komenda była krótka i rzeczowa - wstrzymać wydobycie ropy w Teksasie. Natychmiast! Prawdopodobnie jego rozmówca protestował, gdyż Benetton podniósł głos i brutalnie powtórzył swoją prośbę, strasząc zwolnieniem gościa z pracy.

- Wstrzymać wydobycie do odwołania - powtórzył dosadnie, ale już ciszej. - Do widzenia, Mike!

Rozłączył się. W salonie słychać było niemalże zbiorowy oddech ulgi. Jeszcze raz to powtórzę - współczułem Paulowi Benettonowi, lecz w tej chwili myślałem wyłącznie o dziełach sztuki, o tym, aby je uratować. W końcu szyby naftowe mogły wznowić pracę w każdej chwili, zniszczenie obrazów było zaś szkodą nieodwracalną. Nie da się bowiem odtworzyć spalonego płótna Rembrandta czy van Gogha. Nawet sami autorzy - gdyby dzisiaj żyli - nie potrafiliby namalować żadnego swojego dzieła w taki sam sposób, w jaki zrobili to wcześniej.

- Świetnie - pierwsza zareagowała Ursula Pappani. - Gratuluję mądrej decyzji, panie Benetton.

- Co teraz? - wbił w nią ponury wzrok. - Co dalej? Puściecie nas wolno?

- Mamy jeszcze jedną sprawę, tym razem propozycję.

- Pewnie nie do odrzucenia?

- Handlową. Proszę powiedzieć, ile otrzyma pan pieniędzy w razie kradzieży tych dzieł? - zapytała wprost. - Są ubezpieczone, prawda?

- Owszem - skinął głową zaniepokojony Paul Benetton.

- Wszystkie?

- Van Gogh i Matisse.
- Ile?
- Dziesięć milionów dolarów.
- U Lloyd'a?
- Zgadza się. Ale o co chodzi? Spełniłem waszą prośbę, więc rozstańmy się.
- Pewnie, że się rozstaniemy. Tylko pomyślałam sobie, że właściwie wszystkie te obrazy są panu niepotrzebne, Benetton. Oddaje je pan muzeum, a nawet Polakom.
- Spełniam prośbę ojca! - wrzasnął. - O co wam chodzi?
- Jeśli odda pan swoje skarby muzeum - kontynuowała niewzruszona gniewem Benettona terrorystka - nic pan nie zyska, prawda?
- Tak chciał ojciec. Nic z tego nie mam.
- Ale niechętnie spełnia pan jego wolę, prawda?
- Nie rozumiem - chrząknął. - Co to ma do rzeczy?
Zerknąłem na jego brata, który aż głośno westchnął na ostatnią uwagę terrorystki. Susan i Duncan zaś z obawą obserwowali Paula, rzucając raz po raz niespokojne spojrzenie na Ursulę Pappani.

- Z tego co wiemy, ojciec nie darzył pana wielką sympatią.
- I co z tego? - zachnął się biznesmen. - Ronald też nie lubił. Chyba nawet bardziej ode mnie, skoro to ja zostałem jedynym spadkobiercą. To ja zostałem pełnomocnikiem jego woli i głównym właścicielem pól naftowych oraz elektrowni atomowej.

- To wasze sprawy, choć mam wiadomość, że obecny tu Ronald Benetton wykupił prawie połowę akcji. Nie zmienia to faktu, że musi pan być wściekły, że przynajmniej dziesięć milionów przechodzi panu obok nosa.

Nieco zdziwiony informacją podaną przez terrorystkę, posłałem Ronaldowi pełne pretensji spojrzenie. Nie tak dawno twierdził, że miał jedynie kilkuprocentowy udział w firmie Benetton Oil. Dlaczego nie wspomniał nic o wykupie aż połowy akcji. Czyżby oszukiwał? Jaki miał powód, wprowadzając mnie w błąd? Nie patrzył mi prosto w oczy, nie miał odwagi. Udawał, że mnie nie widzi.

- Nikt z nas nie jest zadowolony z decyzji ojca - wtrącił Ronald, jakby odczuł nagłą potrzebę mówienia. - Ted na starość chciał zyskać tytuł filantropa. Mnie nienawdził i jest to fakt powszechnie znany. Ale to nasze rodzinne sprawy. Paula nie lubił za poglądy! Jednakże po cichu mu kibicował. Prawda, Paul? Gdy organizowałeś te durne manifestacje jako młody, dobrze zapowiadający się demokrat, ojciec nie mógł tego przeboleć, rozpaczał. Ale zawsze w ciebie wierzył. Dał ci nawet szansę, zapisał majątek, cały biznes swojego życia, licząc, że jako właściciel zarządzający własną firmą przestaniesz snuć mrzonki o kontroli państwa nad własnością prywatną. Ja musiałem wszystko zdobyć sam. Za własne pieniądze wykupiłem część rodzinnych akcji. Ale co tam ja! Paul przejął się nową rolą biznesmena i dzisiaj coraz rzadziej pije brandy z demokratami. Własność czyni z nas istoty odpowiedzialne, uczy szacunku dla innych. Ojciec był sprytny, zrobił cię głównym udziałowcem, bo to najlepszy sposób na wypędzenie z duszy utopijnych mrzonek. Jestem przeciwnikiem przekazania obrazów muzeum, bo uważam, że dzieła powinny być w rękach prywatnych. Powinny zostać w naszej rodzinie. Rozdawanie demoralizuje, najbardziej obdarowanego. Może dlatego ojciec nie chciał zostawić ci tej kolekcji. Wolał ofiarować ci biznes, który wymaga pielęgnowania, trudu i wiedzy. Wracając do sprawy. Co z tego, że Paul jest w

głębi duszy wściekły na Teda? Ja także jestem wściekły. I Susan jest wściekła! Prawda, maleńka?

Susan kiwnęła głową, że się zgadza.

- Ale wola ojca jest powinnością syna - popatrzył twardo na brata. - Czy Paul chce czy nie, musi przekazać obrazy muzeum, bo tego wymaga szacunek dla zmarłego. Przede wszystkim, Paul, nie możesz układać się z terrorystami!

- Już się ułożyłem - stwierdził. - I pozwól, że to ja będę decydował za siebie.

Potem zwrócił się do terrorystki.

- O co wam chodzi? Co znowu knujecie?

- Ustaliliśmy już - kontynuowała Ursula Pappani - że nie zgadzacie się z wolą ojca.

- Żle! - zaprotestował Paul. - Szanujemy tę decyzję, choć uważamy ją za niefortunną. Ronald już to wyjaśnił.

- Powinieneś startować w wyborach na prezydenta Stanów Zjednoczonych - posłała mu kpiący uśmiech terrorystka. - Świetnie to ująłeś. Otóż nasz plan jest prosty. Zniszczymy pozostałe obrazy, spalimy je, a ty dostaniesz odszkodowanie od Loyda w wysokości dziesięciu milionów dolarów.

- Te dzieła są warte więcej! - wyrwało mi się.

- Dzieła są warte tyle, ile można za nie wziąć. Lloyd daje dziesięć milionów dolarów. I już! Jak ktoś da dwadzieścia, będą warte dwadzieścia. Czy ktoś daje dwadzieścia? Nie widzę.

- Na aukcji można by wycisnąć dwanaście, a nawet piętnaście milionów dolarów! - dodałem. - Czasami napaleni kolekcjonerzy przepłacają kilka razy. Za samego van Gogha można by wziąć dziesięć milionów, gdyby się postarać.

- Niestety, wola Teda Benettona była inna. Żadnej aukcji! Wyłącznie darowizna! Uszanujmy wolę zmarłego.

- Niech pani sobie nie kpi - warknęła Susan.

- Jaka z niej pani? - zachnął się Ronald. - To zwykła terrorystka.

- Cicho! - wrzasnęła na nas Pappani. - Chcemy wam pomóc. Zniszczymy te dzieła. Lloyd wypłaci wam pieniądze, a wy ofiarujecie nam połowę jako zadośćuczynienie za gwałt na przyrodzie. Dla was to bez znaczenia, bo przecież i tak oddajecie obrazy muzeum, a nam pieniądze się przydadzą. W zamian moglibyśmy pójść wam na rękę i zaniechać podpalenia szybów naftowych.

- A chcecie?

Zaśmiała się szyderczo.

- Już nie kochacie szczerów polnych i kretów? - zakpił Ronald. - Taki pożar to dewastacja środowiska.

- Kochamy. Bardziej od was. Ale czasami trzeba podjąć trudną decyzję, z pozoru sprzeczną z celami, do których się dąży. Cel uświęca środki. Wpłacicie nam pięć milionów dolarów na wskazane konto, w nagrodę za waszą hojność zniszczymy zaraz wszystkie dzieła sztuki i całość przedstawienia nagramy na kasetę, żeby Lloyd mógł wam wypłacić odszkodowanie. To będzie niezłe przedstawienie dla mediów! Napiszą: „T.O.E. bardziej ceni życie zwierząt niż sztukę”. Albo: „Van Gogh zamiast polnej myszy”. Wystarczy tylko wpłacić pięć milionów dolarów. Zaraz przyniesiemy wam laptopa i dokonacie elektronicznej transakcji. Jak tylko otrzymamy potwierdzenie z naszego banku o faktycznej wpłacie, zwolnimy was. I jeszcze zarobicie pięć milionów.

Zaszokowany niecodzienną i głupią propozycją popatrzyłem z nadzieją na Paula Benettona. Ku mojemu przerażeniu niedoszły gubernator wahał się

- Ojczy, nie rób tego - znowu jęknęła Susan. Była przerażona. - Te dzieła sztuki są bezcenne.

- Susan ma rację - poparłem ją.

- A co ty o tym sądzisz, Ronaldzie? - zapytał brata.

- Pomyśl tylko, co się stanie, jeśli Lloyd nie wypłaci odszkodowania? Nie zgadzam się! Kategorycznie! Jak to zrobisz, wykończę cię!

David Duncan zaczął się wiercić i stękać. Koniecznie chciał coś powiedzieć, lecz uniemożliwiał mu to plaster na ustach. Ursula Pappani nie czekała na swoich „chłopców” i jednym wprawnym ruchem zerwała z ust Duncana plaster. Doradca Benettona zawył z bólu.

- Mów. co chcesz powiedzieć! - rozkazała.

- Myślę, że jest to możliwe, Paul - zaczął mówić prawnik. - Nie bój się gróźb Ronalda. Mamy świadków, że zostaliśmy sterroryzowani... Pewnie i pan Depp potwierdzi to w telewizji.

Aktor ani nie przytaknął, ani nie zaprzeczył!

- To się nie zdarza w normalnych warunkach - nawijał Duncan. - Zmusili cię szantażem. Paul, nie mamy wyjścia. Lepiej poświęcić obrazy niż stracić szyby. Jesteś prezesem Benetton Oil i możesz decydować w pewnych sprawach.

- Jak śmiesz! - oburzyła się Susan. - Ty podły człowieku w garniturze! Nigdy cię nie lubiłam. Jak to dobrze, że wreszcie mogę to powiedzieć. Mam okazję! Otóż jesteś draniem, Duncan. Dla ciebie liczą się tylko pieniądze. Boisz się o swoje królestwo naftowe, że spadną akcje. A kolekcja to co? Zastawa kuchenna? Napaliłeś się, Duncan, na pięć milionów dolarów! O to ci chodzi!

- Ty też na tym stracisz, Susan - bronił się Duncan. - My wszyscy stracimy!

- Nie pozwolę spalić obrazów.

- Jeśli twój ojciec się nie zgodzi, jeszcze dzisiaj odpalimy szyby - uśmiechnęła się złowieszco Ursula. - Pomyślcie, wszyscy na tym zyskają.

- Wiesz co, Ursula? - podszedł do niej Gareth. - Zróbmy głosowanie. Demokratycznie. Każdy odda jeden głos w tej sprawie.

Ursula Pappani odebrała to jak żart, ale po chwili zamyśliła się.

- Okej - uśmiechnęła się. - Zabawimy się w demokrację.

- Nie każda sprawa może być poddana referendum - odezwałem się.

- Mianowicie? - zapytał Gareth.

- Moralność. Jej nie można poddać pod głosowanie. Albo jest, albo jej nie ma. Co by się stało, gdyby większość miała decydować o tym, co jest moralne? Wyobraźmy sobie następującą sytuację. W wyniku dziwnych zdarzeń jesteśmy na odludziu, w górach, na pustyni... bez jedzenia i picia, bez szansy na ratunek. Jesteśmy wyczerpani, zdeterminowani, grozi nam kanibalizm. I ktoś proponuje przeprowadzenie demokratycznych wyborów. Głosujemy. Pytanie brzmi: czy pierwszą zjemy kobietę czy mężczyznę? Czy takie referendum jest godne miana człowieka? Przecież głos większości nic nie znaczy. Podobnie jest z wyborami. Nie większość powinna decydować, kto ma rządzić, bo na rządzeniu zna się garstka ludzi. Wola większości może być mordercza, jeśli społeczeństwo jest chore. Zauważcie, że głos przyzwoitej

kobiety, profesora uniwersytetu jest tak samo ważny jak głos alkoholika, który bije codziennie swoją żonę i dzieci. Moim zdaniem, głosowanie nad dziełami sztuki jest jeszcze bardziej głupie.

- Czy chcesz nas uczyć demokracji, kolego z dalekiej Polski? - zbliżyła się do mnie Ursula. - Nas Amerykanów? Wy, Polaczkowie, powinniście siedzieć cicho i uczyć się. Znasz ten dowcip? Zaraz... jak to było? Mam! Powiedz, dlaczego David Copperfield musiał odwołać swój występ w Polsce? Nie wiesz? Ano dlatego, że nikt nie był nim zainteresowany. W Polsce nie jest niczym niezwykłym, gdy coś znika.

- A wiesz - wtrąciłem - ilu Polaków potrzeba, aby przekreślić świat dookoła?

Nie czekałem na odpowiedź.

- Tylko dwóch! - kontynuowałem w nieco patetycznym tonie. - Jeden to syn żołnierza z Wadowic, a drugi to elektryk z Gdańska.

- Nie znam - prychnęła żałośnie. - Nie rozumiem. Elektryk? I syn żołnierza? Też coś!

- To papież, droga pani - uśmiechnął się z politowaniem Ronald. - Syn żołnierza to Jan Paweł II.

- Być może, ale niech Polaczek nie zabiera głosu w sprawach, na których się nie zna - zrobiła kwaśną minę. - Nikt nie wymyślił lepszego ustroju od amerykańskiej demokracji. To my pierwsi daliśmy światu nowoczesną, demokratyczną konstytucję.

- Byliśmy druzdy - rzekłem spokojnie. - Nasza nazywała się Konstytucją 3 Maja. Ale chwila! Mówicie tak szumnie o woli większości, że jest obiektywnym wyznacznikiem sprawiedliwości. Ale przecież działania oraz ideologia T.O.E. jest wymierzona przeciwko gustom kulinarnym społeczeństwa amerykańskiego! Większość Amerykanów woli odżywiać się w fast foodach. Czemu więc mówicie „nie” owej gastronomicznej woli większości? Dlaczego nie uszanujecie woli waszego społeczeństwa? Gdzie wasza demokracja?

- Zamilcz! - wrzasnęła. - Kto głosuje „za”, a kto „przeciw”? Kto „przeciw” niech podniesie rękę!

- A odwiążesz nas? - zakpił Paul Benetton.

- Skiń głową.

Przeciwko zniszczeniu dzieł sztuki byłem ja, kolega Pietraś, Susan, Ronald, Johnny Depp i jego Muza. A zatem mieliśmy większość, gdyż na placu boju pozostali tylko Paul Benetton oraz David Duncan. Sześć do dwóch na naszą korzyść!

- Wygraliśmy! - ucieszyłem się.

- Chwileczkę - przerwała Ursula. - Nie liczyliśmy wszystkich głosów. Bez fałszerstw. Tu nie Polska. Jesteśmy jeszcze my.

- Wszyscy terroryści obecni w salonie - w osobach Ursuli, Garetha i Kamerzysty - podnieśli w górę ręce.

- Przegraliście jednym głosem - ucieszyła się Susan. - Sześć do pięciu dla nas!

- Nie - zaśmiała się nieładnie terrorystka. - Pięć do czterech dla nas! Johna Deppa i dziewczyny nie liczymy, gdyż nie są stroną zainteresowaną. A właściwie wynik brzmi: Pięć do trzech za zniszczeniem obrazów. Głos Mr. Dańca zostaje anulowany, gdyż nie jest on Amerykaninem.

I zły sen stał się rzeczywistością. Ursula Pappani wydała Kamerzyście rozkaz wyniesienia wszystkich dzieł sztuki z biblioteki i ustawienie kamer na dziedzińcu.

Show dla Ameryki się rozpoczął. Niewinna z pozoru gra w demokrację przemieniło się w smutną rzeczywistość.

- Nie! - krzyknął Ronald rozpaczliwie za opuszczającymi salon terrorystami. - Wracajcie! Nie róbcie tego!

Pappani zerknęła na niego.

- Tak chce większość - uśmiechnęła się i poprawiła druciane okulary na nosie. - Ale po co ten cały wrzask? O co? O kilka fałszywych obrazów?

- Fałszywych? - zdziwił się Paul i wybuchnął nerwowym śmiechem. - Odbiło wam do reszty!

- Uzyskaliśmy takie dane - oznajmiła grobowym głosem Pappani. - Z dobrego źródła. Kolekcja Teda Benettona to fałszyfikaty.

- Nie - załkała Susan.

Chciała coś jeszcze dodać, ale terrorystka natychmiast zakleiła jej usta.

ROZDZIAŁ ÓSMY

KTO ZAKRADEŁ SIĘ DO CENTRUM MONITORINGU? * IMPROWIZACJA * KOLEGA PIETRAŚ COŚ WIDZIAŁ, CZYLI SZPIEG WŚRÓD ZAKŁADNIKÓW * UNIKAM WZROKU DZIEWCZYNY * ROZWAŻANIA NAD „KTOSIEM” * TERRORYŚCI PORYWAJĄ BENETTONÓW * W PUŁAPCE * KTO NAS URATOWAŁ? * SKRZYŃNIE ZNIKŁY * BUSZUJĄCY W BIBLIOTECE * CZY JEŹDZI PAN BIAŁYM DODGE’M?

Długo nie wracali. Zbyt długo. Jak dla mnie - całe wieki! Pierwszy wpadł do salonu Gareth, potwornie wściekły, z wymierzonym w nas scorpionem.

- Który z was to zrobił? - wycedził przez zęby.

Nikt mu nie odpowiedział. Nie wiedzieliśmy, o co mu chodzi.

- Kto rozwalił w podziemiach monitory? - powtórzył. - Kto z was to zrobił?

Zerknąłem zaskoczony po obecnych, lecz ich zdziwienie było nie mniejsze od mojego.

- Ty, Polak! - zwrócił się do mnie terrorysta, a następnie skierował wzrok na Ronalda Benettona. - I ty! Uciekaliście podziemnym tunelem... byliście w centrum monitoringu. To wasza sprawka!

- Niczego nie ruszaliśmy - odpowiedział Ronald.

- Nie chraźń, staruszk! Masz mnie za bęcwała? Zatrzymaliście obraz z jednej kamery, żeby nas zmylić. Nic wam to, niestety, nie dało, system rejestruje każdą usterkę, awarię, a nawet zmianę napięcia w obwodzie, więc szybko ustaliliśmy, że jeden monitor został odłączony.

- A zatem mój trik z monitorem okazał się zwykłym niewypałem. Inna sprawa, że nie miało to teraz większego znaczenia.

- To fakt, byliśmy tam - podjąłem wątek. - To prawda, że odłączyłem obraz z kamery. To wszystko. Nie wróciliśmy tam i nie mogliśmy niczego rozwalić. Bo i kiedy? Przecież musisz to wiedzieć! Co się stało?

- Ktoś zdemolował studio!

- Kto?

- To ja się pytam!

- Rozumiem - kiwnąłem z satysfakcją głową. - Chcesz powiedzieć, że my tu sobie gadu, gadu, a w tym czasie ktoś myszkuje w podziemiach zamku? To nie mógł być nikt z nas, bo wszyscy są pod waszą kontrolą. Może to szczury? Albo policja?

Sądząc po oczach zakładników, wstąpiła w nich słaba nadzieja na uwolnienie.

- Zamilcz - mruknął groźnie i lekko odchylił rękę trzymającą pistolet, jakby chciał mnie uderzyć.

- Powiedz lepiej, co z obrazami? - poprosiłem.

- Nie róbcie tego, błagam was! - wszedł mi w słowo Ronald. - Wasze informacje to żart. Te obrazy są zbadane przez świetnego rzeczoznawcę. Paul, powiedz mu, że to oryginały! Słyszysz mnie?! Hej, ty, kowboju ze spluwą! Mylicie się...

- Nie widziałeś głosowania? - zaśmiał się terrorysta. - Przegraliście.

- Ocalcie płótna! - krzyknąłem. - Policja wie, co tu się dzieje. Nadałem sygnał alfabetem Morse’a!

Improwizowałem. Błefowałem. Bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Jednakże moje słowa brzmiały niezwykle wiarygodnie. Do tego stopnia, że zaskoczyłem samego

Ronalda, który przecież znał prawdę. Susan przestała płakać i zerknęła na mnie z nadzieją.

- Czym? - wbił we mnie swój obrzydliwy wzrok Gareth. - Czym niby nadałeś ten sygnał?

- Latarką.

- Zabraliśmy ci ją.

- Miałem drugą. Zostawiłem w przybudówce, na wszelki wypadek.

Nieoczekiwanie głos zabrał kolega Pietraś.

- Ja coś powiem! - krzyknął.

- Co takiego? - zwrócił się do niego rudy terrorysta.

- Jak Daniec nadał sygnał.

Popatrzyłem z niedowierzaniem na kolegę z ministerstwa. O co mu chodziło? Wiedziałem, że łąał, grał na zwłokę, bo przecież żadnych sygnałów nie nadawałem. Ale Pietraś mówił z autentycznym przejęciem. Musiał być niezłym aktorem. Jak się miałem dowiedzieć kilka dni później, przejawiał on także inne, niezwykle zdolności.

- Na co czekasz? - popędzał go Gareth. - Mów, do diabła!

- Nie tutaj - nachmurzył się magister. - Powiem na korytarzu.

- To wstawaj! - wrzasnął na niego terrorysta.

Złapał go za kołnierz od pidżamy i pomógł wstać. - Jazda! Do drzwi! Wszystko wyśpiewasz.

- Weźcie też Dańca! - prosił.

- Po co nam Daniec?!

- Mam do niego ważne pytanie.

- O czym pan gada? - zwróciłem się do niego po polsku.

- Jesteśmy na „ty”, Pawle - próbował się uśmiechać.

- Jazda! - Gareth wskazał nam drzwi.

- Zamknął z hukiem drewniane wrota i dźgnął Pietrasia w plecy.

- Mów - nakazał mu.

Magister zlekceważył terrorystę i zwrócił się do mnie po polsku.

- Blefowałem - wyrzucił z siebie konspiracyjnym tonem.

- Wiem, bo żadnych sygnałów nie nadawałem.

- Domyśliłem się. Chciałeś ratować obrazy. Ale ja mam ci coś ważnego do powiedzenia. Nie chciałem mówić przy Benettonach...

- Dlaczego? - zapytałem.

- O czym szeleścicie? - zdenerwował się Gareth.

- Muszę go wypytac - wyjaśnił oprychowi magister, wskazując mnie oczami.

- Tylko nie próbuj sztuczek - pogroził mu lufą pistoletu rudzielec. - Zrzucę cię z helikoptera do rzeki Hudson.

Kolega Pietraś znowu zaczął mówić w ojczystym języku.

- Złapali nas na zboczach - mówił z przejęciem. - Potem eskortowali nas na zamek. Ale zauważyłem coś dziwnego.

- Co mianowicie? - zachrypiałem z wrażenia.

- Młoda Benettonówna rozmawiała z jednym z terrorystów - ściszył głos. - Nie była to uwaga czy pytanie. Ona z nim dyskutowała za drzewem.

- Susan? - zdziwiłem się.

Na brzmienie tego imienia Gareth stał się czujny i zmrużył podejrzliwie oczy.

- Wiesz co? - zablęsty Pietrasowi oczy. - Ja myślę, że to ona dała znać terrorystom, gdzie jesteście. I dlatego nas znaleźli. Idealnie wyszli nam naprzeciw. Tam na zboczu. Dziwne, nie? To chciałem ci powiedzieć.

Rewelacje kolegi Pietrasia były szokujące. Ten ich cały Joe siedział podobno z noktowitzem na wieży zamku, więc od biedy któryś z uciekinierów mógł ze zbocza nadać sygnał. Jednak ta teoria była naciągana. Czemu Susan miałaby to robić? I przypomniałem sobie, że to właśnie ona jako pierwsza zgłosiła się do grupy uciekającej zboczem. Nie, to absurd! Susan współpracująca z terrorystami?

- Nie zdziwiło cię - wyrwał mnie z zamyślenia Pietraś - że Susan była w ubraniu, kiedy ją przyprowadzono do pokoju zakładników?

Kolega Pietraś dał mi lekcję, jak powinien dedukować prawdziwy detektyw! Ten urzędniczyna zaskakiwał mnie. Kiedy ja odgrywałem rolę Rambo, on próbował logicznie myśleć. Susan Benetton szpiegiem T.O.E.! Brzmiało to nieprawdopodobnie! Już chciałem poruszyć sprawę tajemniczego informatora, który rzekomo przekazał T.O.E. rewelacje o kolekcji Benettona, lecz nie zdążyłem.

- I co? - Gareth zapytał maga. - Co ci powiedział Daniec?

- Wymyśl coś - zwrócił się do mnie Pietraś.

Nabrałem w płuca powietrza i przeszedłem na angielski.

- Miałem drugą latarkę, którą wyjąłem ze schowka w wehikule - zwróciłem się do Garetha. - Mój kolega przekonał mnie, że lepiej przyznać się do wszystkiego i może wtedy nie zniszczycie obrazów.

- Co z tymi sygnałami? - dźgnął mnie łufą w brzuch.

- Nadałem z czubka drzewa sygnał SOS - blefowałem. - Miałem szczęście. Ktoś mi odpowiedział... pewnie jakiś mieszkaniec Tarrytown.

- Co takiego? - wściekał się rudy terrorysta.

- Przekazałem anonimowemu odbiorcy krótką wiadomość o zakładnikach na zamku. Widocznie trafiłem na osobnika cierpiącego na bezsenność. Odpowiedział natychmiast: „ZAWIADOMIĘ POLICJĘ”.

- Myślisz, że nas przechrzysz tanimi sztuczkami? - zmierzył mnie groźnym wzrokiem. - Za dużo filmów się naoglądałeś, koleś!

- Amerykańskich - westchnąłem.

- A ja ci nie wierzę. Wiesz dlaczego? Odkąd nadałeś SOS, minęła przynajmniej godzina. Gdyby ktoś z miasta naprawdę zawiadomił policję, już by tu byli.

- To kto rozwalił monitory w podziemiach? - zapytałem z triumfem na ustach, choć nie miałem bladego pojęcia, czyja to sprawa.

Nagle z głębi zamku doszły nas jakieś hałasy. Gareth stracił zainteresowanie nami.

- Oho, pewnie zaraz rozpocznie się szturm policji - dodałem.

- Cicho!

- Powiedz, kto wam powiedział o tych obrazach? Że są fałszywe?

Nie odpowiedział. Zrezygnowawszy z dalszej rozmowy, wepchnął nas z powrotem do salonu, zamknął drzwi na klucz i oddalił się. Pobiegł, o czym poinformowały nas jego dudniące kroki.

Uważałem, żeby nie patrzeć na dziewczynę. Kim była Susan Benetton? Zwykłą studentką? Miłośniczką sztuki? Jej dzielna postawa w obronie kolekcji dziadka

świadczyła, że nie miała z terrorystami nic wspólnego. Kto z nich mógłby być „kolaborantem”? Szantażowany Paul Benetton zgodził się na zniszczenie owych dzieł - może on? Duncan? Susan nie zawahała się sprzeciwić terrorystom i była po mojej stronie - więc chyba nie ona? Jednakże Pietraś widział ją rozmawiającą z terrorystą. Lecz tak naprawdę nic nie wiedziałem o prawdziwych motywach, którymi kierowała się Susan. Nie znałem tych ludzi! A może Susan była szantażowana przez T.O.E.? I co jeśli współpracowała z nimi na innej płaszczyźnie, a ktoś drugi z tego grona doniósł T.O.E. o fałszywej kolekcji? „O co tu chodzi?” - zastanawiałem się. „Czy to możliwe, aby obrazy były fałszywe? To byłaby dopiero sensacja!”

W głębi zamku działo się coś niedobrego. Dudniły kroki, pokrzykiwano i hałasowano na kilka innych sposobów. Nikt z nas nie miał pojęcia, co się właściwie stało? Kim był tajemniczy osobnik, który zniszczył w podziemiach monitory. Usiadłem na swoim miejscu, nie patrząc na Benettonów. Korciło mnie zajrzeć w oczy Susan i wydrzeć z nich jej tajemnicę.

- Czy może pan mi powiedzieć, o czym rozmawialiście? - zapytał Paul Benetton. - O co tu chodzi? Co to za hałasy?

- Żebym to ja wiedział - westchnąłem. - Magister wymyślił niewinną bajeczkę, aby zyskać na czasie. Nic ponadto.

- I po to wychodziliście? - zainteresował się Duncan. - Domyśliliśmy się, że żadnego SOS nie nadałeś.

- Improvizowałem - odpowiedział za mnie Pietraś. - Chciałem zaintrygować terrorystę i spróbować ucieczki. Tutaj nie mamy żadnej szansy zwać im.

- Ze skrępowanymi rękami też daleko nie uciekniemy - wtrącił Ronald.

- I co? - dopytywał się Duncan. - Sprzedaliście temu rudzielcowi bajeczkę. Uwierzył?

- Tak jakby - mruknąłem.

Wzruszył ramionami. A ja zerknąłem w kierunku kolegi Pietrasia. Nic więcej nie mówiłem i starałem się przybrać tajemniczy wyraz twarzy. Pietraś zaś milczał ze spuszczonym wzrokiem, od czasu do czasu zezując na Susan. Taka taktyka mogła wyprowadzić z równowagi Benettonównę, jeśli, rzecz jasna, miała nieczyste sumienie.

- Tak więc żadnego sygnału pan nie nadał? - podjął wątek Paul. - Szkoda. Mieliśmy nadzieję.

- To pobożne życzenia - wtrącił załamany Ronald i poruszał zakrwawionymi stopami. - Mr. Daniec wyłączył przy mnie jeden z monitorów w podziemiach. Potem pobiegliśmy tunelem podziemnym do przybudówki i zeszliliśmy do miasta. Żadnych sygnałów nie nadał.

- To kto rozwalił te monitory?

- Nie wiem, braciszku.

Nagle kolega Pietraś zwrócił się do mnie po polsku, co wywołało wśród Amerykanów lekkie zaniepokojenie.

- Może by zapytać tę całą Susan, jakim cudem ma na sobie ubranie? - zapytał z przejęciem. - Przestańmy się bawić w podchody.

- O czym mówicie? - zainteresował się Paul. - O Susan?

- Kolega Pietraś przypomniał mi pewną rzecz - zwróciłem się do nich. - Nurtuje go pewna sprawa dotycząca Susan. Szkoda, że ona nie może odpowiedzieć.

Wyczerpana płaczem Susan zabełkotała coś, lecz taśma na ustach uniemożliwiła prawidłową mowę.

- Słucham? - wbił we mnie badawczy wzrok Paul.

- Jakim cudem Susan ma na sobie ubranie? - zacząłem. Milczeli, nie wiedząc do czego zmierzam, więc mówiłem dalej. - Wszyscy z nas, oprócz Johna Deppa i jego znajomej, jesteśmy w pidżamach. Nic dziwnego. Zaskoczyli nas podczas snu, w łózkach. Mr. Depp miał okazję uwolnić się, to i się ubrał. Ale reszta?

- Do czego zmierzasz? - skrzywił się z niesmakiem Duncan.

- Już wiem, David - przerwał mu Paul. - Jako że moja córka nie może mówić, odpowiem Mr. Dańcowi. Otóż, nie każdy zasypia w pidżamie o przyzwoitej porze. Niektórzy kładą się w ubraniu na łóżku i do późna czytają ulubioną lekturę. Tak robi Susan. Już od dziecka tak robiła...

- Zasnęłaś w ubraniu? - zerknąłem na nią.

Przytaknęła i spuściła wzrok. Zaczęła pociągać głośno nosem, gdyż taśma na ustach utrudniała jej oddychanie. Miała katar.

- To chyba jedyne logiczne wyjaśnienie - dorzucił Duncan.

W sali zapanowała niezdrowa cisza. I nie trwała długo. Oto bowiem do salonu wpadli wściekli Gareth z Kamerzystą.

- Zaklej im usta! - rozkazał Gareth. - Koniec konwersacji!

- Co się dzieje? - zapytał Paul Benetton.

- Zamknij się!

Zaklejono nam usta plastrem. Nie mogliśmy już ze sobą rozmawiać. Po chwili nie patrzyliśmy już na siebie, gdyż Gareth wydał kompanowi kolejny rozkaz.

- Zaklej im oczy! Wszystkim!

- Już się robi!

Na nic zdały się nasze protesty. Kamerzysta śpieszył się i nie starał się być zanadto delikatny. Potem nas wyprowadzono z salonu i poprowadzono korytarzem, w którym nasze kroki dudniły niczym marsz skazańców. Czasami ktoś wpadł na donicę i jęknął z bólu, inny potknął się o nogi drugiego. Terrorysty popędzali nas w kierunku holu, spędzali jak bydło, krzyczeli przy tym nerwowo. Wreszcie trafiliśmy na hol. Jednostajny szum wirników helikoptera dochodzący z zewnątrz, upewnił mnie, że maszyna była zdolna do lotu. Tak więc pilotowi udało się naprawić uszkodzony przez Deppa pulpit sterowniczy i mechanizm żyroskopowy. Mniejsza o detale. Zastanawiałem się raczej, dokąd chcieli nas stąd wywieźć? I skąd ta nagła zmiana planów? Mogłem się tylko domyślać, że powodem była obecność na zamku tajemniczego osobnika. To pewnie on napędził terrorystom strachu. Inna sprawa, że moja historyjka o nadaniu sygnału SOS wzmocniła w nich obawy przed nieznanym intruzem i jednocześnie uwiarygodniała wersję z atakiem policji.

Wypchnęli nas na dziedziniec. Hałas wytwarzany przez łopaty wirnika był nieznosny. Tak samo dokuczliwy stał się chłód zbliżającego się poranka.

- Co ty zrobiłeś?! - niósł się po dziedzińcu krzyk Ursuli Pappani.

- O co ci chodzi?! - zdenerwował się Gareth.

- Po co nam oni wszyscy?

- Co?! Mów głośnie!

- Wszystkich nie zabierzemy! Wyprowadź tych tutaj! Pakuj tylko Benettonów!

- Dobra, dobra!
- A prawnik?!
- Tego też. To prawie rodzina. Johna Deppa zostaw!
- A nagranie?
- Innym razem! Niedługo porwiemy Toma Hanksa, to nam strzeli ekstra przemówienie w obronie zwierząt!
- Lepszy Hanks niż Arnold Schwarzenegger.
- Nie dałbyś mu rady! Zaprowadź ich z powrotem do zamku! I przynieście skrzynię!
- Już się robi!

Ta wiadomość dodała mi otuchy! Poczułem się lżejszy. Chłód jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zamienił się w ciepły powiew. Z krótkiej wymiany zdań pomiędzy terrorystami wynikało, że nie zdążyli spalić obrazów. Zabierali ze sobą Benettonów oraz skrzynię z płótnami. Nie zdążyli ich zniszczyć! Hurra! Duży Jetranger zatem się przydał. Ale czy był to z góry przygotowany plan, czy po prostu zabierali Benettonów i obrazy spontanicznie? Tego nie wiedziałem, lecz pewnie musieli zakładać, że w razie nieprzewidzianych okoliczności będą musieli zabrać ze sobą kilku „cennych” zakładników. I taka okoliczność właśnie miała miejsce.

Trafiliśmy z powrotem na hol, skąd odeskortowano nas do salonu. Tam rzucono nas brutalnie na dywan, na szczęście miękki i przyjemny w dotyku. Na końcu zamknięto drzwi na klucz.

Nie mogliśmy rozmawiać. Zamieniliśmy się zatem w głązy, leżąc nieruchomo na dywanie. Po kilku minutach do naszych uszu doleciał stłumiony warkot helikoptera. Terrorysty odlatywali w nieznane.

Nie wiem, ile czasu leżeliśmy w niewygodnej pozycji. Znudziło mi się dość szybko. Wstałem, zrobiłem krok, dwa i natrafiwszy na leżącą nogę któregoś z zakładników, runąłem do przodu jak ścięty. Skapitulowałem. Od drugiej w nocy byłem bowiem na nogach, do tego dochodziła jeszcze różnica czasu pomiędzy Warszawą a Nowym Jorkiem, wysiłek i stres, jaki towarzyszył nam na zamku i poza nim, urazy i krwawiące stopy. Wreszcie strach - najpierw o życie, potem o dzieła sztuki.

Nie bałem się już o nas. Nawet los Benettonów przestał mnie interesować. Terrorysty nie chcieli zrobić im krzywdy - a uzyskać pięć milionów dolarów. Po jakimś czasie z powrotem zacząłem martwić się o kolekcję Teda Benettona! Co stanie się z obrazami? Dokąd odlecieli z cennym ładunkiem terrorysty? I jaki układ zostanie zawarty z Benettonami? I najważniejsze - czy obrazy mogły być falsyfikatami? Jeśli tak, to kto je tam umieścił? Paul Benetton? Głosował za zniszczeniem obrazów, więc stawiałem na niego. Dobrym typem był jeszcze Duncan.

„Nie, to jakaś bzdura” - pomyślałem. „Terrorysty blefowali. To jakiś żart. Z drugiej strony, może lepiej, gdyby w skrzyni znajdowały się falsyfikaty. Jeśli terrorysty zamierzali je zniszczyć!”

Kiedy już oddaliłem od siebie myśl o fałszywych obrazach, zrobiło mi się żal spalonych dzieł Śleńdzińskiego, Szukalskiego i Kamienobrodzkiego. To był cios dla polskiej kultury i z pewnością nad Wisłą zrobi się niezły szum w środowisku kultury. A już na pewno niezadowolona będzie „góra”. Nie udało się uratować polskich obrazów, nie mogłem nic zrobić. Dopadło mnie zwątpienie. Miałem dość tego zamku. Marzył mi się gorący prysznic i wygodne łóżko. Podałem się biernej nadziei, że oto

zbłąkany lub przypadkowy turysta zjawi się wreszcie na zamku i nas uwolni. I tak też się stało. Po dwudziestu minutach drgnąłem na dźwięk przekręcanego klucza w zamku drzwi. Ktoś wchodził do salonu. Usłyszałem amerykańską mowę, kroki kilku osób. Ku mojemu zaskoczeniu ktoś „zaszeleścił” nawet słowiańszczyzną. Znałem ten głos.

Uwolniono mnie jako trzeciego. Pierwsi dostąpili tego zaszczytu Johnny Depp i jego dziewczyna. Po mnie przyszła kolej na Pietrasia. W salonie kręcili się już agenci ochrony wynajęci przez Benettona, ci sami, których widziałem wczoraj wieczorem, tyle że byli jacyś osłabieni i wymięci. A towarzyszył im kuzyn Pietrasia, pan Zdzisław Mazur z Greenpointu.

W tym czasie aktor nawijał i krzyczał coś o skandalu! Kategorycznie domagał się kontaktu z prasą, w związku z czym jego przyjaciółka wybiegła zawiadomić media. Nie tracił czasu nasz zarozumiały gwiazdor, choć trzeba przyznać, że był z niego odważny człowiek. Nie każdego byłoby stać na walkę z terrorystami i brawurą ucieczkę. Kolega Pietraś wyściskał się porządnie ze Zdziśkiem, poklepywali się po plecach i rechotali. A ja patrzyłem na nich z rozdziawioną gębą, nie mogąc pojąć, skąd wzięli się tutaj ci wszyscy ludzie.

- Co pan tutaj robi? - wyrzuciłem w końcu z siebie.

- Ja? - wzruszył ramionami Zdzisław. Był tak samo oszołomiony jak i my. - Siedzieliśmy z kumplami do rana i w końcu odbiło nam, mówimy, pojedziemy do Tarrytown, do rodaka i kuzyna. Zrobimy Jasiowi niespodziankę. Wsiadliśmy do samochodu Tadka...

Uklonił się nam jego towarzysz.

- ...no i zajeżdżamy tutaj do zamczyska. Patrzymy, a tu wielki helikopter odlatuje. A na dziedzińcu pusto. Nikogo! Wchodzimy do recepcji i słyszymy jakieś krzyki... pobiegliśmy do drugiego skrzydła i znaleźliśmy tych panów.

- Byli związani - wtrącił Tadeusz. - Panowie są ochroniarzami!

Potem obejrzałem sobie bibliotekę. Oczywiście zniknęła stąd skrzynia i obrazy ze sztalug. Oddychałem głęboko i nie zauważyłem, że obok mnie stanął jeden z ochroniarzy. Za nami rozmawiali wciąż podekscytowani Pietraś i rodacy z Greenpointu.

- Ktoś tu był w nocy - spojrzął na mnie zmęczonymi oczami ochroniarz.

- Żeby pan wiedział - pokiwałem głową. - Ile osób tu się kręciło. Prawie jak na stacji Grand Central.

- Nie to mam na myśli - spoważniał jeszcze bardziej.

- A co takiego?

- Dwóch nas zaatakowano około drugiej w nocy - wyjaśniał. - Prawdopodobnie dosypano nam wcześniej czegoś do picia i dano w łeb. Znaleźliśmy się tutaj. Wrzucono tu także personel hotelu i dwóch innych naszych. W sumie było nas kilkanaście osób, związanych i zakneblowanych. Obrazy cały czas tutaj były, kręcili się terroryści, bo zdobyli od jednego z naszych kody dostępu do elektronicznego mechanizmu w drzwiach. Siłą go zmusili. Wiem, bo już się ocknąłem. Przyszli po kilka obrazów i wyszli, zamknawszy drzwi na elektroniczny zamek.

- Zabrali dzieła polskich malarzy - westchnąłem z żalem.

Przez chwilę przywołałem w wyobraźni autoportret Szukalskiego, dwa obrazy Słędzińskiego i akwarelę Kamienobrodzkiego. Widziałem je w tym oto

pomieszczeniu, zanim nie spłonęły na dziedzińcu. Już nikt ich nie ujrzy. Kto wie, może byłem ostatnim, który na nie patrzył?

- Nie o to mi chodzi - wyrwał mnie z zamyślenia ochroniarz. - Tutaj ktoś później przyszedł. Jakimś cudem znał kod dostępu i otworzył elektronicznie strzeżone drzwi. Jako że od pewnego czasu byłem już przytomny, choć wciąż otumaniony, przemówiłem do gościa. Potraktował mnie jednak gazem. Nie widziałem jego twarzy ani sylwetki, zresztą było ciemno. Intruz wszedł głębiej i używał latarki.

- Nic z tego nie rozumiem - wyszeptalem poruszony opowieścią. - Kim był ten człowiek? Terrorystą?

- Terrorysta nie musiałby traktować mnie gazem. Czego miałby się obawiać? A ten, co tu był, zachował daleko posuniętą konspirację. Terrorysta zapaliłby światło i najwyżej dał mi solidnego kopniaka. Nie wiem, kto tu był i czego szukał. Nie mam pojęcia. Wiem natomiast, że podszedł do obrazów. Oglądał jeden z nich. Głowy nie dam, ale wydaje mi się, że zwinął van Gogha, bo stał na środku.

- Van Gogha?! - poczułem ścisk w żołądku.

- Jak mówię, głowy nie dam. Teraz tego nie sprawdzimy, bo terroryści wszystko zabrali. Pewnie sami niedługo dojdą, że brakuje im jednego obrazu.

Opowieść agenta ochrony znowu sprowadziła mnie na ziemię. Brzmiała jak dalszy ciąg niekończącego się koszmaru. Byłem jednak zbyt zmęczony, aby z tego tytułu doznać metamorfozy. Jedno było pewne - terroryści nie połapali się, że brakuje im najcenniejszego obrazu van Gogha. Czyżby uwierzyli swojemu informatorowi, że kolekcja jest fałszywa? Po stokroć - nie, gdyż zabrali ze sobą skrzynię. A jeśli nie zauważyli braku van Gogha, świadczy to o jednym, że kompletnie nie znają się na malarstwie albo tak się śpieszyli, że nie zauważyli zguby. Ochroniarz potwierdził zaraz, że pakowanie obrazów do skrzyni odbyło się w pośpiechu i rudy terrorysta, który to robił, raczej nie zauważył „manka”. Bardziej interesująca była osoba złodzieja.

- To był ten, który zniszczył monitory w piwnicy - wyszeptalem. - Złodziej van Gogha.

Staliśmy w milczeniu i oglądaliśmy pustą salę, w której terroryści zostawili po sobie jedynie sztalugi i bałagan. Z zamyślenia wyrwał nas sygnał policyjnej syreny. To zawiadomieni przez ochroniarzy stróże prawa zjawili się wreszcie na zamku. Czekają nas teraz męczące zeznania, lecz niczego bardziej nie pragnąłem jak rozwiązania tej sprawy. Dorwać terrorystów i tajemniczego złodzieja - oto było moje credo. Przedtem jednak przydałoby się trochę snu.

Idąc w stronę holu zapytałem pana Mazura:

- Przepraszam, czy jeździ pan białym dodge'm pickupem?

- Nie, czerwonym - odpowiedział nieco zdziwiony. - Ale nie pickupem. Czemu pan pyta?

- Bo nie zrobiłem tego wczoraj na Greenpoincie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

**SZUM PRASOWY, CZYLI JOHNNY DEPP BOHATEREM * POZNAJĘ PRAWDZIWA
REPORTERKĘ * NIE POTRZEBA NAM PRYWATNYCH DETEKTYWÓW! *
URSULA MÓWI * BIAŁY DODGE NIE DAJE MI SPOKOJU * PIERWSZE WIEŚCI * O
DIECIE WEGETARIAŃSKIEJ * SURFUJE, CZYLI CO WIEMY O BENETTONACH? *
W TARRYTOWN * WIZYTA NA POSTERUNKU * DOKĄD POJECHAŁ PIETRASZ? *
NA POLICYJNYM PARKINGU * BRAK WIEŚCI O BENETTONACH I OBRAZACH**

W popołudniowej prasie lokalnej mogliśmy już przeczytać o wydarzeniach na zamku w Tarrytown. Wieści szybko się tutaj rozchodziły, lecz prawdziwy szok spotkał nas, gdy kupiwszy prasę, przeczytaliśmy kilka świeżych tytułów: „Gwiazda z Hollywood ratuje zakładników!”, „Prawdziwa rola Johna Deppa”, „Bohater przybył z Hollywood”... i tak dalej w podobnym stylu. Jeśli zagłębić się w treść tych sensacyjnych artykułków, można było wyczytać o bohaterskiej postawie gwiazdora, jego ucieczce i nieziemskiej wręcz odwadze. Ciągłe powtarzano - Johnny Depp i Johnny Depp. Słowem nie wspomniano o koledze Pietrasiu oraz o mnie. Nie za wiele miejsca poświęcono także rodzinie Benettonów, nadmieniono, że zostali porwani, ich los nie jest znany i nie wiadomo nic o losie kolekcji obrazów zabranych przez terrorystów. W niektórych gazetach można było przeczytać o T.O.E., podawano tam plotki i snuto sensacyjne domysły na temat tej organizacji. W jednym tylko wieczornym wydaniu wspomniano o uczestniczących na zamku gościach z zagranicy, nie wymieniając żadnych nazwisk ani kraju naszego pochodzenia. Na koniec dowiedzieliśmy się, że w Teksasie płonie szyb naftowy Paula Benettona. Było jasne, że to sprawa T.O.E.

Zrobił się szum. Nas - gości hotelowych - przepytywano jeszcze długo. W południe odwiedziła nas ekipa Polonusów z Manhattanu, przyjechał z nimi także przedstawiciel konsula. Musieliśmy nie tylko spowiadać się przed policją, ale udzielać wyczerpujących odpowiedzi rodakom, gdyż każdy był ciekawy historii z terrorystami. Dopiero po południu pozwolono nam odjechać. Nie podzielono się z nami żadnymi szczegółami, anulowano w tym dniu wszelkie rezerwacje i odesłano dotychczasowych gości do domów. Policja i FBI przejęły śledztwo. Pozwolono nam zabrać swoje samochody z parkingu, choć z początku było z tym dużo kłopotów i zamieszania. Kilka pojazdów pomocy drogowej kursowało nieustannie z miasteczka na szczyt góry, dowożąc naprawione koła.

- Jakiś zakład wulkanizacyjny zbiera żniwo! - żartowaliśmy.

My mieliśmy to szczęście, że pomógł nam Zdzisław Mazur ze swoim kumplem Tadeuszem.

Jedynie biały pick-up dodge, o którego nikt się nie zatroszczył, stał samotnie w cieniu wysokiej sosny kalifornijskiej. Od wypolerowanej karoserii odbijały się ostre promienie słoneczne. Nikt nie przestawił samochodu, nikt się do niego nawet nie zbliżył. Obsługa hotelu nie miała pojęcia, kto przyjechał tym pickupem. Jak się domyślałem, odpowiedź na to pytanie została zapisana na kasecie rejestrującej obraz z kamer umieszczonych na zamku, jednak zapis ten został przez kogoś przezornie zniszczony. Osoba tajemniczego właściciela dodge'a spędzała mi sen z powiek. Na równi z losem Benettonów i ich skarbami, interesował mnie ów osobnik.

Poznaliśmy wreszcie prawdziwą ekipę telewizyjną. Okazało się bowiem, że reporterka lokalnej stacji telewizyjnej znikła wczoraj wraz z dwoma asystentami. Po prostu terroryści przywłaszczyli sobie nie tylko sprzęt prawdziwej ekipy, lecz także ich tożsamość. Tak samo owi robotnicy naprawiający portal byli podstawieni. Trzy dni temu któryś z gości rozbił nieuważnie fragment muru i na drugi dzień zjawiała się dwuosobowa ekipa robotników dowodzona przez rudego majstra - znanego nam z imienia Gareth. Jak powiedzieli właściciele zamku - robotnicy przyszedli w zastępstwie ekipy stale świadczącej tu usługi. Jak się później okazało, prawdziwą ekipę robotników odnaleziono w niedługim czasie w samochodzie na ogromnym parkingu ciągu marketów pod Elmsford. Byli zamroczeni i związani. Całość operacji, jak sami widzicie, była znakomicie przygotowana.

Największą dla mnie zagadkę stanowił tajemniczy osobnik, który znał kod dostępu do drzwi chroniących skarby biblioteki. Ten „ktoś” zakradł się tam w nocy, a także zniszczył wszystkie monitory w podziemnym centrum i nagrania z wszystkich kamer. To było zastanawiające i wskazywało, że osobnikiem tym mógł być ktoś z gości hotelowych. Ktoś bardzo obawiający się zdemaskowania? Zgadywaliśmy, kto mógł nim być? Odrzuciliśmy kandydaturę jednego z terrorystów, gdyż oni zdawali się przerażeni obecnością tajemniczego osobnika na zamku. Nie był to także nikt z Benettonów, gdyż wszyscy oni zostali obezwładnieni razem z nami.

Pierwsze zeznania złożyliśmy na zamku. My - główni aktorzy przedstawienia - poszliśmy na pierwszy ogień. Potem zajęto się pozostałymi gośćmi, sprowadzono lekarza i zadbano o zdrowie niektórych osób. Potem nakazano mnie i Pietrasiowi stawić się na posterunku w Tarrytown i odpowiedzieć na kilka dodatkowych pytań, tym razem związanych z dziełami sztuki.

- Podobno jest pan detektywem - westchnął policyjny detektyw, zerkając do jakichś akt. - Tak tu napisano. Kiedyś pomógł pan FBI w odzyskaniu obrazów.

- Tak było - odpowiedziałem grzecznie.

- Bardzo dobrze, że użył pan czasu przeszłego - uśmiechnął się glina. - Napisano tu, że lubi pan działać na własną rękę i jest niepokorny. Proszę zatem zapomnieć o jakichkolwiek wygłupach. Wystarczy nam, że mamy na karku FBI. Nie potrzeba nam prywatnych detektywów. Jasne, Mr. Daniec?

- Chciałbym jednak być jednym z pierwszych, którzy dowiedzą się o dziełach sztuki - rzekłem na odchodnym.

- Pewnie - poklepał mnie przyjacielsko po ramieniu.

Nie uwierzyłem mu. Kiedy w poczuciu bezradności opuściliśmy ładny i zadbane budyneczki policji mieszczący się w miasteczku niedaleko rzeki, pierwsze kroki skierowaliśmy właśnie nad Hudson. Znaleźliśmy tam restaurację, w którym to lokalu spotkaliśmy się z Ursulą Pappani - reporterką lokalnej stacji telewizyjnej. Terrorystka posługująca się tym nazwiskiem, przywłaszczyła sobie nie tylko nazwisko tej kobiety, samochód plymouth, kartę kredytową, ale nawet fizjonomię. Dzisiaj Ursula miała na sobie jasną marynarkę założoną na zwykły T-shirt.

Prawdziwa Pappani przyznała się, że przedwczoraj śledziła mnie z dwoma asystentami na Manhattanie. Byłem podobno detektywem, który kilka lat temu rozwiązał zagadkę związaną z jakimiś obrazami. W Stanach zdobycie choćby lokalnej sławy było osiągnięciem. Moja trwała już, jak widać, kilka lat. Przynajmniej w

pewnych kręgach o mnie nie zapomniano. A zatem w Greenwich Village widziałem prawdziwą dziennikarkę. Wczoraj zaś ekipa telewizyjna od rana siedziała w White Plains, więc to nie oni śledzili nas w drodze do Tarrytown (tym bardziej że jeździli plymouthem). Zostali podstępnie zaatakowani przez terrorystów w drodze na zamek w godzinach popołudniowych. Obezwładniono ich szybko i gładko. A przetrzymywano w starym domu w Hawthorne obok ruchliwej szosy.

- Myślałem, że to wy mnie śledziliście w drodze do Nowego Jorku? - wspominałem.
- I później nad rzeką Hudson?

- Nie - zaprzeczyła ruchem głowy. - Tylko na Manhattanie. Zdobyłam twój rysopis i nazwę hotelu w Greenwich Village, gdzie się zatrzymaliście. Widzieliśmy się przelotnie wieczorem w klubie. Zauważyłeś, że cię obserwuję. Wcześniej nagraliśmy was z ukrytej kamery. Jednak tego samego wieczora wróciliśmy do White Plains. Teraz wszyscy żyją porwaniem Benettonów i sprawą zagrabionej kolekcji, i tylko Johnny Depp zbiera laury.

Upiłem nieco kawy. Terrorystka odegrała reporterkę tak dobrze, że w zamku nie zauważyłem różnicy! Falszywa założyła bowiem skórzaną kurtkę Ursuli, miała też ciemną perukę na głowie. Perfekcja.

- Dziwne - zerknąłem na magistra. - Ten dodge pickup ciągle mnie intryguje.

- Fakt - przytaknął. - Jest w tym trochę niezdrowej obsesji. Najpierw myślałeś, że to Zdzisiek pojechał za nami. Potem, że telewizja! Ale to musieli być terroryści.

- Raczej nie oni - mruknąłem. - Kiedy biały dodge pickup śledził nas nad rzeką, napadnięto na Ursulę, zabierając jej plymoutha i sprzęt nagraniowy. A „robotnicy” udawali, że naprawiają portal. Kto z nich miałby za nami jeździć?

- To kto przyjechał białym pickupem? - zastanawiał się kolega Pietraś.

Wpatrywaliśmy się w leniwie toczone wody Hudson, które rozlewały się hojnie za tarasem. Nikt z nas nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

- Wiemy tylko, że białym dodge’em jeździł złodziej obrazu - odezwał się po chwili. - Prawdopodobnie van Gogha, lecz nie można tego teraz ustalić, gdyż nie mamy skrzyni z kolekcją. Ów złodziej śledził nas od dłuższego czasu. Już w Nowym Jorku! Bo przecież jechał za nami do Tarrytown. Nie tylko więc Ursula mnie tam śledziła. Tajemniczy złodziej także tam był. Przyjechał do Tarrytown białym pickupem. Tuż przed nami. Później cały czas bawił na zamku. Niewiarygodne. Bał się zdemaskowania do tego stopnia, że popsuł wszystkie monitory i nagrania z kamer z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Oczywiście, nie odważył się odjechać dodge’em spod zamku. Nie jest głupi. Ten człowiek jest przebiegły. Miał do wykonania przygotowaną w najdrobniejszych szczegółach kradzież. Znał nawet kod dostępu do biblioteki. Ukradł obraz. I uciekł. Na zamku trwało przygotowane przez T.O.E. przedstawienie, lecz w tle pobrzmiwał kpiący chichot nieznanego osobnika.

W pewnym momencie zadzwoniła komórka Ursuli. Reporterka rozmawiała z kimś długo i w końcu się rozłączyła.

- Mam wieści odnośnie dodge’a - popatrzyła na mnie z triumfem w oczach. - Tylko nie mówcie nikomu.

- Nikomu ani słowa.

- Wczoraj ukradziono w Nowym Jorku białego pickupa. Policijni technicy pracują nad nim, lecz z pierwszych ustaleń wynika, że auto jest „czyste”. Żadnych odcisków palców, żadnych przedmiotów, niczego.

- A co z Benettonami? - zapytałem.

- Wciąż nie wiadomo. Ale jest dobra wiadomość. Ugaszono szyb naftowy w Teksasie. Policja przekopuje listę gości hotelowych na zamku, ale potrwa to jakiś czas.

- Osobiście wątpię, że go znajdą.

- Paweł jest malkontentem - westchnął kolega Pietras.

- Nie - odpowiedziałem spokojnie. - Po prostu nasz „ktoś” ukradł pickupa, więc pewnie ukradł jakieś nazwisko.

Wnet opuściliśmy lokal. Należało znaleźć teraz jakiś nocleg. Pomogła nam Ursula Pappani.

- Znam niedrogi motel w Elmsford - powiedziała. - Przy trasie 9A, zwanej New Saw Mill River Road.

Zerknąłem na mapę. Wspomniana przez reporterkę trasa w okolicach Elmsford biegła niemal równoległe do Saw Mill River Pkwy, którą przyjechaliśmy z Nowego Jorku do hrabstwa Westchester. Małe miasteczko położone na nierównym terenie leżało stosunkowo blisko zamku, choć nieco na uboczu i w razie potrzeby mieliśmy z niego dobry punkt wypadowy.

Zajęliśmy motel, powiadomiliśmy policję w Tarrytown i konsulat o miejscu postoju. Nie chciało nam się spać, mimo że czuliśmy się wyczerpani. W związku z tym umówiliśmy się na kawę i ciastka w zwykłym Dunkin Donuts przy jednym z wyżej położonych skrzyżowań we wschodniej części sennego miasteczka. Roztaczał się z tego miejsca cudowny widok na majestatyczne, zielone wzgórze w oddali, upstrzone miejscami gromadą szarych domów i trakcją sieci elektrycznej.

W barach Dunkin Donuts na całym świecie jest tak samo - ten sam wystrój, kubeczki i rodzaj ciastek. Może tylko w Polsce za ladą nie krzątają się czarni sprzedawcy. Miejsce to niezbyt przypadło mi do gustu.

- Chodźmy na jakiś stek po amerykańsku - zaproponowałem z bolesną miną. - Żeby skwierczał na oleju i był duży jak moja głowa.

Opodal trasy 9A znaleźliśmy niezbyt wyszukaną knajpkę, w której serwowali jednak smaczne steki. Ursula odmówiła posiłku, tłumacząc się wegetariańskimi skłonnościami.

- Jak to jest z wami, wegetarianami? - rzekłem w oczekiwaniu na danie. - W jaki sposób dostarczacie organizmowi białko? W końcu białko roślinne, to z soi lub fasoli, jest dalekim kuzynem zwierzęcego. A tylko takie proteiny są najlepiej przyswajalne przez nasz organizm. I co z tłuszczami? Ponoć tłuszcz był pokarmem egipskich kapłanów. Wiem o tym, bo trochę studiowałem historię.

- Dokładnie historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim - uśmiechnęła się.

- Widzę, że wiesz o mnie wszystko.

- Prawie. Ale nie masz racji z tą dietą. Przecież człowiek pochodzi od małpy, która jest roślinożerna.

- Niektóre z nich żywią się mięsem - odparłem. - Z tego co wiem, nasi przodkowie mieli krew grupy „0”. To najstarsza grupa krwi, charakterystyczna dla ludzi - mięsożerców. Ludzie z grupą „A”, czyli „roślinożercy” pojawili się kilkanaście tysięcy

lat później. A zatem nasi przodkowie byli istotami mięsożernymi. Zresztą nasz żołądek i długość jelita cienkiego świadczy o drapieżnym rodowodzie. Mamy też kły, kolejny atrybut drapieżnika!

Przyniesiono nam steki. Ursula wzięła sałatkę.

- Smacznego - bąknęła reporterka. - Przyjechałeś z kraju, w którym niedźwiedzie chadzają po ulicach.

- Mam się obrazić? - posłałem jej uśmiech. - Gadasz jak Ursula Pappani, oh, sorry, jak ta terrorystka, która cię małpowiała. I jak rudy Gareth, który wypominał mi słowiańskość. Polska to dla was koniec świata. Chodzą tu takie dowcipy o Polakach. Różne, przeważnie głupie. Na przykład: czym się różni polski pogrzeb od wesela? Tylko tym, że na tym pierwszym jest o jednego pijanego mniej. Zapomnieliście już o Kościuszcze i Pułaskim, którzy walczyli o waszą wolność?

- Przepraszam, jeśli cię uraziłam - powiedziała szczerze. - Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Po prostu szkoda mi tych zabijanych na kotlety zwierzaczków. Zobacz, jak ludzie tyją od tłuszczu zwierzęcego!

- Dziwne. Macie coraz więcej produktów bez tłuszczu, a na ulicach widzę coraz więcej otyłych. Więcej niż na przykład w takiej zacofanej Polsce. A kiedy mam przyjemność obcowania z wegetarianami, to mają oni dziwnie ziemistą cerę i okropnie radykalne poglądy, które łagodzą medytacjami Zen.

- Nie mówisz mi na kotleta - spochmurniała. - Że ja mam ziemistą cerę?!

- Ty akurat nie!

- I nie jestem buddystką.

- Nie ma to jak nasz polski schaboszczak - westchnął zabawnie kolega Pietraś.

- A żebyś wiedział - zrobiłem rozmarzone oczy i dziabnąłem sztukę mięsa na talerzu.

- Ale stek jest niczego sobie.

Ursula Pappani pokiwała z dezaprobatą głową.

- Masz szczęście, że jestem potwornie zmęczona. Nie mogę dojść do siebie po tym porwaniu. Gdybym była w formie, sfilmowałabym was i pokazała na lokalnym kanale jako drapieżników znad Wisły.

- Och, jakie szczęście, że T.O.E. was schwytła i przetrzymywała w starym domu - śmiałem się. - Jak to dobrze, że jesteś zmęczona.

- Jesteś okropny - westchnęła.

Nasza rozmowa była prowadzona w lekkim i żartobliwym tonie. To było klasyczne przedrzeźnianie się. Zawsze w obecności ładnych i atrakcyjnych dziewczyn, ulegałem magii ich urody i prowadziłem subtelną grę według zasady - kto się lubi, ten się czubi.

Ursula była zmęczona, więc umówiła się z nami na następny dzień. Posiłek nas zmorzył, więc machnąłem ręką na zwiedzanie. Udaliśmy się do motelu, gdzie w ubraniu walnąłem się na łóżko.

Spałem trzy godziny. Wstałem pod wieczór obudzony chrapaniem kolegi Pietrasia. Czułem rozdrażnienie i ból całego ciała. Piekły mnie poranione stopy, pękała głowa. Dla wykrzesania z siebie odrobiny życia zrobiłem sobie kawę i wziąłem letni prysznic. Potem znalazłem jakieś przeterminowane maści i posmarowałem nimi porządnie stopy. Na bolące udo nie miałem żadnego lekarstwa. A jak się przebrałem w nowe ubranie, to kuśtykając poszedłem na parking po laptopa, który trzymałem w bagażniku wehikułu. Księżyc wyprowadził na spacer po nieboskłonnie swoją trzódkę złożoną ze złocistych

punkcików, a lekki wiaterek smagnał mój policzek. Lecz powietrze jeszcze się nie ochłodziło. Było ciepło. Samochody hałasowały na ulicy i w tej automobilowej melodii było coś usypiającego. Wpadłem w jakąś chandrę, trochę pewnie ze zmęczenia, a trochę z powodu ostatnich wydarzeń na zamku. Z tego wszystkiego zapomniałem zadzwonić do Polski i poinformować zwierzchnika o nieszczęściu, jakie nas spotkało na zamku. Spalone obrazy nie dawały mi spokoju, lecz tak wiele się działo, że czasami zapomniałem o stracie, jaką poniosła polska kultura.

Myślamy powróciłem na zamek. Do osoby Susan Benetton. „Czy dziewczyna naprawdę współpracowała z terrorystami?” - rozmyślałem. Jak to ustalić, nie wchodząc w konflikt z policją. I jak miałbym to zbadać? Przecież nawet nie wiedzieliśmy, co działo się z Benettonami!

Kiedy wróciłem do pokoju, magister chrapał jeszcze głośniejsze. Podłączyłem laptopa do sieci internetowej i szybko skonfigurowałem właściwości połączenia w skrzynce pocztowej. Już po chwili na ekranie laptopa załadowała się strona popularnego w Ameryce portalu. Trochę dla zabawy, ale i wiedziony intuicją zacząłem surfować w poszukiwaniu danych o Benettonach. Wyszukiwarka była hojna i wyrzuciła kilkadziesiąt stron z nazwiskiem „Benetton”. Przejrzałem kilka z nich - nic ciekawego. Potem szukałem „newsów” dotyczących afery na zamku w Tarrytown. Nic takiego nie udało mi się znaleźć, więc z powrotem wróciłem do Benettonów.

Po półgodzinie miałem przed sobą interesującą stronę o Paulu Benettonie wygrzebaną z zasobów jakiejś teksańskiej organizacji politycznej. Znajdowało się tam zdjęcie Paula, kiedy był on jeszcze młodym działaczem studenckim. Paul siedł na nim z innymi młodymi osobami w jednym szeregu, nieśli wielkie transparenty z napisami: „Give peace a chance”, co było hasłem zapożyczonym z tytułu popularnej piosenki zespołu „The Beatles”, protest-songu, w którym John Lennon nawoływał do pokoju i sprzeciwiał się wojnom na świecie. Dzisiaj ta piosenka wydawała mi się nieco uproszczonym, wręcz dziecinnyim spojrzeniem na rzeczywistość. Byłem historykiem, który wiedział, że dzieje świata będą torem, którego kolejne stacje wyznaczają wojny i konflikty. Człowiek nosił bowiem w sobie pierwiastki dobrego i złego, lecz nigdy nie było tak, żeby w jednym czasie u wszystkich ludzi na świecie przeważał ten jeden - dobry. Dlatego jedni napadali, inni chronili. Czasami wojna nie była kwestią wyboru, lecz zwykłą koniecznością. Świat bez wojen był ideologią słuszną, lecz, niestety, nierealną. Bajką dla grzecznych dzieci. Utopią.

Paul był demokratą - tak głosiła notka w Internecie. Urodził się dla polityki! O tym jednak dobrze wiedziałem. Był taki moment na zamku, że podejrzewałem go o dokonanie mistyfikacji, w której T.O.E. przypadła pierwszoplanowa rola. W tych podejrzaniach „pomogli” mi trochę wynurzenia Ronalda o rodzinie Benettonów. Sam Ronald też był dziwnym facetem. Dlaczego nie powiedział prawdy o zakupie prawie połowy akcji Benetton Oil. Zakładałem, że terrorystka mówiła na zamku prawdę. Wszyscy myśleliśmy, że bracia nie lubią się, a okazało się, że byli współnikami. To był ciekawy trop. Z ich rozmów przeprowadzonych na zamku nic takiego nie wynikało. Traktowali się z rezerwą, nierzadko celując we wzajemnych uszczypliwościach. Potem przenieśliśmy podejrzenia na hipotetycznego konkurenta Benettona, który chce zaszkodzić jego firmie. Ronald nie mógł nim być, skoro miał udziały w rodzinnym biznesie. Nie podobał mi się też osobnik o nazwisku David Duncan. Chociaż prawnicy

i doradcy zawsze robili na mnie ponure wrażenie. Ale najważniejszego odkrycia dokonał kolega Pietraś! Odkrył mianowicie, że Susan Benetton utrzymywała kontakt z terrorystami! I jeszcze ta rzekomo fałszywa kolekcja!

Odnalazłem połączenie ze stanowym uniwersytetem, na którym studiowała Susan.

- Historia sztuki - przeczytałem z ekranu. - Ten sam kierunek co ja.

Zacząłem szperać w zasobach owej uczelni, dokopałem się nawet do zdjęcia dziewczyny zrobionego trzy lata temu podczas jakiejś wyprawy do Europy. Rzym. Susan przed ruinami Koloseum. Z ekranu monitora patrzyła na mnie ładna i wesoła dziewczyna. Czyż takie stworzenie zdolne było współpracować z terrorystami? Była historykiem sztuki. Z pewnością kochała obrazy i rzeźby, a najlepszym tego dowodem było głosowanie na zamku. Susan pragnęła ocalić kolekcję dziadka!

Kolega Pietraś nakrył Susan Benetton rozmawiającą z terrorystą T.O.E. Był pewien, że rozmowa miała charakter konspiracyjny. Naradzali się - twierdził Pietraś! Czyżby Susan działała wbrew interesom ojca? A może wzorem dorastających panienek robiła mu na złość! Była jeszcze jedna opcja, że prowadziła jakąś z góry ukartowaną i wyrafinowaną grę?

Znowu powróciłem do sugestii kolegi Pietrasia na temat ubioru Susan. W momencie ataku terrorystów miała ona na sobie dżinsy i sweterek. Zaklinała się, że usnęła z książką u boku, co brzmiało wiarygodnie, lecz teraz miałem wątpliwości. Jeśli jakimś cudem współpracowała z terrorystami i wiedziała co nastąpi w nocy, mogła specjalnie nie przebrać się w nocną koszulę lub pidżamę. Wiedziała bowiem, że będzie wraz z innymi zakładnikami ganiana po zamku. Bała się o swoje zdrowie. I dlatego przezornie nie zdjęła z siebie ubrania. W dżinsach i sweterku łatwiej było znieść przeziębienie.

Oho, kolega Pietraś przebudził się i stanął za moimi plecami.

- Co to? - ziewnął i zbliżył głowę ku ekranowi.

- Benettonówna.

- Pamiętaj, Pawełku - ziewnął jak dziecko - że to ja ją zdemaskowałem.

- Nic nie możemy jej udowodnić.

- Gadanie - podrapał się po plecach. - Ciekawe, jak zareaguje pani minister, gdy dowie się, że wytropiłem Susan Benetton, a nie ty, as naszego wywiadu.

- Nie wiem - wzruszyłem ramionami. - Może zastąpisz mnie w Departamencie Ochrony Zabytków i zostaniesz współpracownikiem Pana Samochodzika?

Nagle uderzyłem dłonią o swoje kolano.

- Pojedziemy na posterunek - rzekłem. - Do Tarrytown! Na policję. Pewnie wiedzą o Benettonach więcej od nas, ale spróbujemy ich przekonać do współpracy. Nasze domysły mogą okazać się najważniejsze.

- A jak zapytają, czemu ukrywaliśmy to i owo?

- Pytali nas o fakty. Teraz przedstawimy im nasze domysły. To ubranie Susan...

Magister poszedł się ochłapać. Czekałem na niego, w dalszym ciągu surfując. Moją uwagę przykuł kolejny wycinek prasowy, tym razem o Davidzie Duncanie. Nic szczególnego, ale jeden fakt mnie poruszył. David Duncan również był związany w pewnym sensie z ekologami. Otóż, na stronie Towarzystwa Ochrony Praw Zwierząt widniał on na zdjęciu podczas uroczystej fety na część mianowania go honorowym prezesem owej szlachetnej organizacji.

- Jeszcze chwila, a pomyślę, że w Ameryce wszyscy zajmują się prawami zwierząt - mruknałem. - Nic innego nie robią, tylko bełkoczą o cierpiącym kawałku słoniny.

- Co? - usłyszałem za sobą głos magistra, który wyszedł już z łazienki.

- Popatrz! Duncan jest honorową szycią w organizacji zajmującej się prawami zwierząt, a jednocześnie doradca w Benetton Oil, czyli mówiąc po ekologicznemu, zatruwa środowisko. Trochę to dziwne, nie? Dlaczego terroryści o tym nie wspomnieli? Znali wiele szczegółów na temat Benettonów, kto ile akcji wykupił, a nie wiedzieli, że przebywający na zamku Duncan jest ich kolegą po fachu? Jak dalej posiedzę przy Internecie, to odkryję cały spiszek.

- Tak - mówił Pietraś, zakładając sweter. - Może po prostu praca u Benettona była bardziej intratna od ratowania zwierząt? Nafciarze słono płacą za usługi. Ale masz rację, osoba Duncana też jest podejrzana. Pamiętasz, jak Paul Benetton zarzucał mu zignorowanie anonimowych pogróżek?

- Racja! Jest nawet taka piosenka. O tym, że ojciec był strażakiem, a syn wzniecał pożary! Idealna spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Ubraliśmy się i wyszliśmy z motelu na rozgwieżdżoną noc. Ruch samochodowy jeszcze nie ustał, lecz atmosfera oczyściła się z piętą dnia. Był ciepły wieczór - idealny na spacer z dziewczyną albo spotkanie z przyjaciółmi przy stole zapelnionym dzbanami wina i półmiskami egzotycznych potraw. Tylko że nie mieliśmy przy sobie dziewczyn, ani nawet przyjaciół dysponujących suto zastawionym stołem.

Ruszyliśmy na zachód ku rzece Hudson, kierując się z początku drogowskazami. Prowadziła nas Tarrytown Road, która niebawem się rozwidłała. Skręciliśmy wprawo w Benedict Ave., którą nie tak dawno jechaliśmy. Jednakże za dnia droga prowadząca do miasta i na zamek wyglądała inaczej. Byliśmy wtedy ubożsi o doświadczenia okropnej nocy. Inaczej też prezentował się zamek na szczycie góry. Teraz - oświetlony sztucznym światłem reflektora - przyssał się do ciemnej gigantycznej skały, której widać było jedynie ciemny szczyt.

Znaną nam drogą dojechaliśmy do miasteczka, mijając po drodze zakręt do twierdzy. Wreszcie dojechaliśmy South Broadway do ładnie oświetlonego centrum z zabytkowymi kamienicami i kunsztownymi fasadami domów rodem z dawnej Europy. Posterunek odszukaliśmy bez trudu.

- Zostajesz w wozie? - zapytałem Pietrasia.

Kolega wołał poczekać w wehikule. Obiecałem szybki powrót.

Wewnątrz budynku miejscowej policji spotkał mnie zawód. Nie dość, że nie wpuszczono mnie za barierkę, to nawet nie poproszono żadnego oficera. Długo się przedstawiałem i wyjaśniałem, co robię w Tarrytown. Opisałem nawet z detalami przesłuchującego nas za dnia oficera. Dyżurny policjant ożywił się wreszcie i zadzwonił do kogoś. Potem w dość uprzejmy sposób poinformowano mnie, abym udał się grzecznie do motelu i zostawił śledztwo policji. Benettonów jeszcze nie znaleziono, lecz znalazł się porzucony helikopter. Nic nie wiadomo o obrazach. Żadnej nowiny w sprawie rzekomej kradzieży van Gogha.

Wyszedłem poirytowany oschłością tutejszych stróżów prawa (drugi raz w jednym dniu!). W jakiś sposób czułem się upokorzony. To ja lecę w nocy na posterunek złożyć dodatkowe zeznania, które mogą pomóc w śledztwie, a ci z uśmiechem na zblazowanej twarzy życzą mi dobrej nocy! Nie to nie!

Na schodkach budynku wychodzących na ulicę zdębiałem. Wehikuł zniknął. Nie było go w miejscu, w którym zaparkowałem. Stał w rzędzie kilku samochodów po drugiej stronie ulicy, ale w tej chwili go nie było. Wyparował. Obejrzałem się w prawo, potem w lewo - nigdzie śladu pojazdu. Nigdzie kolegi Pietrasia.

- Nie, tylko nie to - wycedziłem przez zęby. - Tylko nie to!

Jakaś starsza para idąca chodnikiem rzuciła w moją stronę badawcze spojrzenia. Posłałem im sztuczny „amerykański” uśmiech i wściekły ruszyłem chodnikiem na najbliższe skrzyżowanie, z trudem poruszając chorymi nogami. Mimo to rozglądałem się nerwowo na wszystkie strony, badając każdą uliczkę, każdy zaułek. „Dokąd pojechał Pietraś?” - zastanawiałem się. „Możliwe to, że go porwali?”

Wreszcie moim oczom ukazał się policyjny samochód, miejscowy patrol, który przystanął na chodniku obok drogerii.

- Dobry wieczór - przywitałem ich. - Nie widzieli panowie przypadkiem takiego dziwnego pojazdu...

I opisałem im wehikuł.

- Kto nim jechał? - zainteresowali się. - Stało się coś?

Nie, nie - uspokoiłem ich, widząc, że szykują się do interwencji. - To mój kolega. To znaczy mam nadzieję, że to był mój kolega. Wracam właśnie z posterunku. I kiedy wyszedłem na ulicę, mój pojazd zniknął. Z kolegą.

- To może faktycznie nie był twój kolega - zaśmiał się jeden z nich.

- Wsiadaj - rzucił kierowca policyjnego wozu. - Poszukamy go. Pokaż tylko nam swój paszport.

Pokazałem. Uspokoił się. Ten drugi, siedzący obok kierowcy sięgnął po radio i zapytał wszystkie patrolujące miasto i okolice wozy, czy nie widzieli przypadkiem dziwnego pojazdu przypominającego larwę owada ze ślepiami gada i kawałkiem szmaty na grzbiecie. Po chwili zaszumił głośnik, z którego popłynęła niezrozumiała dla mnie mowa kogoś z centrali. Facet nadawał dialektem. Nazwałem go „hudsonskim”. Okazało się szczęśliwie, że wehikuł odtransportowano na parking policyjny. Tak więc kolega Pietraś nigdzie nie odjechał. Nie porwali go terroryści ani kosmici, a policjanci!

- Źle zaparkowałem? - dziwiłem się.

- Nie - odpowiedzieli. - Któryś z mieszkańców doniósł, że widzi przed posterunkiem zaparkowany dziwny pojazd, mogący zawierać bombę. Wiecie, od 11 września, kiedy to wyparowały „Bliźniaki” z Manhattanu, ludzie są nerwowi. Boją się terrorystów. Jak tylko zauważą coś podejrzanego, natychmiast dają nam znać. Wielu z nich jest wolontariuszami współpracującymi z policją.

Wehikuł stał niedaleko komendy, na wypełnionym po brzegi parkingu, ogrodzonym wysoką drucianą siatką, za którą teren opadał w dół ku domom zbliżającym się do brzegu rzeki. Magistra Pietrasia zastałem rozmawiającego z parkingowym w małym budynku z wielkim oknem. Na nasz widok ucieszył się. A mnie spadł kamień z serca. Dzięki uprzejmości policjantów z drogówki, mojemu angielskiemu i dokumentom, udało się opuścić parking policyjny w miarę szybko, ku wielkiej uldze Pietrasia i rozbawieniu parkingowego.

- Dzięki - poklepał mnie po plecach kolega. - Co za naród. Już nie można spokojnie zaparkować! Mówię im, że stoimy w dobrym miejscu... że nie ma zakazu, a ci swoje. Przyjechali, wzięli na hol i na parking. Co za naród!

- Wzięli cię za terrorystę.

- Nie, to przez ten wehikuł. Wygląda jak tajna broń Saddama. Dobrze, że się zjawiliś. Dzięki. Już miałem dzwonić do naszego konsulatu na Manhattanie.

- I tak musimy to zrobić - westchnąłem. - Jutro czekają nas telefony i wiele rozmów. W naszym ministerstwie też pewnie się zamartwiają.

Wyjechaliśmy na główną South Broadway i skierowałem wehikuł na południe. Jechaliśmy wzdłuż śpiącej w ciemnościach rzeki, którą po prawej przecinał oświetlony stalowy wąż łączący się z drugim brzegiem należącym do hrabstwa Rockland. Mowa o moście Tappan Zee. Kolejna monumentalna konstrukcja w tym kraju - tu wszystko było ogromne. Taka była cena za chęć ujarznienia Ameryki. Wystarczyło przymrużyć oczy i wyobrazić sobie, że nie ma tych wszystkich mostów, samochodów, domów, a wtedy kraj ten jawił się jako indiańskie terytorium. Kraina dzika i nieprzyjazna. A jednak! Wielkie wzgórza nad brzegami szerokich rzek, ogromne przestrzenie, kilometry dzikich wzniesień, gigantycznych pagórków, przez które należało wylać asfalt, poprowadzić żelazne słupy niosące na swych barkach setki kilometrów drutów elektrycznych - to wszystko zdołano ujarzmić. I zrobił to biały człowiek z Europy. Może nie do końca wszystko ujarzmił, bo „dzikość” tego kraju trwała w letargu, w każdej chwili gotowa do przebudzenia. To był w dalszym ciągu kraj wielkich wyzwań, wielkich możliwości, prawie taki sam, jak ten zapamiętany z książek o Indianach i dzielnych szeryfach. Może tylko ludzie bawili się innymi zabawkami - przesiedli się z dylizansów do limuzyn, przenieśli się z małych miasteczek do metropolii, a rewolwery zastąpiły telefony komórkowe.

- Zapomniałbym o najważniejszym - zerknąłem na Pietrasia, gdy dojeżdżaliśmy do zakrętu w Benedict Ave. - Odnaleziono helikopter, którym porwano Benettonów.

- I dopiero teraz mi to mówisz?

- A kiedy miałem powiedzieć? Byłeś w tarapatkach, cudem cię znalazłem na parkingu. Dopiero teraz ochłonąłem.

- Gdzie jest ten helikopter?

- Tego mi nie powiedzieli.

- A dzieła sztuki?

- Gdybym wiedział... - prychnąłem.

Jak tylko zajechaliśmy do naszego motelu w Elmsford, natychmiast skontaktowałem się z reporterką Pappani. Już wiedziała o helikopterze - znaleziono go w okolicach jeziora Peekskill.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

WYRUSZAMY DO WEST POINT * DZIEJE AMERYKAŃSKIEJ POLONII * CZY POLAK ODKRYŁ AMERYKĘ PRZED KOLUMBEM? * O JANIE Z KOLNA * NA STACJI BENZYNOWEJ, CZYLI ZMIANA PLANÓW * PODGLĄDAMY FBI * REPORTERKA NA DRUGIM BRZEGU * WEHIKULEM PRZEZ LAKE PEEKSKILL * PAPPANI SZUKA POŁA * CHATKA NAD JEZIOREM * ZAPROSZENIE, CZYLI SKĄD TEN PIERŚCIONEK? * WYCOFUJEMY SIĘ * KOLEJNY REJS

Spaliśmy do 8:17. Obudziło nas ostre poranne światło wpadające przez żaluzje i zduszone odgłosy samochodowych klaksonów dochodzące z pobliskiej 9A. Spalibyśmy dłużej, gdyby nie kilka obowiązków. Po toalecie wykonaliśmy bowiem kilka telefonów, które nie mogły czekać. Konsulat warczał. Zdenerwowanie Polskiego Instytutu Naukowego oraz Instytutu im. Józefa Piłsudskiego udzieliło się naszemu ministerstwu. Nie rozmawiałem osobiście z panem Tomaszem, gdyż chwilowo był nieobecny, ale Monika, nasza sekretarka, zrelacjonowała pokrótce nadwiślańskie echa naszej amerykańskiej przygody. Zresztą kolega Pietraś miał lepsze źródło informacji - z samego gabinetu ministra. Martwiono się o nas, życzo no zdrowia i szybkiego powrotu do kraju. Zabroniono działań na własną rękę. Nikomu nie przyszło do głowy obwiniać nas o stratę cennych obrazów, co odebrałem jako dobrą monetę.

Polski Instytut Naukowy zapraszał nas do siebie na Manhattan, lecz nie znał jeszcze wszystkich faktów. Powstał bałagan! Ustaliliśmy zatem, że spotkamy się jutro w obecności konsula i kogoś z władz amerykańskich (na pewno zjawi się ktoś z FBI).

- Jutro o 13:00 - powtórzył smutno Mark Kalinowski. - U nas, na Manhattanie.

Zastanawiałem się, co dalej robić? Zajmować się sprawą, którą FBI i policja trzymali w tajemnicy? Czy pojechać do West Point po materiały do eseju historycznego? Już wczoraj dano mi do zrozumienia, abym odpuścił sprawę Benettonów, dzisiaj to samo usłyszałem w formie polecenia od naszego zwierzchnika z Polski.

Nie było wyjścia - trzeba było machnąć ręką na Benettonów i liczyć, że FBI rozwiąże niebawem tę sprawę. Musieliśmy coś ze sobą zrobić, otrząsnąć się i zabić w sobie smutek po stracie polskich dzieł z kolekcji Benettona. Reporterka Pappani była chwilowo nieuchwytna, jej komórka milczała, więc machnąłem ręką i na nią. Czułem żal z powodu takiego a nie innego zakończenia afery rozpoczętej w zamku Tarrytown, przeżywałem coś w rodzaju porażki. Winę za smutny los czterech polskich obrazów zrzuciałem na siebie. Niepotrzebnie. W końcu nie pojechałem do Ameryki w charakterze agenta ochrony.

Podczas porannej kawy nie mogłem odpędzić od siebie ponurych myśli. Czy terroryści zniszczą pozostałe obrazy, a Paul otrzyma odszkodowanie? Było to trochę ryzykowne posunięcie. W portalu internetowym znalazłem news, że Johnny Depp zwołał konferencję prasową w siedzibie „New York Timesa”, podczas której miał opowiedzieć w szczegółach o wydarzeniach na zamku. Obiecał też zdradzić opinii publicznej pomysł terrorystów związany ze zniszczeniem kolekcji i zdobyciem pięciu milionów dolarów. Czy w tej sytuacji Lloyd wypłaci Benettonom odszkodowanie? Nie moja sprawa! Nie mogłem uratować pozostałych obrazów z kolekcji Teda Benettona, więc nie powinno mnie to dalej interesować. Tym bardziej, że nie była wyjaśniona sprawa obrazu van Gogha. Skradziony czy nie?

Kiedy znalazłem jedyną wzmiankę o sobie, krew zawrzała mi w żyłach. Jakiś pismak dał wielce kontrowersyjny tytuł relacji z wydarzeń na zamku.

Detektyw z Polski bezradny. Depp ratuje życie zakładników!

Nie tego się spodziewałem! Pismacy nie wiedzieli, co tak naprawdę wydarzyło się na zamku i wypisywali bzdury. W końcu to ja najbardziej ucierpiałem ze wszystkich zakładników. Wyłączyłem laptopa.

- Jedziemy na wycieczkę - rzekłem

Zaproponowałem koledze Pietrasiowi wyjazd na północ do West Point. Magister zgodził się i około 11:30 opuściliśmy Elmsford. Najpierw skierowaliśmy się na zachód i dopiero nad rzeką ruszyliśmy wzdłuż jej nurtu na północ.

Mijaliśmy kolejno Tarrytown, Sleepy Hollow, Ossining Crotonville, Harmon, Croton-on-Hudson, Oscawana, Montrose, Buchanan i Peekskill, za którą to miejscowością kończyło się niebawem hrabstwo Westchester.

Jechałem wolno, snując opowieść o losach Polaków na amerykańskiej ziemi. Kolega Pietraś chętnie słuchał. Nie miał wyjścia.

- Dzieje amerykańskiej Polonii sięgają czasów kolonialnych - mówiłem prowadząc wehikuł. - Na początku XVII wieku pierwsi rodacy przybyli dla zarobku do Jamestown w Wirginii, pierwszej kolonii w Ameryce. Wielka emigracja miała miejsce po rozbiorach Polski. Wtedy rodacy opuszczali Ojczyznę przez Prusy, Rosję i Austrię. Po klęsce powstania listopadowego w 1830 roku około tysiąca osób uciekło do Stanów Zjednoczonych. Pierwszym miejscem zorganizowanego osadnictwa polskiego zostało miasteczko Panna Maryja w Teksasie - w 1854 roku ksiądz Leopold Moczygamba sprowadził tam około ośmiuset Polaków ze Śląska. Oprócz rolnictwa, emigranci polscy pracowali w kopalniach, rzeźniach, młynach, hutach we wschodniej i środkowo-zachodniej części Ameryki.

Niemale zaślugi w odradzaniu się zakonu jezuitów w USA, a także w rozwoju przyszłej Polonii, miała grupa polskich duchownych. Najpierw, na początku XIX wieku, przybyła grupa z Białej Rusi, wśród nich Polacy: Filip Sz. Sacki, Bonifacy Krukowski i Franciszek Dzierozżyński. Napływ imigrantów europejskich do USA w XIX wieku, wśród nich Polaków, powiększył liczbę katolików w tym kraju. Ciekawostką jest fakt, że w 1821 roku Kościół katolicki liczył tylko 195 tysięcy wiernych. Polscy jezuita zakładali nowe parafie, zwłaszcza we wschodnich stanach oraz w Missouri i Nebrasce. Przełom XIX i XX wieku był okresem masowej emigracji, która trwała do zakończenia pierwszej wojny światowej.

Od roku 1924 emigracja została zahamowana w związku z ustanowieniem nowych praw imigracyjnych. Po zakończeniu drugiej wojny światowej Stany Zjednoczone znowu przyjęły dużą liczbę uchodźców z Europy. Ta właśnie fala emigracyjna zaważyła w sposób istotny na odnowieniu Polonii w Ameryce. Kolejna fala emigrantów nastąpiła po stanie wojennym w 1981 roku. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku przyjeżdżali tu rodacy w poszukiwaniu lepszej pracy i egzystencji. Około dziesięciu milionów osób w USA przynajmniej się do pochodzenia polskiego, w tym najwięcej w stanach New York (około 1,2 miliona) oraz Illinois (prawie jeden milion). Wielu rodaków pracuje jednak „na czarno”.

Do znanych i zasłużonych Polaków należeli Kazimierz Pułaski i Tadeusz Kościuszko, o którym już wspominałem. Dodam jedynie, że w West Point - do którego

jechaliśmy - spędził Kościuszko ostatni rok swego pobytu w Ameryce. W pamiętniku jego adiutanta Juliana Ursyna Niemcewicza możemy przeczytać: „Jest dotąd wykopany przez niego ogródek; widziałem w nim jeszcze ślady grządek, uprawianych przez niego. Było to miejsce jego spoczynku po całodziennych trudach. W pobliżu tej skały, wśród malowniczych wzgórz, we wieńcu cyprysów, na wysokim brzegu rzeki, wznosi się dziś, widna z daleka, kolumna Kościuszki, a na niej napis: »Bohaterowi dwu światów«”. W całym kraju wzniesiono Pułaskiemu i Kościuszcze wiele pomników.

Na uwagę zasługiwała też osoba pierwszego Polaka na ziemi amerykańskiej, który przybył tutaj w roku 1476, czyli na 16 lat przed Krzysztofem Kolumbem. Nazywał się Jan z Kolna i był rzekomo komendantem statku duńskiego; podobno zawitał w okolice Labradoru. Informacja ta nie jest jednak ostatecznie udowodniona, chociaż wiele wskazuje na jej prawdziwość. Dzisiaj nie mamy już wątpliwości, że Amerykę Północną odkryli przed Kolumbem nie tylko templariusze, ale jeszcze wcześniej wikingowie, a nawet Fenicjanie. Tak naprawdę pierwszymi amerykańskimi pionierami byli łowcy z Syberii i miało to miejsce 14 tysięcy lat temu.

O innych zasłużonych Polakach (między innymi o księżach i misjonarzach) przeczytacie w ciekawej książce dr. Karola Watchla „Polonia w Ameryce”. Wiele o samej Ameryce można dowiedzieć się z polskiej literatury podróżniczej Henryka Sienkiewicza, Melchiora Wańkowicza czy Waldemara Łysiaka.

Kolega Pietraś zainteresował się postacią Jana z Kolna. Jako że mieliśmy jeszcze trochę drogi do West Point, nie przerywałem wykładu.

- Wybitny polski historyk i polityk pierwszej połowy XIX wieku Joachim Lelewel - kontynuowałem - jako pierwszy odnalazł w archiwach i spopularyzował w Polsce postać Jana z Kolna. W swojej „Historii geografii” z 1814 roku wspomina o „Janie Szkolnym”, Polaku służącym „pod Krystianem królem duńskim”, który w „roku 1476 odkrył cieśninę Anian i ziemie Laboratoris [Labrador]”.

Ten sam Lelewel pisał dalej: „A zatem, ten Jan Skolnus, byłby trzecim z Europejów, co Amerykę odkryli przed Kolumbem”. Nasz historyk w 1816 roku podał nową nazwę żeglarza: „de Colno”. Określił go jako „Polaka z małego miasteczka mazowieckiego Prusom pogranicznego. [...] Naprawa ta zdaje się być trafna, familia mazowiecka z Kolna była familią marynarzy w marynarce gdańskiej dobrze znaną”.

Najstarsze pisane doniesienie o Janie z Kolna pochodzi z 1551 roku: „Ziemia Labrador. Jest ona otoczona wyspami i na jednej wysokości i w tej samej temperaturze mieszkają Bretończycy, świetnie przystosowani do życia na tej ziemi. Dotarli tam także ludzie z Norwegii, których wiódł Jan Scolno oraz Anglicy z Sebastianem Gabotą”.

Pierwszym autorem, który określił polskie pochodzenie Jana z Kolna, był w 1570 roku Francuz Francois de Belleforest. Napisał on: „[...] Jan Scolnus dotarł tam już w Roku Pańskim 1476, o wiele wcześniej, nim królowie katoliccy czy portugalscy wysłali Kolumba... [...]; ów polski pan, przepłynąwszy Morze Norweskie oraz Wyspy Grenlandzkie, Thile [Tiule] i inne nie znane, dotarł do cieśniny, która zwie się [Cieśniną] Arktyczną...”. Kolejnym autorem, który przyznał Janowi z Kolna polskie pochodzenie był w 1599 roku Flamand Korneliusz Wytfliet: „Zaszczyt ponownego odkrycia tej ziemi przypadł Janowi Scolnus, Polakowi, który żeglując w roku 1476, 86 lat po jej pierwszym zbadaniu, wypłynął poza Norwegie, Grenlandie, Fryzlandie, wpłynął na owo Morze Północne i dopłynął pod samym kręgiem polarnym do owych

ziem Labradoru i Estotilandii”. Ten sam autor kilka lat później ponownie nazywa Jana - Polakiem. I wreszcie autorem wzmianek o naszym rodaku był Jerzy Horn. W 1671 roku napisał: „Jan Scolnus, Polak, z rozkazu Christiana I, króla Danii, odkrył w roku 1476 Morze Anian [Cieśnina Daviesa] i Labrador”.

Janowi z Kolna przypisywano różne pochodzenie. Norwegowie uważali go za Norwega. Przyznają się do niego także Portugalczycy. Na przełomie XIX i XX wieku ukazało się wiele rozpraw naukowych w krajach skandynawskich, w których nazwisko żeglarza pojawia się w wielu wariantach: „Scolp”, „Scolvus”, „Scolus” czy „Scolnus”.

Polski geograf Bolesław Olszewicz uważał, że Jan z Kolna był Polakiem i prowadził cudzoziemski okręt. Wyprawą z 1476 roku, w której brał udział Joannes Scolnus kierowali Dietrich Pining i Hans Pothorst. Byli oni Niemcami, kaprami, admirałami oraz dygnitarzami w służbie króla duńskiego, a także (ciekawostka!) piratami morskimi. Scolnus był pilotem na jednym z ich statków.

Olszewicz wskazywał na pochodzenie Jana z mazowieckiego miasta, które w czasie wyprawy żeglarza do Ameryki w 1476 roku przeżywało swój rozkwit. To by potwierdziło badania Lelewela. Nie każdy wie, że postać Jana z Kolna znalazła swoje odbicie w polskiej literaturze i sztuce. Jan Matejko namalował jego postać na obrazie „Wpływ uniwersytetu na kraj w wieku XV” w cyklu „Dzieje cywilizacji w Polsce”. Postać ową opisał w „Wietrze od morza” Stefan Żeromski.

- Co za niesprawiedliwość z tym Kolumbem - westchnął Pietraś po wysłuchaniu długiego wywodu. - Czemu to jemu przypadł tytuł odkrywcy Ameryki? Z tego co mówisz, wielu przed nim dotarło do Ameryki.

- Może dlatego, że dopiero jego wyprawa wpłynęła na dalsze dzieje świata. Zawsze liczy się spektakularny sukces. My, Polacy, zawsze mieliśmy słabą reklamę, co wynikało z faktu, że nigdy nie byliśmy tak wielką potęgą jak Hiszpania, Portugalia, Włochy, Francja albo Anglia i Niemcy.

- Dobrze, że udało nam się „sprzedać” Kopernika jako Polaka, który ruszył Ziemię, a wstrzymał słońce.

Zamyśliłem się.

- Jakby się uprzeć, to można by okrzyknąć Jana z Kolna odkrywcą Ameryki!

- Jak to? - popatrzył na mnie z politowaniem.

- Istnieją przekazy mówiące, że popłynął on w okolice dzisiejszego Bostonu, gdzie mieszkał przez kilka lat. W drodze powrotnej trafił na sztorm, który wyrzucił go na jedną z Wysp Azorskich. Tam właśnie spotkał Kolumba i przed śmiercią przekazał mu mapy wraz z cennymi informacjami o Ameryce. Niektórzy sądzą, że Scolnus to nie kto inny jak sam Kolumb! Podobno w pamiętnikach Genuńczyka znajduje się wzmianka o jakiejś wyprawie z lat siedemdziesiątych XV wieku.

Zatrzymaliśmy się w Peekskill na stacji benzynowej. Napełniłem bak do pełna i poszliśmy do klimatyzowanego budynku uregulować należność. Płacąc, patrzyliśmy z zainteresowaniem w ekran małego telewizora stojącego w rogu długiej ludy. Lokalna telewizja pokazywała ekipę FBI przeczesującą jakiś porośnięty krzakami teren. Codzienna porcja wiadomości. Migawka opatrzona podpisem „Peekskill Lake”. Lecz zaraz zdębiałem, ujrawszy na ekranie znaną mi dobrze sylwetkę Jetrangerera - tego samego, którym terroryści odlecieli z zamku. Helikopter stał na małej polance na tle drzew porastających jakiś cypel.

Puknąłem magistra w rękę i wskazałem ekran.

- Nasz helikopter.

- O rany! - wyrwało się Pietrasiowi.

- To za jeziorem Peekskill - wyjaśnił sprzedawca za ladą. - To panom ukradli ten helikopter? W poprzednich wiadomościach podali, że zwinęli go firmie „Aeromega” z New Jersey. Jesteście stamtąd?

I popatrzy! na nas ze strachem, bo nasz akcent zdradzał cudzoziemców.

- Niech się pan nie boi, nie jesteśmy terrorystami, a tylko zakładnikami z zamku - uspokoiłem go. - Byliśmy, chciałem powiedzieć. Znamy ten helikopter, widzieliśmy go, dlatego powiedziałem „nasz”.

- Rzeczywiście - ożywił się. - Wspominali, że na zamku byli cudzoziemcy! Tak więc, to wy?! Naprawdę?! Co za historia! Był z wami podobno Johnny Depp?

- Był - pochwalił się Pietraś. - Razem daliśmy im popalić! Tak naprawdę to uratował nas mój kuzyn mieszkający obecnie na Greenpoincie.

- Poważnie? - sprzedawca zdjął z wrażenia czapeczkę.

- W telewizji przekręcili fakty - nadawał Pietraś. - Kolega Paweł też był niezły. Strzelali do nas, łobuzy, i traktowali jak ścierwo.

- Co mówią w telewizji? - zmieniłem temat.

- Ciągłe to samo. Terrorysty pozostawili helikopter i odjechali z zakładnikami.

- Ale wylądowali gdzieś tutaj w okolicy?

- Tak jest.

Migawka ustąpiła miejsca następnej, o niewinnej wystawie w White Plains - stolicy hrabstwa Westchester.

- Gdzie jest to jezioro? - zapytałem pracownika obsługującego kasę. - A raczej to miejsce, w którym porzucono helikopter?

- Samochodem dojedziecie w pół godziny - wyjaśnił. - Kierujcie się na północny wschód do Cortland. Dalej Oregon Road na Yorktown. Zapytacie kogoś, to wam powie. Helikopter porzucili niecałe pół mili od północnego cypla jeziora.

- Mówili coś nowego o Benettonach? - pytałem dalej.

- Ciągłe nie wiedzą, gdzie ich przetrzymują - uśmiechnął się. - Terrorysty jeszcze się nie odezwali. Ciekawe, czy ich zabiją? Jak myślicie?

- Nie zabiją - stwierdziłem.

- Powodzenia, panowie!

Po wyjściu na gorące powietrze zapytałem Pietrasia:

- Jedziemy do West Point czy zahaczmy o to jezioro?

- Chcesz pomóc FBI w pracy? - zdumiał się. - Nie no, wygłupiasz się, czy co? A może nie wierzysz, że helikopter naprawdę tam wylądował? Słuchaj, w jeziorze nie znajdziesz dzieł sztuki! Terrorysty porzucili helikopter i zwiali z zakładnikami i obrazami.

- Ale zerknąć nie zaszkodzi.

W końcu odpuściliśmy sobie West Point szczytując się Akademią Wojskową Stanów Zjednoczonych założoną w 1802 roku i działającą po dziś dzień. Nawet nie było tam z Peekskill daleko, lecz - nie wiedzieć czemu - koniecznie chciałem zobaczyć miejsce lądowania helikoptera. West Point mogliśmy zwiedzić później. Jutro. Pojutrze. W tej chwili zwyciężył we mnie instynkt detektywa. Nie mogłem obojętnie przejechać obok

miejsca związanego pośrednio z dramatycznymi wydarzeniami na zamku. Bądź co bądź byliśmy tam zakładnikami!

Jeziro znajdowało się poza granicami hrabstwa, ograniczone od północy szlakiem Appalachian Trail, od zachodu rzeczką Canopus, od wschodu zaś kolejną - Oscawana. Peekskill Lake otaczała sieć dróg i przeważał teren zabudowany, choć większość posesji oddzielała się od świata zielonym parawanem drzew. Jechaliśmy malowniczą Lake Road oddaloną od zachodniego brzegu o jakieś trzysta stóp. Daleko na północy na tle błękitnego nieba smażyły się w południowym słońcu dwa garby wzniesień. Na wysokości zatoczki w kształcie ostrego stożka droga oddaliła się dalej na północ, zostawiając wydłużone jezioro w tyle i towarzysząc bujnie porośniętemu i lekko pochyłemu terenowi.

Grube drzewa zasłaniały helikopter i parkujące obok niego samochody. Sto pięćdziesiąt stóp przed nami boczna droga prowadziła na północny cypel jeziora, na polanie którego wylądował helikopter. Ekipa FBI zbierała się już do odjazdu, funkcjonariusze kręcili się jeszcze wokół śmigłowca i energicznie gestykulowali.

Zaparkowałem przy drodze, lecz nieco za zakrętem. Zabrałem lornetkę ze schowka, magistrowi zaś kazałem wziąć aparat fotograficzny i daliśmy drapak w pas gęstych krzaków. Dorodnym bukowym zagajnikiem z domieszką klonów zbliżyliśmy się do polany z helikopterem. Przystanęliśmy w bezpiecznej odległości od helikoptera. Tutaj, oparłszy się o pień grubego drzewa, obserwowałem polanę przez lornetkę.

- Po co ta cała konspiracja? - marudził magister.

- Zakazano nam zajmować się tą sprawą.

- To czemu się zajmujemy?

- Reportaż o przygodzie na zamku, losie zakładników i T.O.E. jest bardziej interesujący od eseju o Kościuszcze i West Point - wymyśliłem na poczekaniu bajeczkę.

- Chcesz zgnać szmal za artykuł dla jakiegoś brukowca? - zachichotał. - Napisz od razu książkę.

- Może kiedyś.

Obserwowałem w dalszym ciągu polanę z milczącym jak monumentalna rzeźba helikopterem. Teren w promieniu pięćdziesięciu stóp został ogrodzony żółtą taśmą wspieraną przez rozstawione regularnie stojaki. Agenci - ubrani przeważnie po cywilnemu - rozmawiali o czymś przed helikopterem. Jeden z nich machał rękami, inny wskazywał ręką niebo. Naradzali się, lecz po chwili opuścili ogrodzony teren, przechodząc pod żółtą taśmą.

Zaczęli wchodzić do samochodów. Nie od razu odjechali.

- Co się dzieje? - denerwował się magister.

- Naradzają się - odpowiedziałem. - Zaraz odjadą.

- I co? Chcesz tam wleźć? To chyba niezupełnie legalne.

- Słuchaj - ściszyłem głos. - Za zdjęcie helikoptera niejedna nowojorska gazeta słono zapłaci.

- Żartujesz ze mnie? - ważył moje słowa. - Nabijasz się. Przecież ta cała Ursula już o tym wie, ona ci powiedziała o helikopterze. Poza tym mówią o was, że jesteście idealistami. Że pieniądze was nie interesują. Że pracujecie dla przyjemności.

- My?

- Ty i pan Tomasz.

- W Stanach szybko się aklimatyzuję - nabijałem się dalej. - Zaraziłem się amerykańską inicjatywą. Tutaj szmal leży na ziemi. Napiszę artykuł, pokażę zdjęcia i kto wie, może dostanę Pulitzera?

- Poważnie? - zdziwił się.

Odstawiłem od oczu lornetkę i zerknąłem na jego spoconą i zdumioną twarz. Nie wytrzymałem i parsknąłem śmiechem.

- Żartowałem - wyjaśniłem.

Zmarkotniał.

- Daj, popatrzę sobie - zabrał mi lornetkę.

Teraz on obserwował najbliższą okolicę ładnie położonego jeziora, nie skupiał się jednak wyłącznie na helikopterze i szykujących się do odjazdu agentach FBI, a lustrował przyległy do cypla teren.

W pewnym momencie zarejestrowałem zmianę w jego zachowaniu. Pietraś wstrzymał oddech i znieruchomiał.

- Co się stało? - zapytałem.

- Co tu robi Pappani? - wydukał wreszcie.

Nie wytrzymałem i zabrałem lornetkę. Miał rację, po drugiej stronie jeziora u podnóża cypla stał zaparkowany w chaszczach samochód - plymouth należący do reporterki Pappani. Reporterka ubrana w jasną marynarkę stała oparta o drzewo, pień zasłaniał jej częściowo twarz, ale rozpoznałem ją. Ursula Pappani na przeszpiegach! Nie było w tym nic nadzwyczajnego, wszak była reporterką telewizyjną, która żyje z ludzkich dramatów, nieszczęść i wszelkiej sensacji. Podglądanie FBI było dobrym kąskiem na reportaż, tylko że Ursula spokojnie obserwowała odjeżdżające samochody „federalnych”. Nie filmowała. Stała z boku i czekała. Wyjaśniło się wreszcie, dlaczego nie odbierała telefonów - po prostu wyjechała w teren po materiał. Odsunęła mnie od sprawy, gdy tylko poczuła nowy temat. Zdrajczyń!

Samochody FBI wykreśliły na niewielkiej przestrzeni i odjechały, wzniesając za sobą chmurę pyłu. Ponownie skierowałem lornetkę na wschodni brzeg, na którym stał plymouth i skąd reporterka obserwowała helikopter. O dziwo, Ursula zniknęła. Jedyne jej samochód migał już między drzewami i ruszył na północ drogą biegnącą równoległe do brzegu. Jechał wolno, lecz szybko zniknął mi z oczu z powodu gęstych drzew.

- Wracamy! - zakomenderowałem.

Rzuciłem się biegiem w stronę pozostawionego na poboczu wehikułu.

- Co się dzieje?! - krzyczał za mną magister.

- Musimy ustalić, co ona kombinuje!

Dopadliśmy wehikułu i już po chwili ruszyliśmy na północ. Droga prowadziła przez ograniczony drzewami teren i nigdzie nie mogliśmy znaleźć skrótu w prawo. Nic dziwnego. Za cyplem teren podnosił się w lichego pagórek porośnięty gęstym drzewostanem. Dojechanie do pierwszej bocznej drogi i dostanie się na wschodnią stronę, ograniczało szansę znalezienia plymoutha. „Jak najprościej dostać się na drugą stronę cypla?” - myślałem.

Zawróciłem na wąskiej drodze. Dodałem gazu i wyrwałem na południe.

- Dokąd my właściwie jedziemy? - pieklił się magister.

Znalazłszy między drzewami dogodny miejsce na zjazd ku brzegowi jeziora, zjechałem z drogi. Oczywiście zwykłym samochodem nie dałbym rady poruszać się

poza wytyczonymi drogami, lecz przecież dla wehikułu jazda w trudnych warunkach była dziecinną igraszką.

- Co my robimy? - wrzeszczał z boku magister. - Gdzie jedziesz?! Odpowiedz!

Nie miałem czasu na wyjaśnienia. Pokonałem nierówny kawałek odsłoniętego terenu cypla, stratowałem kilka krzaków i skierowałem pojazd wprost na spokojną taflę jeziora.

- Człowieku! - krzyknął przerażony Pietraś. - Chcesz nas potopić?!

Wehikuł dal nura w wodę, lecz zaraz uniósł się majestatycznie ku górze, jakby od dołu popchnęła go niewidzialna ręka. I osiadł na powierzchni niczym kaczka. Błyskawicznie uruchomiłem bieg pracy śruby zamontowanej z tyłu pojazdu, dzięki której wehikuł pływał całkiem nieźle po wodzie. Ustawiłem specjalnym przełącznikiem pod kierownicą mini-ster. Toporny dziób wehikułu skierował się zaraz ku drugiemu brzegowi oddalonemu o trzysta stóp. Z tyłu cicho warczała śruba. Dodałem gazu i maszyna poszła po wodzie, tworząc rozchodzące się z dwóch stron maski fale. Po lewej minęliśmy polankę z helikopterem, ale mnie interesował teraz plymouth Ursuli. Pragnąłem jak najszybciej dotrzeć na wschodni brzeg i znaleźć drogę, którą oddaliła się reporterka.

- To żelastwo pływa? - nie mógł nadziwić się Pietraś. - Jakim cudem? Co to jest? Amfibia?

- W pewnym sensie tak!

- Jezu! Nie wierzę własnym oczom.

Na drugi brzeg dotarliśmy po dwóch minutach, co zawdzięczaliśmy solidnej mocy silnika napędzającego śrubę. Tłoki astona martina bez trudu popychały wehikuł po wodzie, a gdy przed maską wyrósł pas trzciny i woda stała się płytka, jednym ruchem ręki wrzuciłem normalny bieg i dodałem gazu. Niewysoki brzeg był naszym sprzymierzeńcem, bez trudu wdrapaliśmy się wyżej i poprzez zarośla przebiliśmy się ku najbliższej drodze. Jeszcze tylko slalomem ominęliśmy drzewa, jadąc po wyrastających z ziemi korzeniach.

- Aj! - zawył mój pasażer, o mało nie rozbijając sobie głowy o przednią szybę.

- Zapnij pasy!

Mówiąc to, zwiększyłem prędkość i magister nie miał wyjścia. Zapiął się solidnie.

Osiągnęliśmy drugi brzeg. Przepłynięcie jeziora zaoszczędziło cenny czas, jaki stracilibyśmy na szukanie drogi za pagórkami na północy od cypla. Jechaliśmy wąskim asfaltem, zostawiwszy jezioro z tyłu, „Dokąd pojechała reporterka i jak ją znajdziemy?” - zastanawiałem się. „Czy skręciła w boczną drogę, a może pojechała dalej na północ?”

- Po co ci ta cała Pappani? - marudził Pietraś. - Nie znajdziemy jej na tym pustkowiu.

I nagle - jakby wbrew przepowiedniom mojego kolegi - ukazał się przed nami plymouth. Stał na poboczu niecałe dwieście stóp przed nami, w związku z czym natychmiast dałem po hamulcach i przytuliłem wehikuł do dziko zarośniętego pobocza. Wjechałem głębiej w gęstwinę krzaków.

Pappani kręciła się na drodze z komórką przystawioną do ucha. Chodziła po całej jej szerokości nieco zdenerwowana, przystawała, a to robiła krok w bok i sprawdzała coś na wyświetlaczu urządzenia.

- Zgubiła zasięg - szepnąłem do magistra.

- Dlatego nie mogłeś się do niej dodzwonić - dodał, - Tutaj nie ma pola.

Wyjął swoją komórkę i sprawdził. Rzeczywiście, w okolicy nie było zasięgu. W tym czasie niezadowolona Pappani wsiadła do plymoutha i odjechała na północ. Pojechaliśmy za nią, utrzymując w miarę przyzwoitą odległość, ale na pustkowiu trudno o konspirację. Reporterka mogła nas w każdej chwili zauważyć we wstecznym lusterku.

- Nie prościej dogonić ją i zapytać, co ona kombinuje? - zapytał zniecierpliwiony Pietraś.

- Można, lecz o wiele ciekawiej samemu to sprawdzić. Nie powiedziała nam dokąd i po co się wybiera, a zatem nie życzy sobie towarzystwa. A my szanujemy cudzą prywatność.

- Detektywi - prychnął w tonie lekkiego szyderstwa. - Ministerialni urzędnicy zabawiają się w łapsów. Ciekawe, co ja powiem pani minister? Że śledziliśmy panią redaktor z telewizji? Albo że pływaliśmy samochodem pojezierze? Co to za delegacja!

- Czy w całym swoim życiu przeżyłeś tyle przygód, ile doświadczyłeś ich w ostatnich dwóch dniach?

- No nie.

Z Oscawana Lake Road skręciliśmy na wschód. Teren zrobił się już nieco pagórkowaty, pojawiały się z rzadka domy. Plymouth minął zielony skwer - o ile dobrze pamiętam, był to Putnam Valley Town Park - i zaraz odbił w prawo. Po ujechaniu mili teren zrobił się mniej gościnny dla zmotoryzowanych turystów, łatwo przejezdna droga szybko się skończyła na skraju wsi, teren zazielenił się wysokimi bukami i świerkami. Zapach iglaków, mieszający się z aromatem żywicy i ściółki, dosłownie narkotyzował.

Nierówna, ubita droga prowadziła lekko pod górkę i nie stanowiła dla nas żadnego problemu. Gorzej było z plymouthem, który podskakiwał na nierównościach, czasami zjeżdżał na pobocze objeżdżając doły, lecz dzielnie brnął do przodu pod górkę. Zapuszczaliśmy się już w dzikie tereny. Beztraska jazda szybko się skończyła. Jeszcze gdzieś tam stały przy drodze samotne chaty, za którymi teren wybrzuszał się w pagórki. Zaczęły się zagajniki. Pas gęstego lasu szybko się skończył i rozpostarł się przed nami zarośnięty nieużytek, za którym ujrzeliśmy ścianę drzew graniczącą z brzegiem jeziora. Tam właśnie, przy brzegu stała samotna chatka, do której zmierzał plymouth. Zatrzymaliśmy się na skraju zagajnika i obserwowaliśmy oddalający się wątlą ścieżką samochód reporterki.

Ów dom skrył się w spokojnej niszy, ogrodzonej niewysokim płotkiem od strony nieużytku i rzadkim pasem drzew od wody. Wzorowana na rancho, opuszczona posesja mogła służyć kiedyś jako domek letniskowy. Niewykluczone też, że jeszcze teraz zamieszkiwali ją jacyś traperzy lub turyści. Przed gankiem parkował bowiem inny samochód, zdaje się, że dostawczy ford.

Nie pojechaliśmy za plymouthem. Najpierw zbadaliśmy teren za pomocą lornetki, aby się upewnić, że wszystko jest w porządku. Oddalone od nas o pół mili jezioro błyszczało złotymi refleksami słońca, a jego toń miała lekko zielony odcień jakby skradziony gęsto porośniętej sosnami górze wznoszącej się ku chmurom po południowej stronie zbiornika.

Pappani wyszła pospiesznie z plymoutha zaparkowanego przed frontem obok forda i znikła we wnętrzu domu. Przez ponad dwie minuty nic godnego uwagi nie działo się, nie licząc marudzenia Pietrasia. Wreszcie ujrzałem reporterkę w oknie wychodzącym na łąkę, a więc na wprost nas. Patrzyła - podobnie jak ja - przez lornetkę.

Natychmiast odstawiłem przyrząd od oczu i zniżyłem się na przednim siedzeniu wehikułu.

- Schowaj się! - pociągnąłem za sobą magastra.

- Odbiło ci? - syknął niezadowolony z ostrego szarpnięcia.

- Pappani nas obserwuje.

- Reporterka? Obse... jak to obserwuje?

- Przez lornetkę - wyjaśniłem. - Stoi w oknie i patrzy wprost na nas.

- No to zobaczyła wehikuł i już wie, że tu jesteśmy - zarechotał nerwowo.

I usiadł normalnie na siedzeniu obok kierowcy.

- Daj no! Sprawdzę - zabrał mi drżącymi rękami lornetkę i sam obserwował dom przy jeziorze.

Wyprostowałem się zawstydzony.

- Paweł! - wrzasnął podekscytowany. - Pappani daje znak! Macha do mnie ręką.

Zabrałem mu lornetkę.

- Rzeczywiście - zamruczałem. - Wzywa nas.

Reporterka stała w oknie. Jedną ręką przytrzymywała lornetkę, drugą wykonywała szeroki, zapraszający gest do siebie.

- Co za kompromitacja - szeptałem i czułem, że się rumienię.

- Pewnie zauważyła nas już wcześniej. Nie ma rady. Jedźmy do niej i przeprośmy.

Być może miał rację. Tylko czemu nie zatrzymała się w drodze do chatki i nie zaprosiła nas normalnie. Czemu zrobiła to w tak niekonwencjonalny sposób - na odległość?

Moją uwagę zwrócił jeszcze pewien ważny szczegół. Na palcu jej ręki trzymającej lornetkę zauważyłem mały przedmiot - pierścionek. Taki sam srebrny, który nosiła na zamku terrorystka podszywająca się pod Ursulę Pappani. Osoba, która przywłaszczyła sobie jej nazwisko, samochód i ubranie. Wtedy terrorystka była odziana w skórzaną kurteczkę dziennikarki. Wyteżyłem pamięć. Ostatnim razem prawdziwa Ursula Pappani miała na sobie lekką, sportową marynarkę założoną na zwykły T-shirt. Niewiasta stojąca w oknie miała na sobie właśnie jasną marynarkę. Niby wszystko w porządku, tylko pierścionek na palcu świadczył, że to nie była Pappani.

- To nie jest Ursula - oświadczyłem grobowym głosem.

- Chory jesteś, Paweł? - zdenerwował się Pietraś. - Co ty, znowu? Przecież widziałem ją. To reporterka. No i ten samochód, plymouth, czy jak mu tam!

- To terrorystka z zamku - wyszeptałem poruszony. - Nie dam głowy, ale niewykluczone, że w tej chacie są zakładnicy. - Powiedziałem mu o pierścionku.

- O rany! - przeraził się. - No to co robimy? Jedziemy na policję?

- Zachowuj się normalnie - mówiłem przez zęby, ledwo poruszając ustami - bo ona pewnie wszystko widzi. Nie dajmy poznać, że przejrzelśmy ich grę. Kobieta chce nas zwabić w pułapkę. Pewnie napadli znowu na Ursulę i ta zołza znowu się pod nią podszyła, założyła jej ubranie, a na głowę wcisnęła perukę.

- Nie mów tyle - upomniał mnie. - Po co stąd wyjeżdżała? Zadzwoń? Obserwować helikopter?

- A kto ją tam wie? Są w pobliżu i chcą wiedzieć, czy teren jest czysty. Przy okazji zauważyła nas, a teraz pragnie nas zwabić do chatki. Pojedziemy tam, a jej banda wyskoczy ze scorpionami.

- To pewnie trzymają tam zakładników.

- Niewykluczone.

Co miałem robić? Zawiadomić policję? Sprawdziliśmy swoje komórki - zasięgu nie było. Teraz rozumieliśmy zdenerwowanie terrorystki na drodze. Nie można było się stąd nigdzie dodzwonić. Dojazd do najbliższej osady był jedynym dobrym rozwiązaniem, gdyż mogliśmy tam skorzystać ze stacjonarnego telefonu i zawiadomić posterunek w Peekskill. Konfrontacja z tym łobuzami była zaś najgorszym pomysłem. Nie mieliśmy szans stawić im czoła. Bo nie ulegało wątpliwości, że to oni skryli się w chatce nad tym malowniczym jeziorkiem.

Kiedy zerknąłem znowu w okno, fałszywej Pappani już w nim nie było. Zniknęła.

- Oho, już się zorientowała, że coś podejrzewamy.

Za długo staliśmy w miejscu i nie odpowiadaliśmy na jej gesty. Wtedy zaświtała mi w głowie pewna myśl. Nie poinformowawszy kolegi Pietrasia o moich zamiarach, zawróciłem na tylnym biegu. Na większej przestrzeni między drzewami wykręciłem.

- Co robimy? - zapytał magister. - Powiesz mi?

- Dla nich uciekamy. Wpadną w popłoch, wierząc, że jedziemy zawiadomić policję.

- A nie pojedziemy na policję?

- Jeśli pojedziemy teraz do Peekskill, to terroryści zwięją z Benettonami i tak się zaszyją, że nigdy ich nie znajdziemy. Rozumiesz? Oni nie mają wyjścia. Muszą uciekać albo nas gonić. Wywabimy ich z nory! Schowamy się gdzieś i będziemy z ukrycia obserwować, co zrobią.

Odjechaliśmy od skraju zagajnika dobre pięćset stóp na zachód. Wybrałem ścieżkę wdzierającą się głęboko w las, żeby znaleźć dogodny punkt obserwacyjny na jezioro, bezpiecznie oddalony od poprzedniego miejsca. Teren był tu jeszcze bardziej porośnięty gęstymi krzewami i jarzynami - dzika okolica nie odwiedzana przez ludzi, z wyjątkiem turystów kochających piesze i uciążliwe wędrowki na łonie natury. Z trudem przejechałem przez liściasty, podmokły las, przebijając się na jego drugi koniec w pobliżu jeziora. Zostawiwszy wehikuł w bezpiecznym miejscu, zbliżyliśmy się do ostatnich drzew, za którymi rozpościerała się ta sama łąka, tyle że chatę widzieliśmy z bardziej „zachodniego” ujęcia.

Obserwowałem dom przez lornetkę.

- Zniknął plymouth - poinformowałem kolegę Pietrasia. - I ford. Chyba się nie myliłem. Ruszyli za nami w pościg albo zwiali.

Przeglądałem się uważnie oknom chatki, lecz nie dostrzegłem w nich żadnego ruchu. Pusto. Cisza. „Szybko uciekli” - pomyślałem.

- I co? - niecierpliwiał się mój kolega. - Co teraz, detektywie?

- Proponuję zakraść się pod dom od strony jeziora.

- To niebezpieczne. A jeśli tam są nadal terroryści?

- Za bardzo się boją i za dużo ryzykują. Jeśli są normalnymi ludźmi, odjechali. Samochody zniknęły!

Po chwili wyjechaliśmy wehikułem na otwartą przestrzeń pokrytą skałkami i porośniętą kępami krzewów. Jezioro zaczynało się zaledwie sto stóp przed nami, a chatka, którą obserwowaliśmy, stała mniej więcej w odległości tysiąca stóp w kierunku północnym. Dystans dzielący nas od brzegu jeziora przejechaliśmy szybko, choć kilka razy porządnie nami zatrzęsło z powodu dołów i kamieni, których nie było sensu omijać.

Potem powtórzyła się historia z jeziora Peekskill - znalazłem dogodne miejsce do zjazdu w chłodną i przejrzystą toń zbiornika, w której przeglądała się niczym w zwierciadle położona za jeziorem góra z zielonym poszyciem. Chłód wody mieszał się z zapachem lasu i gdyby nie okoliczności, byłaby to całkiem niezła wycieczka turystyczna.

Śruba zaczęła poruszać wehikuł wzdłuż długiego brzegu łączącego się z nieużytkiem po lewej. Płynęliśmy wolno, bacznie obserwując chatkę. Zwróciliśmy uwagę na unoszący się z komina dym. Przysiągłbym, że wcześniej nie dostrzegłem go, lecz moją uwagę zrzuciłem na karb zmęczenia i emocji.

- Co oni? - Pietraś zobaczył dym. - Wzięli się do gotowania?

Wzruszyłem ramionami. Dziwne. Powinni uciec, a nie gotować zupę.

- Co ty w ogóle chcesz zrobić? - zaniepokoił się. - Lepiej się wycofajmy, póki jeszcze można. Jeśli terroryści są w środku, to ja tam nie idę. Nie ma głupich!

- Okej - rzuciłem. - Zostaniesz w wehikule, na brzegu. Pójdę tam sam.

- Tak będzie lepiej - powiedział z ulgą. - Ktoś musi zostać na czatach i pilnować wehikułu.

- Umiałbyś w razie czego nim uciec?

- Nie wiem.

Poinstruowałem go, na czym polega obsługa mojego pojazdu, jak zmieniać biegi, do czego służą wszystkie wajchy i przyciski. Mój wehikuł nie miał ich za wiele, a śrubę z tyłu wozu uruchamiało się w prosty sposób. To samo ze sterem. W porównaniu z poprzednim samochodem - jeepem zwanym Rosynantem - wehikuł był pojazdem pozbawionym elektronicznych gadżetów! Jego niezaprzeczalny atut stanowiła nie tylko umiejętność pływania po wodzie, czego właśnie doświadczyliśmy, ale przede wszystkim potężny silnik astona martina, spalinowy potwór, który czynił z tej blaszanej larwy wyścigówkę. Poza tym był to całkiem sprawny pojazd terenowy.

I oto znaleźliśmy się niebezpiecznie blisko domku. Płynęliśmy, a raczej dryfowaliśmy już na wysokości chaty, wpatrzeni w nią jak w święty obrazek. Unoszący się swawolnie z komina dym przeczył potencjalnemu zagrożeniu. Plusnęła na środku jeziora ryba i wyrwała nas z zamyślenia. Wjechałem przednimi kołami na fragment płaskiego brzegu i zaciągnąłem hamulec ręczny. Klepnąłem magistra w plecy i zeskoczyłem na brzeg, ochlapując nogawki spodni zimną, jeziorną wodą.

- Powodzenia - rzuciłem w jego stronę.

- Nawzajem - przygryzł wargi i zaraz przesiadł się na moje miejsce. - Wracaj szybko. I w jednym kawałku.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ZNAJDUJĘ ZAKŁADNIKÓW * SPALONE PŁÓTNA W KOMINKU * DZIWNE ZACHOWANIE BENETTONÓW, CZYLI ZOSTAJĘ WINOWAJCĄ * URSULA W SZAFIE * W MINOROWYCH NASTROJACH DO PEEKSKILL * CO TRAPI REPORTERKĘ PAPPANI? * OKULARY, CZYLI PRAWIE JAK COLUMBO * PRAWDA O BENETTONACH * JESZCZE O JOKERZE W TALII * TELEFON O PORANKU

Z bliska chatka była większa niż oglądana z pewnej perspektywy. Z większej odległości jawiła się niczym zwykły jednopiętrowy dom zbudowany z drewnianych elementów, lecz bliskość dosadniej uwypuklała jej strzelistość, w czym zasługa stromego, dwuspadowego dachu. Taras wychodził wprawdzie na zachodni cypel jeziora, ale w stosunku do kierunku marszu był ustawiony pod pewnym kątem. To dawało szansę, że nie zauważą mnie, jeśli nie wszyscy uciekli plymouthem i fordem. A nawet jeśli ktoś tu był, pewnie wypatrywał nas teraz od frontu. Z pewnością nie spodziewano się wizyty od strony jeziora. Dodam, że nie zamierzałem stawić czoła uzbrojonym po uszy bandziorem, chciałem jedynie zorientować się w sytuacji - terroryści mogli zostawić po sobie jakiś ślad. Dlatego skradałem się niezwykle ostrożnie.

Dostałem się na taras, którego deski głośno zatrzeszczały. Musiałem wolno stapać, idąc wzdłuż pokrytej miejscami mchem ściany ku oszklonym drzwiom. Gdy już stanąłem obok nich, zajrzałem przez brudne szyby do wnętrza. Nie dostrzegłem w pierwszej chwili nikogo, jedynie fragment starego stołu, ścianę z półeczkami i naczynia walające się na drewnianej podłodze. Salon pławił się w szarej, mętnej poświacie.

Stanąłem na wprost owych drzwi. Wyteżyłem wzrok i wreszcie ich ujrzałem. Nie myliliśmy się - to tutaj T.O.E. przetrzymywała „cennych” zakładników! David Duncan! Leżał na podłodze obficie związany taśmą, lecz miał nie zaklejone usta. Przywarłem nosem do tłustej szyby i ujrzałem kolejnego zakładnika - Susan. Była tak samo unieszkodliwiona jak prawnik Benetton Oil.

Wszystko wskazywało na to, że terroryści naprawdę uciekli, porzuciwszy zakładników. Oto niewinna wycieczka do West Point, zakończyła się odnalezieniem zakładników w jakimś malowniczym zakątku nad jeziorem! Hurra! - chciałoby się krzyknąć. Lecz rozważa i doświadczenie kazały mi zachować ostrożność.

Słyszałem fragmenty rozmowy. Benettonowie coś omawiali. Teraz dostrzegłem pozostałych zakładników - braci Paula i RONALDA. Wszyscy siedzieli unieruchomieni na podłodze i tylko ogień dogasał w palenisku kominka. Zrozumiałem wreszcie, skąd wziął się ów dym z komina.

Mój wzrok skrzyżował się wreszcie ze wzrokiem Susan. Drgnęła. Widziałem błysk jej oczu i ogromne zdziwienie, wykrzywiające jej buzię. Jako jedyna z zakładników miała zaklejone usta. Pozostali zakładnicy nie widzieli mnie, tak bardzo pochłonęła ich rozmowa. „Czy gdyby Susan współpracowała z T.O.E., tak by ją potraktowali?” - zastanowiło mnie.

Krótkimi ruchami głowy wskazałem drzwi w salonie prowadzące do innych pomieszczeń - było to pytanie o terrorystów. Odpowiedziała mi serią zaprzeczających ruchów głowy. Szyba tłumiała skutecznie rozmowę prowadzoną wewnątrz chaty, ale zdawało mi się, że głosy ucichły. Wreszcie dostrzegli mnie pozostali zakładnicy. No jasne! Gdyby terroryści tu byli, ci ludzie nie rozmawialiby teraz jak na imieninach u

cioci. Teren był czysty! Na wszelki wypadek obszedłem dom dookoła i przez otwarte drzwi wszedłem do chatki. We wnętrzu pachniało wilgotnym drewnem, panował też niezły bałagan. Miąłem długi korytarz, zaglądnąwszy na ułamek sekundy do kuchni i pozostałych pokojów. Nikogo. Wreszcie dotarłem do salonu. Kopnąłem drzwi i wszedłem do środka.

Cała czwórka została solidnie skrepowana. Obezwładnionych ludzi rzucono na podłogę. Dla stworzenia namiastki rodzinnej atmosfery rozpalono w kominku ogień.

- To pan? - wydukał smutno Paul Benetton.

- Hej - próbował się uśmiechnąć Ronald.

Mój wzrok spoczął na palenisku. Dosłownie chwilę trwało odrętwienie, jakby do mej świadomości z opóźnieniem docierała informacja wzrokowa. W kominku napalono nie dla zabawy i stworzenia miłej atmosfery, to oczywiście, lecz dla spalenia obrazów! Widok kopających się drewnianych ram sparaliżował mnie. Stałem i wpatrywałem się w kominek jak zahipnotyzowany. Obrazy! Były tam. Pozostał jednak po nich popiół. Zrobili to! Przed ucieczką terroryści wrzucili do kominka obrazy z kolekcji Teda Benettona. A zatem spełniła się ich groźba. Może dogadali się z Benettonami co do pięciu milionów dolarów? Zresztą czy to teraz było najważniejsze? Spaliły się doszczętnie bezcenne płótna...

Nagle wybiegłem z salonu, nie udzieliwszy nikomu pomocy.

- Co się dzieje?! - krzyczał Ronald. - Hej, proszę nas uwolnić!

Zlustrowałem każde pomieszczenie. Wskakiwałem do każdej pakamery i szybko ją opuszczałem. Dopiero w kuchni, której okno wychodziło na nieużytek, zatrzymałem się na dłużej. Na środku pomieszczenia stała skrzynia, w której przewieziono niepełną kolekcję Teda Benettona. Siedem ocalałych obrazów, w tym wielki Matisse. Ta sama skrzynia nie tak dawno znajdowała się na zamku w Tarrytown.

Wróciłem przybity do salonu. Ignorując pokrzykiwania Benettonów, rzuciłem smętne spojrzenie na kominek. Dopiero po chwil - w milczeniu przepelnionym goryczą - zająłem się zakładnikami. Pierwszą uwolniłem Susan. Potem następnych.

- Znowu się spotykamy - dodał szczęśliwy Ronald.

- Ilu ich było? - zapytałem. - Nic nam nie grozi?

- Nie ma ich - zapewnił mnie Paul Benetton. - Uciekli.

Susan nie odzywała się. Przede wszystkim wyjęła z kieszonki spodni chustkę i porządnie wytarła zakatarzony nos. Podeszedłem do kominka i próbowałem wyciągnąć z niego spalone ramy. Nie było już co wyciągać, lecz warto było zabezpieczyć resztki jako dowód przestępstwa (dla policji, FBI i Lloyda). Gdy wyciągałem spalone drzewce będące jeszcze kilkanaście minut temu obramowaniem wielkich płócien, zastanawiałem się, który konkretny obraz podtrzymywały.

W salonie wyczuwałem dziwną atmosferę. Nikt nie komentował bestialskiego czynu terrorystów, a przecież właściciel każdej kolekcji powinien okazać, jeśli nie rozpacz, to przynajmniej wściekłość. Wyciągając z paleniska kolejny fragment ocalałej ramy, zerknąłem na nich uważnie. Jedni usiedli na podłodze i zaczęli rozmasowywać sobie członki, inni przykucnęli na stołkach, wszyscy zaś unikali kontaktu wzrokowego.

Za chwilę zrozumiałem w czym rzecz. Słowa, które wypowiedział David Duncan sprowadziły mnie z powrotem na ziemię.

- Dziękujemy, że nas pan uwolnił - rzekł wolno, z namysłem - ale niepotrzebnie pan się zjawił. Zaskoczył pan terrorystów i chwala panu za to. Zwiali i zostawili nas w spokoju. Ale właśnie ten pośpiech i panika spowodowały, że uciekli, wrzuciwszy obrazy do kominka.

Wziąłem głęboki wdech. Nie wierzyłem własnym uszom. David Duncan oskarżał mnie o zniszczenie dzieł. Zerknąłem na Susan, która natychmiast spuściła wzrok.

- Siedzieliście tu sobie i układaliście się z terrorystami - westchnąłem ciężko. - Rozumiem, że świadkowie byli zbędni.

- Nie obrażaj się, chłopie - zachnął się Ronald.

- To była jedyna szansa na uratowanie dzieł - dalej nawijał Duncan i trzeba przyznać, że umiał mówić. - Rozumie pan, co to są negocjacje?

- Negocjacje musiały mieć szczególny charakter, skoro zakneblowali Susan. Podobnie jak w zamku, musiała protestować, więc ją uciszili kawałkiem taśmy samoprzylepnej. O jakie więc negocjacje chodziło, panie Duncan?

Coraz bardziej nabierałem podejrzeń, że owa kolekcja zawierała falsyfikaty. Bzdura nabierała sensu.

- Terrorysty zabraliby dzieła - kontynuował - i po wpłaceniu pięciu milionów dolarów otrzymalibyśmy z powrotem obrazy. Była szansa na ich ocalenie, no cóż... już po wszystkim! Przestraszyli się pana i spalili je.

Paul Benetton siedział na stołku i nie odzywał się. Sprawiał wrażenie człowieka załamanego. Pierwszy wstał najbardziej rozluźniony z nich Ronald, po nim Susan. Podeszli do paleniska i w milczeniu przepelnionym żalem, oglądali marne resztki, które kiedyś były obrazami.

Popatrzyłem na Duncana.

- I państwo uwierzyli tym rozbójnikom z T.O.E.? - dziwiłem się. - Skąd pewność, że zwróciliby wam dzieła? Wierzycie im? Po tym jak podpalili szyb Benetton Oil?

- Podpalili? - ożywił się Paul. - A to skurczybyki! Oszuści! Dranie!

- A co pan myślał? - prychnąłem. - To barbarzyńcy. Wiem, że nie powinienem się wtrącać w państwa sprawę, lecz część obrazów miała być подарowana narodowi polskiemu, a zatem jest to poniekąd i moja sprawa. Wyłączając polski akcent tej marnej przygody, jestem przede wszystkim historykiem sztuki i nie mogę przejść obojętnie obok tego bezprecedensowego wydarzenia...

- Mnie też to boli - załkała Susan. - Lecz gdyby nie twoje najście, obrazy ocalałyby.

- Ty też? - popatrzyłem na nią z wyrzutem.

Machnąłem ręką i odwróciłem się twarzą do jeziora. Podeszedłem do drzwi tarasowych, z trudem je otworzyłem i wyszedłem na zewnątrz.

- Hej, Jan! - zawołałem w kierunku magistra siedzącego w wehikule na brzegu jeziora. - Chodź do nas! Teren czysty!

Magister męczył się z uruchomieniem silnika, a ja sobie właśnie o czymś przypominałem.

- A czy nie widzieliście wśród obrazów van Gogha? - zapytałem.

- Van Gogha? - zmarszczył czoło Paul. - Dlaczego pytasz?

- Mieli go czy nie? „Słońce w pejzażu”?

- Nie mieli - odezwała się zdenerwowana Susan. - Dowiedzieli się, że ktoś zwinął to dzieło jeszcze na zamku. Byli wściekli.

- To dziwne, prawda? - mruknąłem. - Van Gogha musiał zabrać ktoś z zakładników. Osoba, która popsowała monitory i zniszczyła nagrania z kamer umieszczonych wokół zamku. Joker.

- Mówisz poważnie? - zdziwiła się Susan.

- Jaki znowu Joker? - zainteresował się Ronald.

- Tak go nazwałem. On polował na ten konkretny obraz i atak terrorystów na zamku pokrzyżował mu plany. Może faktycznie kolekcja była fałszywa i tylko ten jeden van Gogh był oryginałem? I Joker o tym wiedział, dlatego zabrał tylko jedno płótno. Teraz to bez znaczenia, gdyż ogień wszystko strawił. A może... - zamyśliłem się - chodziło jeszcze o coś innego.

- O co? - pytał Ronald.

- Joker znał kod dostępu do elektronicznego zabezpieczenia strzegącego wejścia do biblioteki. Ktoś mu go udostępnił. Pomyślałem sobie, że miał może umowę na ten jeden konkretny obraz. Van Gogha.

- Z kim? - wściekł się Paul. - Gada pan zagadkami?

- Nie wiem, tylko głośno myślę. Z innym zakładnikiem.

- Uważa pan, że to ktoś z nas? - obruszył się Duncan.

I popatrzył na mnie groźnie. Oczami dał mi ostrzeżenie. Nie byłem w Polsce, a tutaj nie można było bezkarnie w obecności ludzi rzucać podejrzeń.

- Zaraz - klepnąłem się dłonią w czoło. - A gdzie jest piąty zakładnik?

- Kto taki?

- Reporterka Pappani - rozejrzałem się po salonie. - Prawdziwa Ursula! Bo ta wiedźma z T.O.E. znowu się za nią przebrała.

- Tu jej nie ma. Nic nam nie wspominali.

- Ursula! - krzyknąłem i wybiegłem z salonu. - Jesteś tu?!

Znalazł ją dopiero David Duncan. Związaną i zakneblowaną reporterkę zamknięto w starej, dwudrzwiowej szafie w pomieszczeniu sąsiadującym z salonem. Była tam cały czas, wciśnięta niczym stara pierzyna. Zdjęto z niej marynarkę, więc była w spodniach i samym T-shircie. Kiedy ją wyciągaliśmy z szafy, miała zamknięte oczy. David Duncan szarpał kobietę za rękę, jakby chciał ją wyrwać.

- Pani Pappani! - krzyczał. - Proszę się obudzić!

Reporterka otworzyła z trudem oczy.

- To my! - próbował się uśmiechać Ronald. - Spokojnie, mała, terrorystów już nie ma.

Oderwaliśmy taśmę z ust, nadgarstków i stóp kobiety, a następnie pomogliśmy jej wyjść z szafy. Reporterka Pappani szybko odzyskała przytomność. Chwiała się nieco na nogach, ale nie przyjęła pomocy od nikogo z nas. Nie mogła nigdzie znaleźć swoich drucianych okularów, więc wyjaśniłem szybko, że zabrała je terrorystka, jej „sobowtór”.

To była prawda. Kobiety były do siebie podobne! Przecież na zamku nie dostrzegłem różnicy między prawdziwą reporterką z baru w Greenwich Village a fałszywą na zamku. Na szczęście, tym razem zdradził terrorystkę pierścionek na palcu.

- Rzeczywiście - szepnęła reporterka. - Zdaje się, że mówiła do swoich kumpli, że ma identyczną wadę wzroku co ja.

- Poradzisz sobie bez okularów?

- A mam wyjście?

Streściłem przebieg ostatnich wydarzeń w domku i poza nim. Potem mówiła reporterka.

- Przespałam wszystko w szafie - odezwała się. - Zaskoczyli mnie nad jeziorem Peekskill. Pewnie przycaili się gdzieś w okolicy i obserwowali teren. Jak wracałam, zaskoczyli mnie. Dali środek odurzający i zawieźli tutaj. Obudziłam się dopiero teraz w tej szafie.

- I niczego pani nie słyszała? - dopytywał się Duncan.

- Przecież straciłam przytomność.

- Rodzina Benettonów - zacząłem z grubej rury - oskarża mnie o nieświadome zniszczenie kolekcji Teda. Co ty na to? Szkoda, że przespałaś najlepsze. Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób dogadano się z terrorystami.

- To absurd - zachnęła się reporterka. - Ty winowajcą?

- Też tak uważam - podziękowałem jej spojrzeniem.

- Niech pan nie przesadza - wtrącił zdenerwowany Paul. - Nikt pana nie oskarża, ale byłoby lepiej dla losów kolekcji, gdyby zjawił się pan później.

- Terrorysty zgodzili się za pieniądze odstąpić nam kolekcję - wyjaśnił Duncan.

- A ja - dodałem - wystraszyłem bandziorów. Zauważyli mnie pod lasem i nawet chcieli zaprosić do chatki. Przyjemniaczki. Gdy nie przyjąłem zaproszenia i wycofałem się, uciekli twoim plymouthem.

- Nie mieli wyjścia - warknął Duncan.

- A co, miałem dać się złapać? - oburzyłem się.

Nikt nie odpowiedział na to retoryczne pytanie. Pewnie w ich mniemaniu był to świetny sposób na ocalenie kolekcji. Gdy się głębiej zastanowić, rzeczywiście, było to jakieś wyjście.

- Dlaczego terroryści nie zabrali obrazów? - myślałem na głos. - Wystraszyłem ich. Zgoda. Mogli jednak uciec, zabrawszy ze sobą obrazy? Potem zadzwoniliby do państwa z żądaniem okupu, a po otrzymaniu żądanej kwoty, zwróciliby wam dzieła. Czemu tego nie zrobili? He?

- Wystraszył ich pan! - odpowiedział Duncan. - Wpadli w panikę.

- Czyżby? - zrobiłem sceptyczny grymas.

Jakoś nie chciało mi się wierzyć w głupotę terrorystów. Moim zdaniem, Benettonowie ułożyli się z T.O.E. według propozycji powstałej jeszcze na zamku, lecz nikt z rodziny nie śmiał mi o tym powiedzieć. Gra toczyła się o miliony, a ja byłem niewygodnym świadkiem. Ja i Ursula. O tym, że coś tu nie grało, świadczyła zmieszana mina Susan, która podczas tej rozmowy trzymała się na uboczu. Już sam nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić. Jeśli terroryści spalili obrazy, to tylko z tego powodu, że były falsyfikatami, a jedyny cenny oryginał zwinął Joker na zamku.

Pod dom zajechał wreszcie wehikułem magister.

- Spokojnie - uspokoiłem zaniepokojonych Benettonów. - To Jan Pietraś, którego poznaliście na zamku.

- Proszę państwa! - odezwał się Paul. - Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Wracajmy do cywilizacji. Napiłbym się brandy, wykapał... chcę opuścić tę chatę. Jeżdźmy. W Peekskill zawiadomimy policję.

- Jeszcze zdążymy się nagadać - żartował Duncan. - Podczas przesłuchań.

Ruszyliśmy ku wyjściu. Przezornie zabrałem kilka ocalałych ram, zapakowawszy je do znalezionej w kuchni torby. Wyszliśmy na ganek.

- Jak wrócimy? - zdenerwował się Ronald. - Pieszco?

- Wehikułem - wskazałem maszynę.

- Czy to dojedzie? Zmieścimy się wszyscy?

- Ma potężny silnik - uśmiechnąłem się. - Ponad 500 koni mechanicznych. Miejsca też ma dużo.

- Doprawdy? Wygląda na skrzyżowanie traktora z kanoe.

- Wiem o tym. Różnie go nazywano. Był już pokraką, beczkowitzem i konserwą na kółkach.

- Nie stać pana na lepszy pojazd?

- Po co mi inny, skoro ten jest najlepszy?

- On nawet pływa - pochwalił się magister.

Wzruszyli ramionami i popatrzyli na nas jak na żartownisiów. Brakowało tylko informacji, że wehikuł umie strzyc barany.

Odjechaliśmy w stronę lasu zaczynającego się za nieużytkiem. Pojazd dzielnie znosił obciążenie, co było zasługą solidnego podwozia „pożyczonego” z rajdowego samochodu terenowego. Silnik zaś kpił sobie z tego ciężaru. Inna sprawa, że na tylnym siedzeniu panował okropny ścisk - pięć osób zostało ściśniętych jak sardynki w puszcze. Jedyne reporterka została wyróżniona miejscem obok kierowcy jako najbardziej poszkodowany zakładnik płci pięknej. Co pewnie - tak na marginesie - nie spodobałoby się amerykańskim feministkom. Ale już taki był ze mnie staroświecki dziwak.

Kiedy wyjechaliśmy na lepszą drogę w okolicach jeziora Peekskill, dodałem gazu, lecz nie forsowałem silnika. Utrzymując średnią prędkość 50 mil na godzinę, dojechaliśmy szczęśliwie na miejsce. W drodze myślałem o całej sprawie, o dziwnym zachowaniu Benettonów i jeszcze dziwniejszym - terrorystów. Zgadywałem, kim była osoba buszująca w bibliotece zamku w noc ataku terrorystów - złodziej van Gogha. Joker w tali kart. Na odpowiedź musiałem jeszcze poczekać.

Do Elmsford wyruszyliśmy pod wieczór, znużeni wycieczką w okolice Peekskill i męczącymi przesłuchaniami na tamtejszym posterunku. Nie udało się zobaczyć West Point, w zamian los podarował nam kolejną przygodę. Nie interesowałem się Benettonami. Jak tylko nas wypuszczono, pojechaliśmy do motelu. Ich - trójkę Benettonów i Duncana - czekała dłuższa wizyta na policji. Wracaliśmy w trójkę: ja, kolega Pietraś i reporterka Pappani, którą puszczone razem z nami.

Już od pewnego momentu wiedziałem, że coś ją gnębi. Takie wrażenie odniosłem już w chacie nad jeziorem i teraz zapytałem ją o to wprost.

- Czy czegoś nie wiem? - rzuciłem na nią badawcze spojrzenie. - Powinienem coś wiedzieć?

- Nie - zaprzeczyła szybko. - Czemu?

- Obrazy zniszczono, zakładnicy są wolni i teraz Lloyd zapłaci Benettonom dziesięć milionów dolarów. Za van Gogha i Matisse'a. W sumie Paul na tym zyska. Pozostali też przyjęli to ze zrozumieniem. Może dlatego terroryści z T.O.E. byli mu potrzebni?

- Jak to? - popatrzyła na mnie przelotnie i przeniosła wzrok na rzekę Hudson rozlewającą się za oknem wehikułu po prawej stronie.

- Już to przerabialiśmy na zamku.
- Paweł ma rację - wtrącił Pietraś. - Co by Paulowi Benettonowi przyszło z darowizny? Spełniłby wolę ojca i koniec. A tak zyska miliony, muzea nic.
- Sugerujecie, że terroryści współpracowali z Paulem? - wzdrygnęła się - Przecież podpalili jeden z jego szybów.
- Co tam jeden szyb, jeśli można zyskać dziesięć... milionów dolarów. Właściwie pięć, bo musimy odjąć drugie pięć dla T.O.E. Czyż nie to było obiektem targów w chatce? Już na zamku próbowano to załatwić.
- Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w rzekę i milczała.
- Przecież zamknęli mnie nieprzytomną w szafie - rzuciła nagle. - Ocknęłam się, gdy oni już odjechali. Nic nie wiem.
- Nie jestem tego taki pewien. Musiałś coś słyszeć.
- O czym mówisz?
- Okulary - powiedziałem spokojnie. - W chacie twierdziłaś, że wszystko „przespałaś” zamknięta w szafie, a jednak słyszałaś, jak terrorystka mówiła do kumpli, że twoje szkła były dla niej odpowiednie. Kiedy niby to słyszałaś? W szafie? Przecież cię odurzyli.
- Co ty, Columbo jesteś? - zachnęła się.
- Odurzyli cię zaraz po porwaniu, ocknęłaś się dopiero po otwarciu szafy. Nawet sobie wtedy pomyślałem, że dziwnie szybko doszłaś do siebie. Chwiałaś się, ale to z powodu braku okularów, a nie osłabienia po środku farmakologicznym.
- Zaraz - podrapał się w głowę Pietraś. - Co ty sugerujesz, Paweł? Że pani Ursula udawała? Sama się zamknęła w szafie?
- Nie - odpowiedziałem i zerknąłem z triumfującym błyskiem w oku na reporterkę. - Naprawdę ją porwali, zakneblowali, ale nie podali jej żadnego środka. Ursula słyszała rozmowę w salonie chatki.
- Powiem - zawstydziła się. - Ale i ty mi powiesz, co wiecie. Zrobimy wymianę. I ani słowa, że coś ci powiedziałam.
- Zgoda.

Powiedziała nam dopiero, gdy zjechaliśmy z trasy 9A. Z tej okazji wstąpiliśmy do baru na kawę. Pappani czuła się nieswojo, gdyż złożyła niepełne zeznania, uboższe o kilka faktów. Nie powiedziała całej prawdy i zrobiła to - jak zapewniała - z powodu zawodowej choroby. Już tak było z reporterami na całym świecie, że często działali na własną rękę, tłumacząc się dobrem śledztwa dziennikarskiego. Nie inaczej było z naszą Pappani. W chacie jej opinia o rodzinie Benettonów i aferze w Tarrytown uległy przeobrażeniu. Wprawdzie T.O.E. była prawdziwą bojówką ekologów pragnącą dokonać sabotażu szybów naftowych w okolicach El Paso, jednak na zamku terroryści mieli możliwość upieczenia dwóch pieczeni na jednym ogniu. Dzieła z kolekcji Teda Benettona były smacznym kąskiem dla każdego, nawet dla laika sztuki, mogli więc szantażem wyrwać Benettonom kilka milionów dolarów. Tym bardziej, że spadkobierca Paul zyskałby na tym pięć milionów dolarów.

Wystarczyło zniszczyć dzieła, żeby Lloyd zwrócił odszkodowanie! Sprzedaż dzieł to ryzykowna transakcja dla ekologów.

- O tym rozmawiali terroryści z Benettonami - kontynuowała. - Tylko Susan protestowała, więc zamknęli jej buzię. Paul Benetton układał się z terrorystami. O tym

ci nie powiedzieli wprost, bo nie mogli. Gdybyś wypaplał o tajnym układzie Benettona z T.O.E., jego kariera polityczna byłaby złamana. Dlatego ten Duncan tak bardzo się dopytywał, czy czegoś nie słyszałam. Rozumiesz? Udałam nieprzytomną.

- A to ci heca - zachichotał Pietraś.

- Ale to nie wszystko? - popatrzyłem na nią.

- Nie - kiwnęła głową, aż zafalowały kolorowe światła baru na jej bladych policzkach. - Po ucieczce terrorystów w salonie zawrzało. Ronald powiedział do brata coś szokującego, co zmieniło mój pogląd na tę sprawę i na wizerunek osoby Paula, polityka i szanowanego Amerykanina.

- Mów!

- Z tej rozmowy wynikało, że dawno temu Paul oszukał ojca. Zrobił wielki przekręt, lecz winę zrzucił na brata. Ronald został wyklęty przez Teda. Dożywotnio. Stąd ta ich niechęć. Ale to Paul był winny. To on zamienił najcenniejszy obraz z kolekcji ojca. Zabrał oryginał, a wstawił falsyfikat.

- Van Gogh?! - niemal krzyknąłem.

- Wykonała go nieżyjąca żona Paula. Absolwentka wydziału historii sztuki. Susan odziedziczyła po matce zainteresowanie sztuką, jak widzisz.

- Na szczęście nie odziedziczyła genu fałszerza sztuki - dodałem.

- Na to wychodzi, bo córeczka ostro się stawiała.

„A ja podejrzewałem Susan” - pomyślałem. „Dziwne, ale Pietraś dałby uciąć sobie głowę, że widział ją rozmawiającą z terrorystą. Może to nie był terrorysta! A może Pietrasiewi się zdawało?”

Popatrzyłem na kolegę. Pietraś zrobił kwaśną minę, ale się nie odzywał.

- Teda zabolowało fałszerstwo i wyklął Ronalda - opowiadała dalej Ursula. - Dlatego zapisał wszystko w testamencie Paulowi. Ronald wiedział jednak, że to nie on jest winny. Prawdopodobnie podejrzewał Paula, lecz nie miał dowodów. Inaczej już dawno zdemaskowałby brata. Po śmierci ojca Ronald zaatakował. Był przekonany, że Paul odda fałszywego van Gogha muzeom. Wiedział o tym, że jest fałszywy. Miał haka.

- I nieoczekiwanie kupił akcje Benetton Oil - zaśmiałem się. - Za symboliczną stawkę, jak mniemam.

- Bracia zawarli pewien układ: Paul miał oddać muzeom oryginał wraz z kolekcją, Ronald zaś miał dostać czterdzieści pięć procent udziałów w firmie.

- Wyjaśnił się powód obecności Ronalda na zamku - rzekłem. - Zastanawiało mnie, po co on przyjechał, skoro nie lubili się z Paulem. Teraz wszystko jest jasne.

- Ronald wątpił w uczciwość brata i dlatego stawiał się osobiście na zamku. Czy wiesz, że to on wynajął agencję ochrony?

- Nie Paul?!

- Nie.

„Tego mi nie powiedział” - pomyślałem o Ronaldzie. Nie do końca był ze mną szczery, zarówno w temacie jego udziałów w firmie Benetton Oil, jak i obrazu van Gogha.

- Rozumiem - kiwnąłem głową. - Potem był atak T.O.E. i sytuacja wymknęła się z ręki. Były nasze ucieczki i Joker w talii kart. No i spalenie polskich obrazów na dziedzińcu.

- Kto? - zrobiła wielkie oczy. - Jaki Joker?

- No ten, który myszkował nocą w bibliotece pod nosem T.O.E. i zniszczył nagrania wideo. Ten, który mnie śledził białym dodge'm. Tajemniczy osobnik. Człowiek niezwiązany z T.O.E. Kim jest?

- Nie wiem - kiwnęła głową.

- Reasumując - wtrącił kolega Pietraś. - Terrorysty zniszczyli wszystkie obrazy poza dziełem van Gogha.

- Właśnie!

- Gdyby nie interwencja Ronalda - myślałem na głos - Paul z pewnością włączyłby do kolekcji fałszywego van Gogha i Joker ukradłby falsyfikat. A tak, nie mamy nic.

- Poza wysokim odszkodowaniem - uśmiechnął się kwaśno magister.

Milczeliśmy, zastanawiając się, kto mógł ukraść van Gogha? Na zakończenie zapytałem Ursulę, czy zamierza zmienić zeznania na policji.

- Co to teraz zmieni? - zaprzeczyła. - Faktów nie zmienisz. Terrorysty naprawdę zniszczyli obrazy, a van Gogha możemy wspólnie wytropić.

- To propozycja? - uśmiechnąłem się.

Lecz wcale nie było mi do śmiechu. Nie odwiozłem reporterki do domu. Poprosiła mnie, abym podrzucił ją do przyjaciółki mieszkającej na Brooklynie. Jak na złość w Nowym Jorku spadł deszcz i przed Triborough Bridge zrobił się korek, więc jechaliśmy ze dwie godziny. Ursula obawiała się, że terrorysty mogą złożyć wizytę w jej domu w White Plains i wołała zdrzemnąć się u koleżanki. Nie chciała być porwana przez T.O.E. trzeci raz.

- Nie mam tylu ubrań - żartowała. - Ta okropna terrorystka zabrała mi moją ulubioną skórę, o karcie kredytowej i okularach nie wspomnę. Niech no ją tylko dorwę.

Zmęczeni pożegnaliśmy się, obiecawszy skontaktować się telefonicznie z samego rana. I spróbować „pomóc” FBI w odnalezieniu van Gogha. Niektóre fakty z burzliwych dziejów rodziny Benettonów należało dokładniej zbadać, nagłaśnianie niesprawdzonych podejrzeń groziło pomówieniem i procesem sądowym. Duncan dał mi to do zrozumienia nad jeziorem. Relacja dziennikarki z rozmowy przeprowadzonej przez terrorystów z Benettonami nie miała żadnej wartości dowodowej. Była sensacją, to fakt, lecz reporterka nie miała świadków. Ja jednak podejrzewałem, że Ursula chce upichcić niezły reportaż i dlatego zrezygnowała z zeznań. Gdyby znalazła Jokera - złodzieja van Gogha - miałaby swoje pięć minut i to nie tylko w lokalnej telewizji.

Z samego rana obudził mnie telefon. Zaspany i obolały z trudem wygrzebałem komórkę z kieszeni kurtki. Dzwoniła Ursula. - Morning - rzuciła niedbale. - Na nogach?

- Ja... że co?

- O, widzę, że odsypiasz! To wstawaj i przyjeżdż...

Podawała adres w Yonkers. W tym oto mieście sąsiadującym od północy z Bronxem - dużym skupiskiem kolorowych i emigrantów, także Polaków - policja znalazła porzucony samochód reporterki. Była więc okazja do spotkania w szczególnym miejscu.

- Co jest? - otworzył jedno oko zaspany Pietraś.

- Mają plymoutha.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

**CZY WYBIERAM SIĘ NA RANDKĘ? * PORZUCONY PLYMOUTH W YONKERS *
PO CO TERRORYSTOM KASETA WIDEO? * BIAŁY DODGE NA EKRANIE *
W GREENWICH * MY W SPRAWIE OBRAZU * W SALONIE Z DWIEMA DAMAMI *
WHO IS WHO? * KOŃCOWY BLEF * ROZWAŻAM SPRAWĘ NAD GRENLANDIĄ *
SŁUŻBOWE ROZTERKI MAGISTRA PIETRASIA * PRÓBKĄ POEZJI MNIE SZOKUJE**

Nawet się nie ogoliłem, wziąłem jedynie prysznic. Podczas toalety złapałem się na tym, że spotkania z Ursulą nie traktuję wyłącznie jako misji detektywistycznej. Po prostu chciałem się z nią spotkać dla niej samej. Czy to grzech? Nie żebym od razu się zakochał, ale miło było ją zobaczyć.

- Co ty tak się wyperfumowałaś, Pawle? - zauważył powracający z łazienki magister.
- Wybierasz się na randkę?

Nie wiedzieć czemu zarumieniłem się. Grzebiąc w torbie z ciuchami, widziałem w wewnętrznym lustrze szafy magistra obserwującego mnie badawczo. Ciekawe, co sobie o mnie naprawdę myślał? Że perspektywa spotkania z atrakcyjną Ursulą mnie tak pobudziła? Do licha z magistrem!

Po godzinie byliśmy w Yonkers. Niedaleko pomnika Kościuszki (co za przypadek!) nieznanymi sprawcy porzucili skradzionego reporterce plymoutha. Podejrzewaliśmy, że to sprawa T.O.E., więc policjanci prowadzący śledztwo automatycznie skontaktowali się z FBI. Samochód porządnie sfotografowano i zebrano odciski palców. Potem auto miało być przewiezione w inne miejsce - na parking FBI.

Ursulę poproszono o pobieżne sprawdzenie samochodu.

- Proszę sprawdzić, czy nic nie brakuje? - poprosił ją czarny agent o puciołowatej twarzy, lecz o żywych oczach.

Okazało się, że terroryści nie połazczyli się na kamerę - bądź co bądź drogi, profesjonalny sprzęt - ani na inne cenne przedmioty. Połazczyli się na co innego.

- Zniknęła kasetka wideo - oświadczyła Ursula. - Poza tym wszystko jest na swoim miejscu.

- Kasetka? - zdziwił się agent FBI. - Co było na tej kasecie?

- Nic szczególnego. To stara kasetka z jakąś paradą w White Plains. Trzymałam ją w schowku... Zaraz, zaraz. Poprzednio, po tym pierwszym napadzie, w kamerze brakowało kasetki z końcówką materiału z Nowego Jorku. Nagraliśmy idących Manhattanem gości z Polski. Kilka minut dosłownie. Potem chcieliśmy dograć zdjęcia z zamku w Tarrytown.

- Dziwne - mruknął agent. - Szukają czegoś na tej kasecie?

Ursula zamilkła. Nie byliśmy więcej potrzebni. Jako że w nocy reporterka zdobyła (swoimi kanałami) wiele informacji w naszej sprawie, postanowiliśmy przedyskutować to i owo. Usiedliśmy w ciemnej salce baru, którego okno wychodziło na ruchliwą, pnącą się do góry i błyszczącą w słońcu ulicę w Yonkers. Mieliśmy aż dwie godziny do spotkania w siedzibie Polskiego Instytutu Naukowego na Manhattanie.

- Terrorystów złapano dzisiaj nad ranem pod El Paso - mówiła Ursula. - Pierwszy pożar im nie wystarczył, więc zaplanowali podpalenie drugiego szybu. Na szczęście FBI czuwało na miejscu i rano schwytano całą bandę. Prawie całą, oprócz znanego nam rudzielca zwanego Garethem. Porównują jednak jego odciski palców z pozostawionymi na zamku w Tarrytown, w moim aucie i na ramach po obrazach, które

zabezpieczyłeś w chatce nad jeziorem. Prasa donosi dzisiaj o złodzieju van Gogha! Twój Joker staje się popularny. Oczywiście, zeznania Benettonów jak dotąd nic nie wyjaśniły. FBI zastanawia się, jakim cudem Joker znał kod dostępu do wrót strzegących kolekcję? Towarzystwo Lloyda również rozpoczęło swoje własne śledztwo i wyznaczyło nagrodę w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów za odzyskanie van Gogha. Kolejna sprawa, dla mnie najbardziej smutna. Otóż włamano się do mojego domu w White Plains. Dziś w nocy. A widzicie, miałam przecucie, żeby nocować u koleżanki!

- Coś zginęło?

- Nic, poza kasetami wideo.

- I nie poinformowałam o tym agenta FBI? - wbiłem w nią wzrok.

- Zapomniałam.

- Dziwne.

Domyślaliśmy się, że Gareth czegoś szuka. Złapani w Teksasie terroryści nie chcieli nic powiedzieć. Zlecenie dostali od anonimowego szefa i już. Wiadomo było jedynie, że ukradli helikopter i samochody, tydzień temu zaś włamali się do szpitala w Albany, z którego skradli kilka pojemników z ksenonem - gazem usypiającym. Byli najemnikami. A zatem Gareth interesowały kasety wideo.

- Czego na nich szuka? - zastanawiała się Ursula.

I nagle, gdy siedzieliśmy w chłodnej i ciemnej salce pubowej, olśniło mnie.

- Nie czego - wyszeptalem triumfalnie - a kogo?

- Paweł, znowu zaczynasz? - westchnął Pietras. - On tak zawsze.

- O co ci chodzi? - popatrzyła na mnie, mrużąc oczy.

- Wspominałaś o kasecie, którą miałaś w kamerze przed wyjazdem na zamek - zacząłem szybko mówić. - Co zrobiłaś z pierwszą?

- Terroryści napadli na nas po południu. W studio byliśmy od rana, bo montowaliśmy zaległy materiał... wyszliśmy ze sprzętem nieco po szesnastej. Chcieliśmy sfilmować zamek Tarrytown w słonecznym świetle i potem pojechać do hotelu. Napadli nas w drodze na zamek...

- Co z pierwszą kasetą, na której nagrywałaś nas na Manhattanie?! - wstałem.

Zastanawiała się.

- Mam ją chyba w biurku! Nie zostawiłam w wozie ani w domu. Nie, na pewno nie!

Nie dopiliśmy napojów do końca. Barman zarobił kilka dolarów, bo nikt z nas nie czekał na wydanie reszty. Z piskiem opon ruszyliśmy do studia w White Plains.

Kaseta wideo z materiałem, który Ursula nagrała w Nowym Jorku na dzień przed wizytą w Tarrytown, leżała w szufladzie jej biurka. Zostawiła ją tam i zapomniała o niej, gdyż materiał nie był w zasadzie istotny. Sfilmowali mnie i Pietrasia łączących po Manhattanie, liczyli na więcej, ale się przeliczyli. Były też budynki Polskiego Instytutu Naukowego oraz Instytutu im. Józefa Piłsudskiego, trochę ujęć Manhattanu i nic więcej. Kiedy kaseta się skończyła, włożyła nową, na której nagrała kilka minut z Nowego Jorku. Tę drugą, jak już wiemy, ukradli terroryści dzień później. Teraz widocznie szukali poprzedniej.

- Czego szukasz? - zapytała po skończonym pokazie na przyspieszonej prędkości.

- Cofnij do momentu naszego spaceru po Greenwich Village!

Zrobiła o co ją poprosiłem. Ujrzelśmy Pietrasia idącego ze mną ulicami Dolnego Manhattanu po spotkaniu w Polskim Instytucie Naukowym.

- To ja? - zmartwił się Pietraś. - Ale głupio wyglądam.

- Cicho - skarciłem go.

Patrzyliśmy dalej. Przeszliśmy 3 aleję i skierowaliśmy się na Greenwich Village. Rozpoznałem Washington Square przy dzielnicy uniwersyteckiej i nagle ujrzałem to, na co czekałem. Kamera ekipy telewizyjnej uchwyciła nasze plecy z pewnej odległości. Lecz za nami jechał wolno biały dodge pickup. Ten sam, który śledził nas dzień później w drodze do Tarrytown i który zjawił się na zamku. Tajemniczy osobnik w białym pickuapie śledził nas, nie zdając sobie sprawy, że jest przypadkowo nagrywany przez ekipę Urszuli. Tej oto właśnie kasety szukali terroryści! Bo oni szukali złodzieja van Gogha. Tak jak i my go szukaliśmy. Ursula zatrzymała kadr filmu na ujęciu pickupa.

- Oto Joker - puknąłem w ekran telewizora.

- O zesz ty - wyrwało się magistrowi.

Jak na zawołanie zjawił się jakiś technik, który wyostrzył obraz i nieco go rozjaśnił. Pierwsze zabiegi nie dały rezultatów - siedzący w samochodzie osobnik był niewidoczny. Dopiero następne ujęcie ujawniło całą prawdę o tajemniczym złodzieju. W pickuapie siedziały dwie osoby.

Jeśli myślicie, że to koniec przygód, to jesteście w błędzie. Następnego dnia odwiedziliśmy sąsiedni stan Connecticut. Zawitaliśmy do Greenwich, pięknie położonej miejscowości nad zatoką Long Island Sound. Nieduże Connecticut jest w rzeczywistości ekskluzywnym przedmieściem Nowego Jorku, bogatym i konserwatywnym stanem, w którym mieszka wielu Polaków. Niektórzy z nich dorobili się nawet dużej fortuny, jak chociażby klan Sendzimirów czy Rudolf Orkisz. Greenwich to rozległe tereny nad zatoką. Samo miasteczko nie zachwyca swoją niską zabudową, choć jest schludne i można w nim spotkać wiele ładnych budynków. Jeżdżą po jego ulicach naprawdę drogie samochody, przechodnie zaś są dobrze ubrani. O jego uroku świadczy bliska obecność wody i wiele wspaniałych rezydencji, przeważnie ukrytych przed okiem ciekawskich. Są tu prywatne kluby jachtowe, pola golfowe, parki i drogie hotele. Dalej od zatoki - na północy - spotkamy rozległe łąki, mokradła, hektary lasów i cudowne wzgórza. Gdzieś tam znajdziecie rezydencje naprawdę bogatych ludzi. To tutaj, w Greenwich, dorastał 41. prezydent USA George Herbert Walker Bush. Mieszkają tutaj też Rockefellerowie i inne wpływowe rodziny, słynni aktorzy, sportowcy i biznesmeni (między innymi finansjera z Wall Street). Uważa się Greenwich za drugie pod względem bogactwa miejsce w Stanach Zjednoczonych, zaraz po Hollywood!

Ale nie dla podziwiania uroków Greenwich przyjechaliśmy w gorący majowy dzień z kolegą Pietrasiem i Ursulą. Umówiliśmy się, że zostawimy magistra na głównej ulicy miasteczka pełnej ekskluzywnych sklepów i dalej pojedziemy na północ do rezydencji Dwóch Dam. Pietraś obiecał czekać na nas cierpliwie w kafejce na rogu alei Greenwich i Havemayer. My pojechaliśmy dalej wehikułem. Była dziesiąta rano.

Za miasteczkiem teren podniósł się wyżej i pojawiło się więcej zieleni. Znaleźliśmy odpowiednią alejkę i przejechaliśmy nią około mili, mijając ładne rezydencje, które stanowiły zaledwie przykrywkę do tego, co miało nas spotkać.

Wreszcie natrafiliśmy na rozjazd. Styłowy drogowskaz wskazał nam właściwą drogę wysadzaną kamieniami, która prowadziła pod samą bramę otwieraną elektronicznie. Nie liczyliśmy na łut szczęścia, przyjeżdżając tutaj. Wcześniej wykonaliśmy głuchy telefon, który upewnił nas, że gospodynie przebywają w domu. Ich numer zdobyła jakimś cudem Ursula. Najpierw wcisnęliśmy odpowiedni guzik domofonu.

- Tak? - z głośnika doleciał nas zachrypnięty głos starszej kobiety.

- My w sprawie obrazów - wyjaśniła Ursula.

- Obrazów? Kim pani jest?

- To poufna sprawa. Lepiej będzie omówić ją w spokoju. Aha, jest ze mną mój znajomy, który gościł ostatnio w zamku Tarrytown. Chce z panią pogawędzić, zanim pójdzie do FBI.

Zerknąłem na małą kamerę umieszczoną wysoko nad bramą. Pewnie w tej chwili byliśmy oglądani przez rozmówczynię.

- Proszę podać wasze nazwiska - rozkazał ten sam głos.

- Ursula Pappani i Paul Daniec.

- Kierujcie się na Różowy Dom.

Tym razem głos starszej pani zabrzmiał jak szczeknięcie buldoga. Po mniej więcej pięciu minutach otworzyły się ciężkie wrota, przez które wjechaliśmy wehikułem na teren posiadłości. Pełno było tutaj drzew, trawników i kwiatów, a sześćset stóp dalej za bramą zaczynał się ogromny park, który przepoławiała alejka. Na jej końcu znaleźliśmy Różowy Dom, lecz dla mnie był to pałac. Kilkukondygnacyjna budowla została wykonana z przepychem w stylu secesyjnym, przed nią rozpościerał się wielki dziedziniec z fontanną. Zaparkowaliśmy obok białego rolls-royce'a. Zaraz też wyszła do nas starsza pani, po niej zjawiła się druga. Obie staroświecko ubrane. Typowe dziwaczki. Służby nie było.

Lecz nie to było najważniejsze. Otóż przed nami stały Dwie Damy. Tak je żartobliwie nazwałem wczorajszego wieczora, podczas wspólnej narady. Kim były właścicielki owego pałacu? To znane Wam już starsze panie, które przebywały na zamku w Tarrytown. Pamiętacie? Spotkałem je w jadalni Oak Room przed wycieczką nad rzekę Hudson, potem znów w holu po spotkaniu w bibliotece. Wtedy, gdy w hotelu zjawił się Johnny Depp z dziewczyną. Panie prowadziły zabawny dialog na temat swoich „łowów” na słynnych gwiazdorów, chwaliły się zdobyciem autografu samego Sinatry. Wydały mi się ekscentrycznymi i zabawnymi staruszkami, jednakże od wczoraj wiedzieliśmy, że za niewinną fasadą dziactwa kryją się zapewne umysły pokrętne i przebiegłe.

- Słuchamy - warknęła Pierwsza Dama.

- Czy my się nie spotkaliśmy przypadkiem? - zacząłem.

- Nie przypominam sobie - rzekła chłodno. - O czym chcieli państwo mówić? O obrazach?

- Spotkaliśmy się na Manhattanie, nieprawdaż? Trzy dni temu. Tyle że ja z kolegą zażywałem spacerku, a panie jechały za nami białym dodge'm pickupem. A potem spotkaliśmy się na zamku w Tarrytown. Co za przypadek! Pamiętają panie Johna Deppa?

- No i co z tego? - zapytała słodko druga Dama. - Mało to spotykamy aktorów, prawda. Mary?

- Tak, Lucy.

Teraz przypomniałem sobie ich imiona - Mary i Lucy. Pierwsza była typem nieco opryskliwym, druga emanowała słodyczą. Jednak połączenie tych dwóch skrajnych osobowości - niczym minus i plus - dawało osobliwie elektryzujący efekt.

- Z czym przychodzicie? - przeszła do rzeczy Mary.

- Zaprośmy ich do środka - uśmiechnęła się Lucy.

Czekały, aż wejdziemy, zezując na wehikuł. Potem, gdy zśliśmy po marmurowej posadzce do salonu, Mary zagadnęła mnie o mój pojazd.

- Czym pan jeździ? Dziwactwa mnie fascynują. Czy jest może na sprzedaż?

- Niestety, to jedyna droga rzecz, którą posiadam. Jako urzędnika ministerstwa nie stać mnie na luksusowe rzeczy, więc pozostaje mi tylko ten niezawodny wehikuł. To wszystko co mam.

- Szkoda. Gdyby pan się zdecydował, daję dziesięć tysięcy dolarów.

- Mój wehikuł jest więcej wart. Po drugie, nie wiem, czy będą miały panie okazję w najbliższym czasie cokolwiek kupić. Chyba że dojdziemy do porozumienia.

Usiedliśmy w bogato ozdobionym salonie, za oknem którego lśnił w słońcu równiutko przycięty trawnik.

- Jak mamy rozumieć pana ostatnie słowa?

- Wiemy, że to panie ukradły obraz van Gogha z kolekcji Teda Benettona, płótno nieznanie szerokiej widowni i zatytułowane „Słońce w pejzażu”. Na ile znam prawo, za taki czyn idzie się do więzienia.

Zapanowała cisza. Dwie Damy spojrzały na siebie z niedowierzaniem.

- Owszem - zaczęła Mary. - Byłyśmy w zamku. Nawet napadnięto na nas w środku nocy! Terrorysty od ekologii czy inne tego typu bałwany! Tylko jak niby miałyśmy ukraść obraz? Czy pan się dobrze czuje?

- Jeśli pójdziemy do FBI, chętnie przeszukają rezydencję pań - wtrąciła Ursula. - Proszę nam oddać ten obraz, a wtedy damy paniom spokój. Nie powiedzieliśmy najważniejszego...

- Mianowicie?

- Że obraz był fałszywy.

- Co? - o mało nie zakrztusiła się Mary. - Jak to fałszywy?

- Paul Benetton zamienił oryginał na falsyfikat. Bo Ted Benetton miał w kolekcji fałszywego van Gogha. Paul zamienił go dawno temu, jeszcze za życia swojej żony. To stara historia. Jednakże starszy brat dowiedział się o tym przestępstwie, w związku z czym Paul musiał z żalem rozstać się z oryginałem i przekazać go Metropolitan Museum. Ronald osobiście stawił się na zamku, żeby upewnić się co do uczciwości brata. W wypełnieniu pośmiertnej woli ojca widział przede wszystkim zemstę na Paulu. Paul jednak chciał przechytrzyć zarówno Ronalda, jak i Metropolitan Museum. Fałszerstwo jest pierwsza klasa, widziałem na zamku i dałbym głowę, że to autentyk! Obraz ma certyfikat najlepszego rzeczoznawcy. Niestety, złodziej, który miał go w nocy zwinąć, został wystawiony do wiatru. Paul liczył, że ów złodziej, a w zasadzie dwie złodziejki, nie są w stanie odkryć fałszerstwa.

- On nie jest fałszywy! - krzyknęła Lucy. - Jest pan w błędzie!

Dwie Damy właśnie przyznały się do kradzieży!

- Prawdziwy ma czerwoną plamę w pewnym miejscu - odezwała się głosem znawcy Ursula. - Zrobił ją sam Vincent van Gogh, falsyfikat Benettona ma zamiast purpury żółty odcień. Proszę sprawdzić.

- A po co wam falsyfikat? - wystraszyły się.

- To jedyny sposób, żeby zmusić Paula Benettona do mówienia - rzekłem. - Jak bowiem wytłumaczy się z falsyfikatu? Wymusimy przyznanie się do fałszerstwa i wtedy powinien oddać nam oryginał w drodze umowy dżentelmeńskiej. Obraz za milczenie.

- Kim jesteście?

- Pracujemy dla Lloyda.

- Bzdura! - warknęła Mary. - Jest pan polskim detektywem od dzieł sztuki, a pani pracuje w telewizji.

- Są panie świetnie poinformowane. Kiedy będziemy mieć ten falsyfikat, zmusimy Paula Benettona do zwrotu oryginału, za który Lloyd zapłaci nam dwadzieścia tysięcy dolarów. Czytały panie o tym w prasie?

Skinęły głowami. Zastanawiały się.

- Panie też na tym zyskają. Nasze milczenie.

- Nie mamy żadnej gwarancji - skrzywiły się.

- Dysponujemy nagraniem wideo, w którym uwieczniono panie jadące białym pickupem. Miałem zaszczyt być przez panie śledzony w Greenwich Village. Mniemam, że zechciały panie sprawdzić, kim jest przybywający do Tarrytown człowiek z Polski, okrzyczany „detektywem od obrazów”. Ja, rzeczywiście, mam markę detektywa zajmującego się dziełami sztuki i na niektórych robi to jeszcze wrażenie. A panie są profesjonalistkami, jak widzę. Pokazuje to także wasze późniejsze działanie. Na przykład: przyjechałyście na zamek białym dodge’em, a odjechałyście limuzyną. Pomysłowe. I pewnie ten materiał zainteresuje FBI, a oni nie będą tak idyllicznie nastawieni do szanownych pań.

Przez chwilę trwało milczenie.

- Terrorycyści z T.O.E, szukają was - powiedziała Ursula. - Wiedzą, że na zamku był intruz i buszował w bibliotece. Ten ktoś zwinął im van Gogha, więc będą szukać pań z determinacją głodnego wilka. Nie wiedzą wprawdzie, kto ich uprzedził, ale są na właściwym tropie. Biały dodge pickup... moje nagranie...

Tu na chwilę muszę przerwać ten dialog.

Zastanawiało nas, czemu terroryści zakładali, że taśma wideo pozwoli im ustalić tożsamość złodzieja obrazu. Moja wersja była następująca. Ludzie T.O.E. po przejrzeniu kasety wideo wyjętej z kamery Ursuli, zobaczyli końcówkę materiału z Nowego Jorku (film dokumentujący moje i Pietrasia spacer po Manhattanie). Może mignął im w tle nagrania biały dodge lub ostentacyjnie jechał za nami, i dlatego rozpoznali w nim ten sam stojący na zanikowym parkingu? Pamiętacie - w holu zamku sam zapytałem terrorystkę o dodge’a. Oglądając tych kilka minut, nie mogli zidentyfikować siedzących wewnątrz pickupa osób, więc pomyśleli, że ustalą ich tożsamość, przeglądając wcześniejsze nagranie, na starej kasecie (wydedukowali, że takie musiało być, skoro nowa kaseeta zawierała końcówkę materiału). Starą - jak wiemy - Ursula schowała w biurku w swoim studio. Włamali się zatem do plymoutha i ze schowka zabrali jeszcze starszą kasetę z całkiem innym nagraniem. Po przejrzeniu

nagrania, spróbowali szczęścia jeszcze raz i włamali się do jej domu. Przy okazji skonstatowaliśmy, że banda nie została całkowicie rozbita, gdyż działała dalej. Tylko takie wyjaśnienie wchodziło w rachubę.

- Kto mógł przewidzieć, że ta banda opanuje zamek - westchnęła Mary. - W tak ważnym dla nas dniu! O mały włos ci łajdacy pokrzyżwaliby nam plany.

- Właśnie! Jakim cudem udało się paniom uwolnić z pokoju? Wszyscy goście byli obezwładnieni w czasie przymusowego snu w oparach ksenonu. Zaklejono was taśmą.

- Jest taki jeden trik - rzekła Lucy. - W filmie z Johnem Deppem pod tytułem „Żaloszny koniec dyktatora” skrupowany bohater uwalnia się...

- O rany - zachichotałem. - W ten sam sposób uwolnił się Depp. Tyle że szybciej!

- Ma silny organizm, więc łatwiej zniósł narkozę.

- Wracajmy do sprawy - chrząknęła Mary. - Jak udowodnicie nasz udział w kradzieży van Gogha?

- Policji udało się znaleźć jeden odcisk palca w dodge’u ukradzionym przez was w Nowym Jorku - weszła w słowo Ursula.

Dodam, że w tym momencie blefowała.

- Nie jest to odcisk właściciela. To jeden jedyny odcisk, którego przypadkowo nie wytarłyście. FBI sprawdzi i porówna go z waszymi.

- Poza tym pora zemścić się na Paulu Benettonie - rzekłem. - Oszukał panie.

Dwie Damy popatrzyły na nas zdziwione.

- To nie Paul - skrzywiła się z niesmakiem Lucy. - To Ronald.

I tu nas zatkało. Dwie Damy zaczęły szeptać między sobą, naradzały się. A my patrzyliśmy na siebie z największym osłupieniem, nie wierząc w ich słowa. Według nich to nie Paul, a Ronald współpracował z nimi! Jeśli tak, to on dał im kod dostępu do biblioteki zamku! W końcu to on wynajął agentów ochrony i miał dostęp do wielu informacji. Mógł nawet dosypać ochroniarzom jakiegoś środka nasennego do napojów, żeby ułatwić Dwom Damom dokonanie kradzieży. To nie Paul, a Ronald Benetton był najważniejszą figurą w tej grze! Niby dał mu szansę, tłumacząc się uczciwością i zapisem w testamencie, a tak naprawdę wykorzystał go. Szantażem wymusił prawie połowę udziałów w Benetton Oil i znalazł „kupca” na obraz, który miał trafić do Metropolitan Museum.

- Od zawsze chcieliśmy mieć tego van Gogha - wpadła w ton zwierzeń Mary. - Nieznane dzieło... „Słońce w pejzażu”. Warte miliony. Cudowne... Mimo że jesteśmy bogate, nie mogłyśmy go kupić. Z Tedem nie było rozmowy. Okropny zrzęda i sknera. Nie chciał go sprzedać, więc złożyłyśmy anonimową ofertę Paulowi. Lecz ten nie dysponował prawem sprzedaży obrazów z kolekcji Teda. Odesłał nas z kwitkiem. Nie chciał. Mówił, że nie może. Po kilku dniach zadzwonił Ronald. Z propozycją. Musiałyśmy go tylko ukraść, wpłaciwszy niezłą sumkę na jego konto. Tylko tak mogłyśmy zdobyć to dzieło, bo oficjalnie nie było na sprzedaż.

- Kochamy dzieła sztuki - dodała druga.

Zrobiłem głęboki wdech.

- Czy panie trudnią się zawodowo złodziejstwem? - zapytałem.

Popatrzyły na siebie z oburzeniem,

- My? Ależ skąd! Nie! To był pierwszy i ostatni raz. Dla van Gogha zrobiłybyśmy wszystko. No, oczywiście poza zbrodnią. Ale nie przypuszczałyśmy, że Ronald

Benetton nas oszuka i wciśnie falsyfikat. To oszust, proszę państwa! I człowiek bez honoru!

Nie powiedzieliśmy im wtedy jednego, że dzięki temu oszustwu, właśnie dzięki zemście Ronalda, ocalał ten jeden jedyny obraz z kolekcji Teda Benettona. To nieprawda, że skradziony van Gogh był falsyfikatem. Przynajmniej nic o tym nie wiedzieliśmy. To był zwykły blef. Jak się okazało - skuteczny, gdyż kobiety przyznały się do kradzieży, Ursula zaś nagrała rozmowę na mini-magnetofon. „Na wszelki wypadek” - jak mnie przekonywała przed wizytą w Różowym Domu.

Gdy Mary z Lucy poszły na górę po obraz, dopadło mnie zwątpienie, choć powinienem odczuwać raczej radość z odnalezienia obrazu van Gogha. Jak już wspomniałem - jeden jedyny ze zniszczonej przez T.O.E. kolekcji. Bolała mnie świadomość, że nie udało się ocalić pozostałych dzieł. Poza tym główni zainteresowani w tej sprawie nie byli do końca uczciwi. Paul i Ronald grali pierwsze skrzypce, a pozostawała jeszcze niewyjaśniona rola Susan Benetton w tej przygodzie. Czy Benettonowie ułożyli się z terrorystami? Pamiętnej nocy w zamku uważałem terrorystów za ignorantów w dziedzinie sztuki. Na pewno był nim Gareth i pozostali członkowie T.O.E., poza kobietą. Ona, fałszywa Pappani, doskonale orientowała się w wartości kolekcji, wiedziała, które obrazy są dziełem polskich artystów, a więc mniej cenne na rynku, a które ubezpieczono u Lloyda. Czy tak postępuje ktoś nie znający się na sztuce? A może ktoś powiedział im o kolekcji więcej niż powinien? Informator?

Pytań było wiele. I wiecie co? Tak w ogóle to miałem dość tej sprawy.

Wracaliśmy popołudniowym lotem. Lecieliśmy z kolegą Pietrasiem nad Grenlandią. Ładna stewardessa podała nam kawę, więc z gorącym plastikowym kubkiem w rękę mogłem oddać się wspomnieniom. Ja - patrzyłem przez małe okrągłe okienko w dół na lodowiec wyspy, on - notował zawzięcie w swoim notesie. Wprawdzie z planów wycieczki szlakiem Kościuszki nad rzeką Hudson nic nie wyszło, tym bardziej z eseju, to jednak przeżyliśmy ekscytującą przygodę zakończoną jakby nie było sukcesem. Za taki należało uznać ocalenie obrazu van Gogha.

Gdyby nie dwie ekscentryczne milionerki, miłośniczki van Gogha, złodziejki, świat nie ujrzałby nieznanego dzieła geniusza. Nie licząc Ronalda, który to wszystko zorganizował. Jaka szkoda, że Dwie Damy nie ukradły więcej obrazów z kolekcji Tekszańczyka! Mielibyśmy z powrotem całą kolekcję - żartowaliśmy podczas wczorajszego spotkania w Polskim Instytucie Naukowym.

A co z Benettonami? Po kilku dniach intensywnych zeznań bracia zostali aresztowani, lecz za odpowiednią kaucją zwolnieni. Pewnie upłynie trochę czasu, zanim poznamy wszystkie zakulisowe niuanse związane z przekazaniem kolekcji muzeom i wydarzeniami ostatnich dni. Kiedy opuszczaliśmy Nowy Jork, wciąż trwało śledztwo prowadzone przez FBI oraz Lloyda. Zeznania terrorystów były skąpe i nie potwierdziły układu zawartego z Benettonami w chatce nad jeziorem. Cóż, za pięć milionów dolarów milczą nawet bogaci, a co mówić o bojówkarzach. Nawet Ursula Pappani nie zaszkodziła swoimi sensacjami rodzinie z Teksasu. Do tej pory nie poznano motywów spalania obrazów przez T.O.E. W zamku działali pod wpływem emocji, chcieli zrobić na Benettonach wrażenie, gotowi spalić płótna, byle osiągnąć cel, który im przyświecał - zniszczenie pól naftowych Benetton Oil. Zrobili to

częściowo, poświęcając mniej znane obrazy polskich artystów. Zaś smutny epilog nastąpił w chatce nad jeziorem, gdzie dokonali reszty zniszczenia. Z zeznań Benettonów wynikało, że terroryści spalili resztę obrazów, kiedy zjawiłem się w chatce nad jeziorem, z czego można było wnioskować, że pośrednio to ja zawiniłem. Dla mnie to nieracjonalne zachowanie terrorystów było wielce podejrzanе, aczkolwiek trudne do obalenia w sądzie. Kazało uważać, że kolekcja - oprócz jedyne go van Gogha - zawierała falsyfikaty. To kto miał w takim razie oryginały? Paul? Ronald? I kto wykonał falsyfikaty? Kiedy?

Paul, Ronald, Susan i David nie wnieśli do sprawy niczego nowego. Oczywiście, zgodnie podkreślali, że w bibliotece wisiały oryginalne obrazy. Terroryści zaś milczeli.

Dziwna to była rodzina ci Benettonowie. Uwikłana w intrygi i rodzinne skandale, fałszerstwa i nienawiść. I tylko Ted Benetton jawił się na tle pozostałych jako niezłomny obrońca zasad. Granitowa bryła ludzkiej dumy. W tym wzglę dzie przypominał trochę rzeźbiarza Szukalskiego, którego autoportret posiadał u siebie w kolekcji. Nasz artysta - podobnie jak Benetton - nigdy nie zmienił swego zdania ani poglądów, a czyjeś uznawał pod warunkiem, że adwersarz potrafił niezłomnie bronić swoich racji. Zmarł w wieku 94 lat i do końca zachował niezwykłą jasność umysłu. Czy podobnym człowiekiem był Ted Benetton? Podobno jeszcze gorszym - jak mawiali ci, którzy go znali. A może właśnie go nie znali? Żył 91 lat.

Przelecieliśmy tysiąc kilometrów nad Atlantykiem.

- I co ja powiem pani minister? - zaczął biadolić kolega Pietraś, gdy skończył notować. - Że Paul Benetton był fałszerzem i zrzucił całą winę na Ronalda? A tamten później się na nim odegrał i zaplanował „sprzedać” van Gogha dwom miłośniczkom malarza? Co mam napisać w raporcie? Że złodziejki-dziwaczki uratowały „Słońce w pejzażu”? Co za zwariowana historia!

- Żebyś wiedział - westchnąłem. - Ty wiesz, ile zwariowanych historii musiałem zamieścić w swoich raportach.

- Mam pisać o tych naszych ucieczkach z zamku, bijatykach, strzałach, zdartych stopach i negocjacjach za pięć milionów dolarów? - jęczał. - Brzmi to jak powieść, a nie jak raport. Swoją drogą ciekawe, o czym Susan Benetton rozmawiała z tym oprychem na zboczu góry? Tego nie udało nam się wyjaśnić. Paweł, skoro masz duże doświadczenie w pisaniu podobnych raportów, pomóż mi. Proszę. Zgoda?

- Ale po powrocie - zapewniłem. - Sam nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania. Wedle oficjalnej wersji, terroryści uderzyli zgodnie ze swoim planem, a ich celem było wyłącznie pole naftowe Benettona. Nikt od Benettonów z nimi nie współpracował. Kradzież van Gogha to osobna historia. My wiemy, że rodzinne konflikty Benettonów nałożyły się na te sprawy i pogmatwały obraz całości. Szczególnie rola Ronalda wybija się na plan pierwszy. W wyniku zagrożenia na zamku, Paul Benetton mógł próbować „ułożyć się” z terrorystami, brat nie, gdyż zależało mu na „sprzedaży” van Gogha, to jest kradzieży obrazu przez Dwie Damy (ale już w chatce nad jeziorem wiedział, że obraz został ukradziony i był spokojny; kto wie, czy nie popierał brata w pertraktacjach). Jednakże szantaż terrorystów był faktem, istniała więc szansa na odszkodowanie. Ale jak udowodnić prawdziwe zamiary Paula i Ronalda? Najbardziej żałosne i śmieszne w tej historii jest to, że terroryści nawet nie wiedzieli, że brakowało im van Gogha w momencie ewakuacji. Uciekli wypłoszeni przez tajemniczego intruza,

a o kradzieży van Gogha dowiedzieli się na drugi dzień z gazety kupionej przez fałszywą Pappani w okolicach Peekskill. Dwie Damy były sprytnie. Po dokonaniu kradzieży, ukryły dobrze obraz na zamku i z powrotem zamknęły się w pokoju hotelowym jakby w ogóle z niego nie wychodziły. Rozumiesz, terroryści sprawdzili kogo brakuje w pokojach i gdy stwierdzili, że nikogo, wpadli w jeszcze większą panikę. Co się działo w chatce nad jeziorem, nie wiem. Może Paul się dogadał z T.O.E. albo i nie? Nie wiem!

- Może terroryści lubią bawić się ogniem? - żartował Pietraś. - Najpierw spalili obrazy, potem szyby naftowe. Syndrom podpalacza.

- Ale nie pisz tego w raporcie - dodałem. - Spalenia przez nich obrazów nie rozumiem. Może chcieli zemścić się na Benettonach? Zrobili to z nienawiści albo uważali, że kolekcja nie jest nic warta. Natomiast Ursula Pappani twierdzi, że Susan do końca broniła obrazów.

- Może wtedy na zboczu błagała terrorystów, żeby nie niszczyli obrazów? - zauważył Pietraś.

- Może.

W pewnym momencie kolegę Pietrasia pogoniło do toalety. Zostawił on swój notes na fotelu i opuścił segment dla pasażerów. Położył go w ten sposób, że zawartość notatnika otworzyła się, ukazując zapisane strony. Nigdy nie zaglądam ludziom do łóżek, nie podsłuchuję rozmów i nie czytam cudzych listów. Nigdy nie czynię tego świadomie. Lecz patrząc mimowolnie na zapiski kolegi Pietrasia, nie mogłem oderwać od nich wzroku. Nie była to żadna służbowa notatka. Nic z tych rzeczy. To był rodzaj wiersza, szkicu, gdyż całość była w twórczy sposób pokreślona. Jakaś siła zmusiła mnie do przelecenia wzrokiem całości.

Z DZIENNIKA PODRÓŻY

*Unoszący się w powietrzu słodki zapach magnolii
rozpuszczony w oparach nieprzywoicie taniej ropy...*

*Wyziewy barowych obejść flirtujące
z oddechem skwierczącego asfaltu...*

*Delikatny pocałunek majowego Atlantyku złożony
na moim spoconym czole...*

Stromo pnące się w spiekocie dywany chodników...

*Oblicza sennych domostw otulone kamiennym
murem, za którym zraszacz szemra kotłysankę
włączoną ręką leniwego ogrodnika...*

Przypadkowy uśmiech luteriańskiej żony...

I pokrępiające spojrzenie policjanta...

*To wszystko zapamiętałem dzisiaj
między 10:00 a 12:21*

w Greenwich

i zapisałem przy kawie na Havemayer Ave.

w stanie ostrej melancholii

*usprawiedliwionej poczuciem absolutnej pustki
wobec braku odpowiedzi na podstawowe pytanie:*

„Dlaczego?”

Ogarnął mnie wstyd. Mój niecny postępek wart był potępienia. Wszedłem buciorami w intymny świat drugiego człowieka, bo pewnie Jan nie życzyłby sobie lektury tych swoich poetyckich zwierzeń. Jednocześnie ogromnie mnie zdumiała pewna „dojrzałość” wibrująca między wierszami, egzystencjalna powaga uchwycona nostalgicznie zapiskiem chwili. Takim go nie znałem. Gdzie on to wszystko tam widział? Przez dwie i pół godziny? Wtedy w Greenwich, gdy go zostawiliśmy na deptaku, a sami pojechaliśmy do Różowego Domu? I to mnie wręcz szokowało - świadomość, że wcale go nie znałem, że odbierałem magistra jako dobrego i poczciwego urzędniczynę zrośniętego mentalnie ze swoim biurkiem. Owym „wierszem” pokazywał on jednak, że tkwi w nim wrażliwa i refleksyjna natura. Nawet kiedy wrócił z toalety i zaczął mi marudzić o raporcie dla pani minister, długo nie mogłem uwolnić się od myśli zawartych w patetycznym zakończeniu wiersza o tajemnicy poznawania! O naszej niewiedzy!

Tak, coś w tym było. Może tylko nam się zdawało, że znamy odpowiedzi na podstawowe pytania?

ZAKOŃCZENIE

Po miesiącu dostałem list od Susan. Zdziwiła mnie ta korespondencja. Dziewczyna nie ukrywała swojego żalu po stracie kolekcji i wspominała z goryczą pamiętną noc na zamku. Przypominała, że doszło tam do kradzieży obrazu i dzięki temu on jeden ocalał. Dziękowała mi za pomoc w jego odnalezieniu.

O swoim ojcu pisała:

„Uległ on sugestiom brata i postanowił zwrócić autentycznego van Gogha, dołączając go do kolekcji. W ten sposób mieli być kwita. Dopiero w chacie nad jeziorem dowiedziałam się głębszej prawdy o ojcu i wujku Ronaldzie. Niełatwo mi o tym pisać. Pewnie długo się zastanawiałeś, co wydarzyło się nad jeziorem. A ja mam dość tej koszmarnej sprawy. Postanowiłam jednak wyznać ci całą prawdę, a raczej to, co wiem. Łatwiej mi napisać do kogoś, kto jest daleko. Wybacz. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz. Czuję się bowiem winna, bo to przeze mnie zniszczono kolekcję. To ja usłyszałam, jak terroryści rozmawiali na zamku o obrazach dziadka, o tym, że można by na nich „zarobić”. Działając w dobrej wierze, naopowiadałam któremuś draniowi, że kolekcja jest fałszywa. Naplotłam bzdur, które oni kupili. Do tego stopnia, że później w chatce nie uwierzyli w zapewnienia, że to oryginały. Terroryści spalili w chatce pozostałe obrazy, mając do końca świadomość, że niszczą fałszyfikaty. W przekonaniu tym utwierdził ich fakt, że złodziej w zamku zwinął jedynie von Gogha. Stąd wniosek, że tylko van Gogh był oryginalny, inaczej złodziej ukradłby pozostałe obrazy. Co za historia!. To moja wina... niepotrzebnie się wtrąciłam. Ale skąd mogłam wiedzieć, że tak się to wszystko potoczy? Chciałam ocalić kolekcję! Później błagałam... krzyczałam... ale nie dali mi dojść do głosu. Zakneblowali mnie. Muszę stanąć także w obronie ojca i wujka, szczególnie teraz, gdy nabrałam do całej sprawy dystansu. Musisz wiedzieć, że oni także sprzeciwili się zniszczeniu dzieł. Lecz nie mieli wyjścia.

Najpierw terroryści utargowali jedynie milion dolarów, w czym wielka zastuga Davida. Nie lubię go, jak wiesz, ale to znakomity negocjator. Jako że nad jeziorem nie było banku i nie można było dokonać przelewu elektronicznego (brak zasięgu komórki), terroryści zażądali czeku. Dwóch z nich opuściło chatkę i pojechało do Nowego Jorku. Szybko się okazało, że czeku nie można zrealizować. Nie wiedziałam o tym, że firma Benetton Oil stoi od pół roku na granicy bankructwa. David i Ronald przypuszczają nawet, że T.O.E. została nasłana przez konkurencję. Ja tego nie wiem. Nie wiedziałam nawet o kłopotach firmy. Duncan zaś twierdzi, że celem ataku T.O.E. był na pewno Benetton Oil i nie chodziło o nas jako rodzinę Benettonów. Inaczej terroryści dokonaliby sabotażu firmy wujka RONALDA.”

Zgadzałem się z taką interpretacją. Gdyby za tym wszystkim stał Ronald Benetton, to przede wszystkim zaszkodziłby sobie. Był wszakże udziałowcem Benetton Oil. I to całkiem wpływowym. Nie tak dawno myślałem o Duncanie jako „zdrajcy” Benetton Oil. Te pogrożki od T.O.E., które ponoć zlekceważył i łatwość, z jaką przystał na negocjacje z terrorystami - nie dawały mi spokoju. Lecz, gdyby był „zdrajcą”, to starałby się raczej stworzyć atmosferę zagrożenia i wpływać na Paula destrukcyjnie. Poza tym Duncan nie odszedł od firmy, która upadała. Zaś w możliwości uzyskania odszkodowania za zniszczone obrazy mógł widzieć szansę na uratowanie Benetton Oil.

Wreszcie dowiedziałem się, o czym Susan tak naprawdę rozmawiała na zboczach góry z terrorystą. O fałszywych obrazach! To był ten ich „informator”! Oznaczało to jednocześnie, że kolekcja była autentyczna! Cóż, była to smutna wiadomość.

W dalszym fragmencie pisała:

„Po powrocie z Nowego Jorku terroryści zniszczyli obrazy w akcie zemsty za rzekome kłamstwo z czekiem. Sytuacja była nerwowa. Trwały jeszcze ostatnie pertraktacje, jak zdobyć

milion w gotówce. Ta terrorystka, przebrana za reporterkę, kilka razy gdzieś wyjeżdżała. I wtedy zjawili się ty. Terrorysty uciekli... na drugi dzień podpalili kolejny szyb w Teksasie.

Przykro mi, że tak się stało. Ale mam teraz lepsze wieści

Zdobyłam drogą poufną informację, że prawdopodobnie dostaniesz czek na dziesięć tysięcy dolarów za odzyskanie obrazu van Gogha. Połowę dostanie Ursula Pappani, bo razem dokonaliście tego cudu. Gratuluję nagrody! Widziałam się z nią niedawno. Dwa tygodnie temu. Ursula Cię pozdrawia. Wiem od niej, że podejrzewałaś mnie o współpracę z T.O.E.. Chcę Cię uspokoić - to nie ja zaalarmowałam terrorystów o ucieczce z zamku. Nikt z nas tego nie zrobił. Po prostu terrorysty umieścili w piżamach ojca, RONALDA i DAVIDA mikronadajniki, coś w rodzaju chipów. Ja też miałam jeden taki w džinsach. Zrobiono to na wypadek naszej ucieczki - tak nam powiedzieli w chatce. Dlatego terrorysty wiedzieli za każdym razem, gdzie nas szukać. Nie było więc żadnego naktowizora na wieży. Oszukiwali. Kontrolowali teren za pomocą kamer i tych nadajników. A ja, uwierz mi, błagam, naprawdę zasnąłam wtedy w ubraniu z książką u boku. Twoja intuicja detektywa zawiodła Cię co do mojej osoby, ale nie winię Cię za to. Mogłaś tak pomyśleć, bo złe rzeczy działy się na zamku. No i nie mieliśmy okazji porozmawiać po zakończeniu tej historii. Jak będziesz następnym razem w Ameryce, wpadnij do mnie.

Z pozdrowieniami

Twoja Susan”

„Cudownie” - pomyślałem. List zawierał wiele ciekawych wyjaśnień, nierzadko szokujących, lecz odniosłem też wrażenie, że był pisany dla uspokojenia sumień. A może dla złagodzenia cudzych podejrzeń? Trochę naiwnie brzmiały te wyjaśnienia Susan o własnej winie. I z logiką było miejscami na bakier. Nie byłem taki pewny, czy Benetton nie zapłacił jednak T.O.E. miliona dolarów! A może pięć? Ja nawet jeszcze dzisiaj podejrzewałem, że kolekcja Teda Benettona wcale nie została zniszczona, a szyby podpalono dla zmyłki. To poważne oskarżenie pod adresem Benettonów. Tak, wiem. I nie wszystko mnie przekonywało w opowieści Susan. Pamiętacie chatkę nad jeziorem? Wydawało mi się, że dym ulatujący z komina pojawił się zaraz po ucieczce terrorystów plymouthem. Bo z listu Susan wynikało, że obrazy spalono nieco wcześniej. Czyżby nie pamiętała już wszystkich szczegółów tamtej chwili? A może po prostu to ja i kolega Pietras nie zauważyliśmy unoszącego się z komina dymu, gdy po raz pierwszy patrzyliśmy na chatkę z łąki?

Ech, za dużo było w tej historii niejasności, mataczenia i domysłów. A niech tam! Nie mówmy o nich. Miałem podobno zarobić dziesięć tysięcy dolarów za odzyskanie obrazu van Gogha! To było teraz dla mnie najważniejsze. Poczulem się szczęśliwy, doceniony i oczyszczony. I... bogaty! „Zaś następnym razem do Ameryki pojedzie pan Tomasz!” - pomyślałem zaraz. To znaczy chciałem napisać - popłynie! Ja, na pewien czas, miałem dość przygód.

Z tej radości związanej z nagrodą od Lloyda wysłałem maila do Ursuli, która była kimś w rodzaju mojego współnika. Jednakże Ursula nie odpisywała, więc spróbowałem zapytać o konkrety Towarzystwo Lloyda.

Dopiero na drugi dzień otrzymałem wstrząsający mail. Wybaczcie, że nie zacytuję całego listu. Niech wystarczy Wam ten oto fragment:

Szanowny Panie. W odpowiedzi na Pański mail, uprzejmie informujemy, że nagrody w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów nie możemy przekazać na Pańskie konto. Zaszła karygodna pomyłka, która w przypadku naszej firmy zdarzyła się po raz pierwszy w naszej długiej historii. W wyniku intensywnego śledztwa w sprawie odzyskania obrazu van Gogha,

nasze Towarzystwo uzyskało informacje świadczące o tym, że faktycznymi znalazcami tego dzieła są panie Mary Badwork i Lucy Manillow z Greenwich. Potwierdziły to zeznania pani Ursuli Pappani, która szczegółowo opisała zaistniałą pomyłkę...

Zdenerwowany wyłączyłem komputer, nie mogąc uwierzyć w szokującą treść maila. Co takiego zrobiła Pappani? O czym oni pisali?! Dlaczego Ursula miałaby zmienić zeznania? A może nie podała mi wszystkich szczegółów rozmowy, którą Benettonowie przeprowadzili w chatce nad jeziorem? Mogła wiedzieć coś więcej, co zataiła przed nami i FBI. I gdzie podziało się nagranie z rozmowy, jaką przeprowadziliśmy z Dwiema Damami w salonie Różowego Domu? Toż to był dowód na to, że razem z reporterką odzyskaliśmy obraz, a Dwie Damy były złodziejkami! Co takiego wydarzyło się za oceanem, że Pappani się nie odzywała?

A kiedy nieco ochłonałem, przypomniałem sobie pewną istotną okoliczność. Ursula zatrzymała kasetę z nagraniem dla siebie, obiecując wykorzystać ją przeciwko Dwóm Damom w razie ich „nieposłuszeństwa”. Pomyślałem wtedy, że jak znam Amerykę, to Dwie Damy kupiły od Ursuli Pappani korzystne zeznania dla Lloyd'a. A za drugie tyle odkupiły kasetę z kompromitującym je nagraniem. Nie zdziwiłbym się, gdyby w niedługim czasie nabyły nawet ów wymarzony obraz van Gogha. W końcu Benetton Oil bankrutował.

This is America!

KONIEC